0344

JÓZEF TRETIAK

MICKIEWICZ W WILNIE I KOWNIE

ŻYCIE I POEZYA

LWÓW
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
Z drukarni Władysława Łozińskiego
1882.

4100



88409

21129

Część pierwsza.

1815—1818.

I.

Przyjazd do Wilna. Ksiądz Mickiewicz. Egzamin. Poznanie się z Zanem.

Przy końcu lata 1815 roku, po drodze z Nowogródka do Wilna toczyła się duża bryka żydowska, w której na przedzie siedziało dwóch żydków na swoich tłómokach, w głębi zaś w budzie siedział kupiec z Mira Jankiel, stary, poważny żyd z długą białą brodą, a obok niego siedmnastoletni młodzieńczyk o drobnej ale pięknej twarzy, pokrytej rumieńcem, otoczonej bujnym, czarnym jak heban włosem i ozdobionej koralowemi ustami i dwojgiem czarnych marzących oczu.*) Tym młodzieńcem był Adam Mickiewicz, syn adwokata z Nowogródka, jadący świeżo po ukończeniu szkół nowogródzkich

*) Listy Odyńca I. 360, 361.

BIBLIOTEKA DOMU WOJSKA POLSKIEGO

do Wilna, aby tam zapisać się na uniwersytet.

Kto tylko odbywał podróż w podobnym celu i w podobnym wieku, i kto jak Mickiewicz nie widział przedtem nigdy większego miasta, ten łatwo odgadnie uczucia i rojenia, jakie grały w sercu i głowie jadącego młodzieńca. Nowy świat miał się otworzyć przed nim i zdaleka wabił ku sobie swoją nowością, rozmaitością i swobodą życia uniwersyteckiego, które tak rozkosznie uśmiecha się uczniom gimnazyów, marzącym o niej.

Były jednak obok jasnych rojeń i ciemne trwogi. Siedmnastoletni chłopak poraz pierwszy puszczał się w tak daleką podróż i puszczał się w towarzystwie, które w głowie młodzieńca, obdarzonej bujną i płochliwą wyobraźnią i nabitej bajkami o zbójcach, budziło silne podejrzenie. Z niewielkim funduszem jechał Adam do Wilna, bodaj czy miał wiele więcej nad tych jedenaście dukatów (z tych jeden święcony z wizerunkiem Najśw. Panny), które dostał z rąk matki przed wyjazdem, zdało mu się jednak, że na ten skarb czyhają żydzi, wydobył więc stary pistolet nabity, który miał z sobą i położył na kolanach. Nabita broń w ręku chłopaka przeraziła sąsiada, i ten, odgadując powód obawy

Adama, tak wymownie przemówił do przekonania jego, że zawstydzony Adam natychmiast schował pistolet i proch nawet zdmuchnął z panewki. Z kolei powolność młodzieńca ujęła bardzo sędziwego żyda i ten przez całą podróż potem taką troskliwość mu okazywał, tak go częstował kawą i jajami, że jeszcze w kilkanaście lat później wspominał o tem Mickiewicz Odyńcowi z wdzięcznością.

W piątek przed wieczorem, przed zajściem szabasu, szczęśliwie stanęła bryka w Wilnie. Przebrawszy się w zajeździe, udał się zaraz Adam do swego stryja, a był nim ksiądz kanonik Józef Mickiewicz, profesor fizyki i dziekan matematycznego wydziału. Gdy przechodził przez Ostrą Bramę, odbywały się tam właśnie nieszpory i spiewano litanię z muzyką. Pobożna matka Adama zaleciła była synowi przed wyjazdem, aby się udał naprzód do cudownego obrazu Najświętszej Panny Ostrobramskiej, prosił Ją o opiekę i dał na mszę. Przypomniawszy to sobie Adam, ukląkł pod filarami i zaczął się modlić, a „przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnemi rozpłakał.“ Ale te łzy i ta modlitwa pokrzepiły go i natchnęły ufnością w opiekę Najświętszej Matki.

Stryj, do którego się udał następnie Adam, był to już siedmdziesięcioletni starzec. Niegdyś profesor fizyki, dwa razy (1798 i 1806/7) zastępca rektora, obecnie był tylko dziekanem fizyczno-matematycznego wydziału. W nauce zacofany, nie miał ochoty śledzić postępu fizyki i od dawna już odstąpił był jej wykład swemu pomocnikowi. Niewiele go obchodziły i postępy młodzieży w nauce, i kiedy w r. 1806 zawiązali studenci towarzystwo nauk i umiejętności i jego wezwali na prezesa, ks. Józef przez cały rok swego prezesostwa ani razu nie pojawił się na posiedzeniach naukowych młodzieży. Przy egzaminach był zwykle bardzo niewymagającym: dość było odpowiadać potoczyście, gładko i z pewnością siebie, chociażby od rzeczy, aby uzyskać jego pochwałę. Za to nieugiętym był w wymaganiu, aby się młodzież co miesiąc spowiadała, i nie chciał podpisywać świadectw studentom, którzy mu co miesiąc nie przedkładali kartki.*) Lubił także, aby go młodzież całowała w ręce i Karol Kaczkowski, który jednocześnie z Adamem wstąpił na uniwersytet wileński, opowiada w swoich Wspomnieniach, jak uprzedzali go

*) Kaczkowski, Wspomnienia. I. 64.

koledzy, gdy przybył do Wilna i miał przedstawić się dziekanowi, „że ksiądz kanonik jest bardzo wymagający, że na patent i na świadectwa nie spojrzy nawet, a ten, co go nie pocałuje w łapę, chociażby był Salomonem, musi pójść za drzwi“. Kaczkowski brał tę przestrogę za koleżeńską mistyfikacyą, ale przekonał się na sobie, że była rzetelną.*)

Pomimo swoich słabostek, pomimo zacofania w nauce, był ksiądz kanonik powszechnie poważany, bo znano go „jako człowieka prawego, nieskazitelnego charakteru“. Wobec potomności ma on inne jeszcze prawo do uznania. Gdyby nie ksiądz kanonik, synowiec jego prawdopodobnie nie otrzymałby był uniwersyteckiego wykształcenia i geniusz jego możeby się był zmarnował a w każdym razie nie poszedłby tak wysokim i świetnym szlakiem. Na stryja to bowiem wezwanie pojechał Adam do uniwersytetu; bez tego protektora rodzice naszego poety, niezamożni i obarczeni liczną dziatwą, nie mieliby zapewne środków na utrzymanie syna w Wilnie przez lat kilka i Adam byłby się aplikował w nowogrodzkiej palestrze, jak starszy brat jego Franciszek.*)

---

*) Kaczkowski, Wspomnienia. I. 63.
*) Odyniec, Listy. I. 359.

Księdzu dziekanowi ze stanowiska swego łatwą była protekcya. Chciał on od razu umieścić Adama, jako kandydata do stanu nauczycielskiego, na koszcie rządowym. Każdy taki uczeń, zwany funduszowym, otrzymywał od władzy uniwersyteckiej pokoik jakiś, zwykle w klasztorze, i piętnaście rubli miesięcznie na stół, odzienie itd. Za to obowiązany był co roku składać egzamina, celować w naukach a po ukończeniu kursu nauk uniwersyteckich iść do służby rządowej i przez lat kilka służyć tam, gdzie rząd wskaże, przyczem jednak pobierał płacę zwyczajną do miejsca wskazanego przywiązaną. Ale dla kandydatów stanu nauczycielskiego był tylko jeden wakans w tym roku; chodziło więc o to, ażeby ten wakans pozyskać dla Adama. Tymczasem był drugi kandydat na to miejsce, którego protegował również człowiek mający pewne wpływy w uniwersytecie, Kazimierz Kontrym, dawniej sekretarz, obecnie bibliotekarz uniwersytetu. Ponieważ obaj kandydaci mieli dobre świadectwa ze szkół, egzamin zatem miał rozstrzygnąć, który z kandydatów otrzyma pierwszeństwo.

Nadszedł dzień egzaminu. W kancelaryi przed salą egzaminacyjną zeszli się współzawodniczący kandydaci, spojrzeli na siebie,

przywitali się niemym ukłonem i w kłopotliwem milczeniu czekali na wezwanie egzaminacyjnej komisyi. Znamy już powierzchowność Adama, a z listów Odyńca wiemy nawet, jak był wówczas ubrany: miał na sobie żółte nankinowe spodnie i kamizelkę, na tem frak czarny, a nad frakiem wysoki pod uszy kołnierzyk, tak, że rumieńcem powleczona twarzyczka jego robiła wrażenie różyczki osadzonej w lilii. Współzawodnik jego, którym był nie kto inny jak Tomasz Zan, taką przyjaźnią potem z naszym poetą związany, był średniego wzrostu i nieco śniadawej twarzy, miał włos ciemny, kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco zwężające się u góry i małe, ogniste oczy.

Niebawem wezwano ich do sali, gdzie już zasiedli egzaminatorowie. Stanęli obok siebie przed stołem i obaj bardzo dobrze odpowiadali na zadawane sobie pytania. Po egzaminie kazano im znowu oczekiwać w kancelaryi na wyrok. Znowu znaleźli się sami i znowu nie śmieli, nie wiedzieli, jak przemówić do siebie: współzawodnictwo przykrym ciężarem gniotło im serca. Nareszcie wyszedł Kontrym z sali i objawił, że pan Adam Mickiewicz został przyjęty, ale i pan Tomasz otrzymał *accessit*, z którego będzie miał prawo na przyszły rok korzystać; tym-

czasem miał sobie ofiarowane u p. Kontryma stół i mieszkanie.

Z biciem serca musieli słuchać młodzieńcy tego wyroku. Ale tryumf obudził w sercu Mickiewicza uczucie jakiegoś zawstydzenia i upokorzenia: zdawało mu się, że pierwszeństwo, które otrzymał, zawdzięczał tylko wpływom i protekcyi księdza dziekana. Promieniste oczy Zana dojrzały zapewne tych uczuć na twarzy Adama, bo zbliżył się do niego i powinszował mu tak szczerze i serdecznie, że Adam jeszcze bardziej się zmieszał, ale i rozrzewnił zarazem. Młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia, a łzy i gorące pocałowania uświęciły zawiązaną od tej chwili przyjaźń, tę przyjaźń, która w życiu naszego poety tak wielką odegrała rolę.

II.

Mickiewicz w nowej sferze. Wilno w latach 1815—1818. Znaczenie uniwersytetu. Znakomitsi profesorowie. Walka nowych pojęć z dawnymi. Wiadomości brukowe i klub szubrawców. Wolne mularstwo i mesmeryzm. Dzienniki. Teatr. Zabawy i rozrywki wileńskie. Patryotyczne usposobienie miasta.

Dzieje tej przyjaźni zostawiając na później, przypatrzmy się teraz moralnej fizyognomii naszego poety w chwili przybycia jego do Wilna i takiejże fizyonomii tej nowej sfery, do której przybywał, w pierwszych czasach swego tam pobytu.

Scena tylko co opowiedziana świadczy nam już dobrze o szlachetności i wrażliwości serca, które przywoził z sobą Adam do Wilna, łzy wylane przed obrazem Najśw. Panny Ostrobramskiej o głębokiej pobożności, wszczepionej od lat dziecinnych przez matkę. Karol Kaczkowski, który w roku szkol-

nym 1815/16 kolegował z Adamem na ławkach wydziału fizyczno - matematycznego i prawie codzień się z nim widywał, powiada o nim w tym czasie, iż był „łatwy w koleżeńskich stosunkach, skromny w obejściu się, częściej zamyślony i rozmarzony, niż wesoły, przyciągał do siebie wszystkich i wzbudzał ogólną sympatyą“. Jednakże nikt z kolegów nie przypuszczał w nim wówczas tego poetyckiego geniuszu, jakim miał wkrótce zajaśnieć.

Upodobanie jednak w poezyi wcześnie się w nim objawiło. Będąc w szkołach nowogródzkich, z zajęciem czytywał *Iliadę*, *Eneidę* w przekładzie Dmochowskiego i *Jerozolimę wyzwoloną* w tłómaczeniu Piotra Kochanowskiego, obok różnych romansów z francuskiego Floryana, Pani de Genlis i t. d. Najwięcej go zajmowały naturalnie sceny wojenne, bohaterskie, które mógł potem wyobrażać wraz z kolegami w czas rekreacyi, o czem Gustaw w *Dziadach* wspomina. Ale wiersze, które pisał w czasach nowogródzkich, jakkolwiek otrzymywał za nie pochwały od profesorów, nie wychodziły ponad poziom dziecinnego rymowania. Sam Adam, rozmawiając w kilkanaście lat potem z Odyńcem o swoich czasach szkolnych, powiedział,

że tak jak podług pewnego fizyologa mózg dziecka w pierwotnem kształtowaniu się swojem podobny jest koleją do mózgu ryby, ptaka, zwierzęcia, nim się na mózg ludzki wykształci, tak i dusza ludzka w kształceniu się moralnem i artystycznem przez podobne fazy przechodzi. Otóż czuje, dodał, że w Nowogródku, kiedy powieść Floryana *Numa Pompiliusz* z prozy polskiej Staszica na rymy przenosił, starając się naśladować mizernego poetę Swiderskiego:

W mieście Kuryi, w kraju Sabińczyków,
Wpośród rozkosznych cyprysu gaików itd.

że wtedy był w stanie ryby, w pierwszych zaś latach pobytu w uniwersytecie znajdował się w stanie zwierzęcia, „to jest, pisał takie wiersze i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówcześni recenzenci warszawscy.“ Ale ówczesne życie wileńskie obfitowało w tak różnorodne prądy, tyle szczęśliwych posiadało warunków dla rozwoju zdolności młodzieńca, że przejście ducha poety przez „stan zwierzęcy“ odbyło się stosunkowo bardzo prędko.

Że Wilno było tak szczęśliwą sferą, zawdzięczało to przedewszystkiem swemu uniwersytetowi, przetworzonemu nieśmiertelnej

pamięci zabiegami ks. Czartoryskiego i Czackiego, z dawnej pojezuickiej szkoły głównej (1803). „Akademia czyli uniwersytet jest rzecz w Wilnie znacząca“, pisał swoim naiwnym językiem młody Lelewel do brata w r. 1804, to jest wtedy, kiedy nie jaśniała jeszcze wszystkiemi znakomitościami, jakie ją potem ozdabiały. W istocie była to rzecz „znacząca“ i to podwójnie: jako ognisko nauki i jako naczelna władza szkolna na Litwie i Rusi.

Nigdzie ani przedtem ani potem nie było w Polsce tak znakomitego zbioru sił uniwersyteckich, jak w owych czasach w Wilnie. Składali się na to i obcy uczeni, jak Frank, Bojanus, Grodek, i swoi, jak Sniadeccy, Jundził, Lelewel, Borowski i inni. Uniwersytet dzielił się na cztery wydziały: fizyczno-matematyczny, lekarski, nauk moralnych (teologia, historya, prawo) i literacki (literatury i sztuk wyzwolonych). Na wydziale fizyczno-matematycznym, który miał przewagę nad innymi, prym trzymali bracia Sniadeccy. Znane są powszechnie ich zasługi na polu naukowem. Obaj wykarmieni francuską nauką, przejęci duchem francuskiego krytycyzmu, odznaczali się nadzwyczajną logicznością i jasnością wykładu i przyuczali u-

czniów do jasnego i trzeźwego myślenia. *) Z pewnem lekceważeniem spoglądali na wszystkie nauki, które nie wchodziły w zakres ścisłych, *) a ponieważ byli pierwszorzędnymi powagami w uniwersytecie, ponieważ Jan Sniadecki przez lat ośm (od 1807 do 1815) dzierżył berło rektorskie w swojem ręku, stąd i wydział fizyczno matematyczny uzy-

---

*) Jak się zapatrywał Jędrzej na zadanie profesora, wskazuje to najlepiej pewien ustęp w jednym z listów jego do Czackiego: „Dobrze uorganizowana edukacya publiczna powinna mieć za cel nietylko wzbogacić w pożyteczne wiadomości, ale razem wykształcić rozum młodego człowieka i dać mu owo delikatne czucie prawdy, które w dobrych głowach około nauk chodzących tak się mocno podoba, a które droższe jest od samej nauki.“ Pamiętniki o Janie Sniadeckim, T. II. str. 218.

*) Odnosi się to szczególnie do Jana, który naprzykład zapatrywał się na historyą, jako na „objekt pamięci tylko i rozsądku potrzebujący, przytem tłómaczenia się płynnego i czystego“. „W moim nawet sposobie myślenia, pisał do kuratora ks. Czartoryskiego r. 1808, ja tę naukę mam za ważną przy gimnazyum.... ale w uniwersytecie mam ją za niepotrzebną.“ Dodawał jednak nieco niżej: „Sposób atoli ten myślenia może być mylny i wcale się przy nim nie upieram.“

Biblioteka

skał przewagę nad innymi. Jędrzej mniej pisał, ale w tem, co napisał, głębszym się okazał od Jana, za to Jan położył wielkie zasługi jako organizator i kierownik szkół na Litwie i zarówno z Jędrzejem, a może i więcej zasłużył się około ustalenia naukowej terminologii polskiej, a Maurycy Mochnacki utrzymuje, że jego to staraniom szczególniej przypisać należy, że „Wilno pod względem języka polskiego i wytworn j w pisaniu polszczyzny nad całą obszerną dziedziną Polaków niezaprzeczone przez nikogo trzymało berło przez lat wiele.“ Nieprzyjaciel wszystkiego, co było niejasne, nie miało dostatecznej ścisłości logicznej i nie dawało się ocenić trzeźwym rozumem, występował on szorstko w mowach i pismach swoich i przeciw romantyzmowi w poezyi i przeciw idealizmowi w niemieckiej filozofii (Kant), Lelewelowi zaś był przeciwnym głównie dla jego zaniedbanej polszczyzny. I Jan i Jędrzej byli zarówno dumni ze swej nauki, choć Jan to więcej okazywał, i uczniów traktowali z wysoka, po za urzędowym stosunkiem nie łatwo przypuszczając ich do siebie.

Ksiądz Stanisław Jundziłł, profesor historyi naturalnej, podobnie jak Sniadeccy, kształcił się za granicą u najznakomitszych

profesorów, zanim zajął katedrę przeznaczoną dla siebie w Wilnie (1797). Zasługi jego około rozwoju nauki w Polsce były prawie takie jak Sniadeckich. On to był założycielem pięknego ogrodu botanicznego w Wilnie (1799), który stopniowo wzbogacając, doprowadził do 7000 roślin i w cieniu drzew którego lubił siadywać do późnej starości; on urządził gabinet mineralogiczny przy uniwersytecie (1801), prócz tego obdarzył naukową literaturę polską, tak ubogą w dzieła przyrodnicze, kilku poważnemi dziełami naukowemi. Poważny, pracowity, odznaczał się trzeźwością umysłu, która cechowała Sniadeckich, i nie pochwalał marzycielstwa w młodzieży, dla której bywał czasem cierpkim, szczególnie jako prefekt kandydatów stanu nauczycielskiego *) Zamiłowanie w nauce

*) Lelewel, który był takim kandydatem, skarży się przed bratem (2 stycznia 1808) na Jundziłła i Sniadeckiego Jana: „Dla przykładu dość powiedzieć, że Jundziłł chce, aby kandydaci włosy do góry zaczesywali.... Sniadecki, aby wszyscy jego staraniem wydrukowanego Euklidesa studyowali — owoż uczone głowy!“ W miesiąc jednak potem pisze: „My teraz z daleka, oba nawzajem bardzo grzeczni, bo i Jundziłł teraz, jak go nie posłuchano, ucichł.“

miał takie, że aby się jej oddać zupełnie, nie przyjmował dostojeństw kościelnych i wyrobił sobie nawet u papieża zwolnienie od wszelkich obowiązków kapłańskich, a i wtedy gdy został emerytem (1824), nie przestawał bacznie śledzić za postępem nauk przyrodniczych.*)

Józef Frank, profesor terapii i kliniki, był pierwszą powagą na wydziale lekarskim; głośny z nauki, surowo przestrzegający, aby uczniowie ściśle wypełniali swoje obowiązki, po za urzędowem stanowiskiem był on łatwy w stosunkach i przystępny dla uczniów. Zapraszał nawet młodzież uniwersytecką do siebie, a ponieważ i on i jego żona zamiłowani byli w sztukach pięknych, szczególnie w spiewie i muzyce, ponieważ w salonach jego gromadziło się wiele osób znakomitych czy to stanowiskiem, czy majątkiem, czy nauką, czy talentem, młodzież więc w jego domu miała sposobność zbliska „przypatrzeć się laurom na rozmaitych polach zdobytym“ i znajdowała niejako szkołę wyższego świata.

Lelewel, który stałym profesorem uniwersytetu wileńskiego został dopiero 1821, w latach, o które nam chodzi, był zastępcą

*) Sobarry, Obrazki litewskie, str. 92.

profesora historyi. W tym samym roku rozpoczął on wykłady, w którym Adam Mickiewicz przybył do Wilna, i odrazu zaczął ściągać tłumy słuchaczów do swego audytoryum. Sam młody profesor dziwił się tej swojej popularności i w liście do ojca 9 listopada 1815 r. pisał: „Nie wiem, co tak powabnego słuchacze moi znajdują, bo będąc na ich miejscu możebym się wyrzekł pilności i ciekawości. Błoto mamy, nieprzyjemny czas, niemroźny, ale nieznośnie, zimny i wilgotny, a pomimo tego o ciemnej godzinie (Lelewel wykładał od 6ej do 7ej wieczorem) do półtorasta może i więcej ich się zbiera, ztąd w sali gorąco i kataru mnie nabawiają". Tym magnesem ściągającym słuchaczów na prelekcye młodego profesora nie była naturalnie jasność i płynność wymowy, ale gruntowność badań naukowych i szczery zapał do nauki, którą wykładał, zapał, który zdolny był nawet wśród najsuchszych wywodów rozpalić wyobraźnię jego i niejako magnetycznie udzielał się słuchaczom. Doskonały portret Lelewela dał Mochnacki w swojej historyi powstania listopadowego. „Ten uczony, powiada on, łączył w sobie dwie rzeczy na pozór wręcz przeciwne: pracę niezmordowaną w dociekaniu suchych szczegółów i imagi-

nacyę, którą pewne zjawisko w zamierzchłej dali naszych czasów rozpaliły. W wejrzeniu też jego i postawie wybijały się te dwa osobliwe przymioty, rzadko u którego starych dziejów badacza zespolone. Lice blade, zapadłe, głowa cokolwiek pochylona, oznaczały antykwaryusza, a poetę blask w oku żywem, przenikliwem, podnoszącem charakter tej ujmującej melancholicznej fizyognomii".

Najważniejszą osobą na wydziale literackim był Ernest Grodek, uczony filolog, profesor literatury łacińskiej i greckiej, zacięty wróg Jana Sniadeckiego, którego nienawidził za pogardliwe traktowanie filologii i niemieckiej filozofii. Gruntowny znawca klasycznej filologii, znający przytem dobrze język polski i wielbiący jego siłę i bogactwo, mógł on doskonale wtajemniczać swoich uczniów w piękności klasycznej poezyi. Nie trzymał się on przytem zdaleka od nich, chętnie przypuszczał do siebie i jeszcze w r. 1808 Lelewel, kończący wówczas studya, chwali go w liście do brata: „Człowiek światły, pracowity i prawdziwie uczony, udzielał mi, jakie mógł mieć książki, nawet swoje rękopisma". Gorliwy krzewiciel wolnomularstwa, które jeszcze wówczas pod berłem rossyjskiem było dozwolone, zajmował on w loży

wileńskiej ważne stanowisko, był jej mistrzem.

Leon Borowski, kolega uniwersytecki Lelewela, należał do młodszych wiekiem profesorów uniwersytetu. Był on jakiś czas po ukończeniu kursów (1807) nauczycielem gimnazyalnym w Świsłoczy, potem w Wilnie, po śmierci zaś Euzebiusza Słowackiego zajął w uniwersytecie wileńskim z początku jako zastępca profesora katedrę wymowy i poezyi. Działalność jego literacka szczuplejszą była od profesorskiej. Jeszcze na ławkach uniwersyteckich próbował tłómaczyć ustępy z Moliera i Ossiana, którego jednak nie znał wówczas w oryginale. W r. 1879 drukował w *Dzienniku Wileńskim* swoje tłómaczenie Miltona *Allegro* i *Penseroso*, tym razem już z oryginału jak to widać z przypisów. Mamy próbki i oryginalnej poezyi jego, jak n. p. *Śpiewek o Leszku i Goworku* w tymże *Dzienniku Wileńskim* z 1817 roku, albo prolog na przyjęcie Niemcewicza w Wilnie 1819 r., ale próbki te prócz gładkości wiersza niczem się nie zalecają i świadczą, że Borowski myśli swoich „nie był zdolny upierzyć“, jak to sam o sobie pisał w roku 1828 do Mickiewicza Za to obszerna recenzya komedyi Niemcewicza *Samolub*, umie-

szczona przez niego w *Dzienniku Wileńskim* z 1815 r., wskazuje, że posiadał bystry zmysł krytyczny i obszerne oczytanie, a swobodne wypowiadanie zarzutów takiej powadze, jaką był wówczas Niemcewicz, dowodzi, że się nie krępował żadnymi względami literackiej uprzejmości. Literaturę europejską znał dobrze i nie był bynajmniej ślepym czcicielem klasycyzmu, o czem się można przekonać z jego *Uwag nad poezyą i wymową*, umieszczonych w *Dzien. Wil.* z 1820 r. Niektóre niewydane prace Borowskiego, miały uledz zniszczeniu, inne pozostały podobno w rękopisach. Do niewydanych prac należy tłómaczenie *Don Kiszota*, które Michał Baliński nazywa wybornem.

O tem, jakim był jako profesor dla uczniów, a w szczególności dla Adama, poucza nas najlepiej pewien ustęp z *Listow* Odyńca (I, 347). Adam, jak to już wiemy, w pierwszym roku pobytu na uniwersytecie, jako stypendyat zapisany był na wydziale fizycznym i nie będąc jeszcze właściwie uczniem Borowskiego, tylko jako amator bywał na jego wykładach. „Nie przeszkadzało to jednak gorliwemu profesorowi, mimo ciągłych prac i zajęć własnych, poświęcać często po kilka godzin czasu dla obcego mu całkiem mło-

dzieńca, skoro w nim odkrył zaród prawdziwego talentu.“ Mianowicie już dwa pierwsze ćwiczenia Adama zwróciły na siebie jego uwagę, pochwalił je publicznie i wezwawszy do siebie Adama, zajmował się nim potem z „prawdziwie ojcowską, ale zarazem i pedantyczno-mistrzowską troskliwością“. Adam długo nosił w sercu wdzięczność dla swego profesora i w r. 1829 wspominając o nim Odyńcowi, powiadał, że „przez długie lata przy każdem pisaniu wierszy, czuł zda się obok siebie sztywną i zimną jak posąg twarz i postać pana Leona, gdy bez żadnej litości dla rymu lub dla harmonii wiersza, z nieubłaganą surowością Minosa, ścigał każdą myśl nielogiczną, każde niejasne wyrażenie, każdy wyraz niewłaściwie użyty“. „I przypominaliśmy oba z rozrzewnieniem, mówi dalej Odyniec, owe istne czyścowe próby w gabinecie jego pod kluczem: gdy przyniesiony rękopis, wycackany i wychuchany jak można, a miany za *monumentum aere perennius* — wynosił się pokrzyżowany na cmentarz, który i górne o sobie mniemanie autora i nadzieję chwały z niego pogrzebał.“

Nareszcie koniecznie tu trzeba wymienić człowieka, który jakkolwiek nie profesor ale tylko bibliotekarz uniwersytetu, miał

wielki wpływ, może większy od innych, na młodzież. Był nim nazwany już raz Kazimierz Kontrym, o którym Ignacy Domejko powiada, że „był człowiekiem bardzo zacnym, nieco gdérą, kapryśnym i nieprzyjacielem szlachty, ale przystępnym dla wszystkich, ruchawym i wielkim budzicielem do pracowitości i oświaty.“ Za młodu służył wojskowo, w r. 1794 walczył jako prosty żołnierz artylleryi, potem udało mu się otrzymać miejsce sekretarza uniwersytetu wileńskiego, a następnie adjunkta biblioteki. W dalszym toku poznamy bliżej jego działalność, bo niejednokrotnie zdarzy się sposobność mówienia o nim.

Ten zbiór ludzi światłych i uczonych, niezależnych stanowiskiem, o silnie ugruntowanych przekonaniach, to tak świetne, choć niezbyt zgodne ognisko inteligencyi otoczone było w koło staro-szlachecką sferą ze wszystkiemi jej patryarchalnemi cnotami, ze wszystkiemi nieszczęsnemi ułomnościami, z całym obskurantyzmem po dwóch ostatnich wiekach odziedziczonym. Życie nad stan, gra w karty, pijaństwo, próżniactwo i nieoględność, wszystko to wiodło szybkim krokiem fortuny możniejszych do upadku: exdywizye były na porządku dziennym. Francuzczyzna

i tytułomania panowały w bogatszych domach. Pieniactwo było powszechnem, a wskutek tego tem hałaśliwszymi i niesforniejszymi stawały się sejmiki, na których co trzy lata obierano sędziów i innych urzędników prywatnych. Stosunek pana do chłopów opierał się na niewoli, którą rewolucya francuska i miecz Napoleona zniósł do szczętu w całej Europie aż po Niemen. Nie brakło i stron dodatnich, jak pobożność, serdeczność, gościnność, gotowość do poświęceń dla dobra publicznego, które tak żywo odmalował Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*.

Epopeja ta jest idealnym obrazem owego społeczeństwa, pomimo jednak całej swej idealności nie usuwa i ona ujemnych stron litewskiej staroszlachetczyzny, i owszem niektóre z nich rozsnuwa nawet szeroko; tylko powlekając je złocistą barwą humoru, odejmuje im całą cierpkość i gorycz realnego bytu.

Rzecz naturalna, że między tą staroświecką sferą a ogniskiem nowych pojęć musiał się wytworzyć antagonizm. Tlał on zapewne od początków reformy uniwersytetu, ale zwiększać się musiał w miarę, jak przybywało coraz więcej sił nauką zachodu wykarmionych, i jak coraz szerszą w koło siebie wytwarzał uniwersytet inteligencyę, której pro-

mienie zaczęły zaglądać do najgłuchszych zakątków. Krytyka przestarzałych pojęć, przywar i nałogów szlacheckich z początku poufna, stawała się coraz głośniejszą, wreszcie wystrzeliła na świat drukiem w piśmie humorystyczno-satyrycznem p. t. *Wiadomości Brukowe.*

Pismo to miało oryginalny początek. Zaczął je wydawać Ignacy Emanuel Lachnicki, młody literat wileński, wyznawca magnetyzmu zwierzęcego i gorliwy krzewiciel mesmeryzmu. Pierwsze dwa numera *Brukowych Wiadomości*, na których nie ma nawet daty, puszczone były luźnie przez niego w celu odmszczenia się za śmiechy i żarty i szyderstwa, jakie się sypały z różnych stron na magnetyzerów, których chciano nawet na deskach teatralnych wyszydzać. Po puszczeniu dwóch numerów, Lachnicki zaniechał dalszego wydawnictwa, ale myśl wydawania satyrycznego świstka podobała się Kontrymowi i jego przyjaciołom, i ci podjęli ją i zaczęli z początkiem 1817 r. wydawać już regularnie co sobota humorystyczno-satyryczne pisemko pod utartym tytułem *Brukowych Wiadomości*. Dziwną rzeczy koleją, to samo pisemko, które pod redakcyą Lachnickiego wyszydzało przeciwników magnetyzmu, w pier-

wszych numerach pod nową redakcyą zwróciło się przeciwko magnetyzerom i ich wyłącznie na zęby wzięło. Ale ten wyłączny kierunek *Brukowych Wiadomości* trwał niedługo; już w ósmym num. (27 stycznia 1817) wystąpiły z tak gryzącą ironią na staroszlacheckie narowy, że jakkolwiek ironia ta żadnej osoby wyraźnie nie dotykała, znaleźli się przecież tacy, którzy wydawców pisma przed sąd chcieli pozywać, jak to czytamy w *Listach* Lelewela (I. 265). Utworzył się był w tym czasie około *Brukowych Wiadomości*, w celu dalszego ich wydawania, klub towarzyski, który przybrał nazwę *Towarzystwa Szubrawców*. Historyę utworzenia się tego klubu opisał humorystycznie w wierszowanej mowie, czytanej na jednem z posiedzeń towarzystwa, Michał Baliński, jeden z młodszych, ale najczynniejszych jego członków:

W parnym miesiącu sierpniu podczas kanikuły
Wiadomo, że się nieraz głowy ludziom psuły,
Co to wiatrem nadąwszy mózgownicę ciasną
Nie wiedzieli, co robić z swą figurą własną,
Bacząc na te zdrożności nasz pan Dzidzis Lado
Za Poklusa i innych przedrwigłówków radą,
By jakieś magnetyczne uprzedzić roztyrki,
Wypalił jak z Baroko gatunek satyrki;
A żywo zachęcony tak zręcznym przypadkiem
Palnął i drugą, piórem złośliwem lecz gładkiem.

Na odgłos tych pisemek ruch się wszczyna wielki,
Lecą czytać, ten piątki, ten się zrzekł butelki,
Rzucają szepty, plotki, czego tu nie było,
Czyta Pamela, Edward, Barbara, Kiryło,
Wtenczas Poklus, zważając po zakroju takim,
Że się ten świstek może stać nieladajakim,
Układa w płodnej zawsze na projekta myśli,
Czy nie dobrzeby na nim literaci wyszli:
Wre mu głowa, jak kocioł, a w nagłym zapędzie,
Drwi ze wszystkich, drwi z tego co było, jest, bę-
[dzie.
A wnet głos jego tęgi, twardy, zajękliwy,
Zwołał tłum literatów goły i drażliwy,
Deszcz padał i wiatr świstał, słota była groźna,
Ciągnie jednak czereda braci naszych luźna,
Idzie każdy, nie bacząc na wszelkie zawady,
Wspierać zdrowem swem zdaniem tak ważne
[narady,
W mieszkaniu to Pateli przy dobrej herbacie
Zawiązało się grono....*)

Głównym agitatorem i organizatorem był Kontrym, on też wraz z M. Balińskim największy brał udział w ułożeniu statutu towarzystwa, który został uchwalony na schadzce czyli posiedzeniu szubrawców 18 czerwca

---

*) *Mixtum Chaos* czyli Historya szubrawstwa chronologicznie ułożona. Tygodnik wileński T. VIII str. 60, 61.

1817 r. a później nieco zmodyfikowany i dopełniony.

W pierwszem prawidle tego statutu wykazane są cele towarzystwa. „Zadaniem towarzystwa jest, nie mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogąc być prawem powściąganemi, są jednak społeczności bardzo szkodliwe, a u nas z dawna pospolite, i co gorsza, że w pospolitem mniemaniu za występki i wady najczęściej nie są poczytywane“. Dalej następuje kategoryczne wyliczenie tych przywar: pijaństwo, gra w karty, czekino, bilard, naturalnie połączona „ze stratą czasu, wstydu i majątku“ i mniemanie „jakoby można być obywatelem światłym i do urzędu prawo mającym, nie zajmując się nigdy w życiu ksiąg czytaniem“; dalej „źle zrozumiana miłość narodowości, zalążca na tem, ażeby bez rozeznania chwalić to wszystko, co własne i dawne, a poczytywać za czernienie narodu, kiedy się wytykają przywary ogólne.“ Wreszcie „hojność w obietnicach a nierzetelność w dotrzymaniu słowa; wielkie nakłady na powierzchowną okazałość, a skąpstwo na życie prawdziwie wygodne“, „w potrzebowaniu cudzej pomocy i usługi zbytnia uniżoność, a w innych

zdarzeniach butność i pogarda dla drugich“ itp.

W dalszych prawidłach jest mowa o członkach i urzędnikach towarzystwa i ich obowiązkach. „Członkowie są dwojakiego rodzaju: miejscy i wiejscy, *urbani et rusticani*. Pierwszych liczba ogranicza się do czterdziestu, a każdy nie w młodszym wieku przyjmuje się, jak mający dwadzieścia pięć lat skończonych“. Każdy należący do towarzystwa przybierał sobie jakąś nazwę, wziętą z mitologii litewskiej, i ta nazwa służyła mu „we wszystkich czynnościach szubrawskiego zawodu“. Obowiązki członków były dwojakiego rodzaju. Naprzód każdy szubrawiec powinien był wystrzegać się tych wszystkich przywar, przeciwko którym towarzystwo występowało, a przedewszystkiem nie używać napojów mocnych aż do utraty sił i przytomności, w żadną grę nigdy nie grać dla wygrania, gdyby zaś wciągnięty w grę cokolwiek wygrał, oddać to zaraz najbliższemu szpitalowi; przez całe życie czytać przynajmniej jednę gazetę polityczną i jednę literacką, każdego miesiąca przeczytać przynajmniej jednę książkę, mieć własnych ksiąg przynajmniej dziesięć i przynajmniej jednem dziełem co rok zbiór swój pomnażać. Powtóre powinien

był każdy miejski szubrawiec regularnie bywać na schadzkach i przynosić co dwadzieścia dni pisma do *Brukowych Wiadomości* przynajmniej na ćwiartkę druku. To pismo odczytywane było na posiedzeniu i jeżeli pozyskało większą połowę głosów obecnych członków, drukowano je.

Urzędnicy, na rok „prenumeratorski“ wybierani, byli następujący: prezydent, mowca, strażnik porządkowy, sekretarz i redaktor. Trzej pierwsi mieli zastępców. Prezydent po zebraniu się szubrawców, dawał znak dzwonkiem, że zaczyna się schadzka, a usiadłszy nakrywał głowę, w czem go wszyscy zgromadzeni naśladowali. Zwykły porządek dzienny posiedzeń bywał następujący: *a*) czytanie wywodu słownego schadzki przeszłej, *b*) podpisanie zaprzeszłej, *c*) czytanie *Wiadomości Brukowych*, numerku przeszłego, jeżeli większość sobie tego życzyła, *d*) czytanie rozmaitych pism, wypracowanych przez szubrawców, *e*) rozmaite wnioski i ich załatwienie, *f*) czytanie i wybór materyi dla przyszłego numerku *Wiadomości Brukowych*. W końcu wyznaczano tych, co mieli czytać coś swego na przyszłem posiedzeniu, zapisywano nieobecnych i wotowano nad poleconymi kandydatami, przyczem jeżeli choć jeden głos był

przeciwny, to jest, jeżeli choć jedna z rzuconych kartek była rozdartą, kandydatura upadała.

Mowca wyręczał prezydenta w czytaniu i mówieniu, skoro tylko był przez niego wezwany; strażnik przestrzegał porządku, wykraczających przeciw niemu ostrzegając stukaniem po podłodze łopatą, sekretarz układał wywód słowny (protokół), redaktor wydawał *Wiadomości Brukowe*, wprawdzie pod bezpośrednim dozorem komitetu redakcyjnego, ale na swój własny zysk lub stratę i tak dalece odpowiedzialny był za wszelkie omyłki czy to dziennikarskie, czy gramatyczne, historyczne i inne, że od pierwszych płacił po kopiejce, od innych po pięć na rzecz szpitalów. Rozdawano prócz tego w towarzystwie rozmaite dostojeństwa, jako dowód szczególniejszych względów, ale do tych dostojeństw nie były przywiązane żadne szczególne obowiązki lub prerogatywy. Tylko fundator, który materyalnie wspierał towarzystwo, miał wielkie honorowe atrybucye.

Cały ten regulamin obowiązywał członków miejskich. Dla rustykanów uchwalono osobny dodatek do kodeksu na schadzce 26 stycznia 1819 r. Dzielili się oni na dwa oddziały: rustykanów pierwszego i drugiego

rzędu. Rustykanie pierwszego rzędu byli to członkowie honorowi, wybierani z pomiędzy ludzi, którzy odznaczyli się w zawodzie literackim lub sztuk pięknych i mieli „lata urbańskie.“ Otrzymywali oni nazwy szubrawskie, a czasowo bawiąc w Wilnie, bywali na zgromadzeniach szubrawców. „Rustykanie drugiego rzędu, powiada kodeks, są jak klienci w starożytnym Rzymie“. Wybierali się oni albo z ludzi niemieszkających w Wilnie, ale znanych z ukształcenia i upodobania w naukach, albo z młodzieńców, mieszkających w tem mieście, którzy nie mieli lat dostatecznych na urbanów, a czynili „nieobojętną nadzieję odznaczenia się w przyszłym czasie przez prace literackie.“ Nie otrzymywali oni nazwisk szubrawskich, nie znosili się bezpośrednio z towarzystwem, ale tylko przez nadanych sobie patronów i w schadzkach nie uczestniczyli, ale po roku, złożywszy dowody pilnego wykonywania obowiązków i szczególnej gorliwości, mogli otrzymać urbanią bez względu nawet na nieletniość.

Towarzystwo szubrawców przez ciąg swego istnienia miało dwóch prezydentów: pierwszym był Jakób Szymkiewicz, z przydomkiem Perkunasa, drugim Jędrzej Snia-

decki z przydomkiem Sotwarosa, nazywany także Rejem.

P. Bernard Ottman w swoim *Przyczynku do historyi Towarzystwa Szubrawców*, drukowanym w krakowskiej *Reformie* z dnia 5 kwietnia 1882, twierdzi na podstawie papierów pozostałych po Michale Balińskim, że Szymkiewicz był nie pierwszym, ale drugim prezydentem szubrawców, pierwszym zaś miał być Kazimierz Strawiński, sędzia graniczny powiatu trockiego. Ale dokument urzędowy szubrawski, który autor przytacza i na którym głównie się opiera, nie dowodzi bynajmniej, żeby Strawiński miał być prezesem szubrawców, a tylko, że był „prezydentem komitetu do ułożenia kodeksu szubrawskiego.“ I owszem z dokumentu tego (jest to powołanie M. Balińskiego na członka komitetu) można wręcz przeciwny wyciągnąć wniosek, skoro Strawiński pisze do Balińskiego jako do szubrawca w ten sposób: „Należysz odtąd do mojej prezydencyi i władzy.“ P. Ottman opiera swoje twierdzenie i na innej jakiejś notatce, ale jej nie przytacza. Bądź co bądź Strawiński, pomimo iż był prezydentem komitetu ustawodawczego, nie odgrywał potem ważnej roli w towarzystwie szubrawców.

Tak Szymkiewicz, jak Śniadecki celowali dowcipem, humorem, i obaj zajmowali poważne stanowisko w świecie naukowym, bo i Szymkiewicz był członkiem wielu towarzystw uczonych, członkiem honorowym uniwersytetu wileńskiego, doktorem nauk wyzwolonych, filozofii, medycyny i chirurgii. Nie poprzestawał on na wycieczkach przeciwko pijaństwu, umieszczanych w *Wiadomościach Brukowych*, i napisał cały traktat o pijaństwie, który wyszedł z druku niedługo przed śmiercią autora w r. 1818. W testamencie, dzieląc swój majątek pomiędzy rodzinę i przyjaciół, zapewnił dla chłopów swoich wieczyste posiadanie ziemi i ustanowił osobny fundusz na wychowanie ich dzieci. Prócz tego porobił inne dobroczynne zapisy (dla ubogich uczniów w szkołach publicznych, dla muzyków wileńskich, na szkołę rzemieślniczą w Wilnie, na Towarzystwo dobroczynności i inne.) Słowem był to filantrop nietylko w słowie, ale i w czynie. Do ruchliwszych i wybitniejszych członków towarzystwa należeli Kontrym, główny organizator, znany w towarzystwie pod nazwą Poklusa albo Jubilata, Michał Baliński, strażnik łopaty, noszący nazwisko Auszlawisa, Leon Borowski, zwany Pergrubiusem, a piastujący urząd mow-

cy, wreszcie jego pomocnik, witajnik drugiego rzędu, Ignacy Szydłowski w towarzystwie Gulbim zwany. Ignacy Szydłowski, młody profesor gimnazyalny w Wilnie, wyróżniał się z pomiędzy ówczesnych wierszopisów nietylko większą gładkością wiersza, ale i większem poczuciem artystycznem, w utworach jego jednak, umieszczonych w ówczesnych pismach literackich, nie widać oryginalności, ani siły; naśladował Horacego, J. B. Rousseau i Fontenelle'a, którego tłómaczył. Ale w niektórych wierszowanych mowach, któremi stosownie do zwyczaju i swego urzędu witał nowowprowadzonych do towarzystwa członków, wiersz jego nabierał nadzwyczajnej mocy i oryginalności. Szczególnie jedna z tych mów, napisana w r. 1818 *) zasługuje na wielką uwagę, bo w niektórych jej ustępach zbliżył się Szydłowski do *Ody do młodości* Mickiewicza, która pomimo całej swej wyższości polotu, natchnienia i formy jest jej widocznie pokrewną. W tej mowie, którąby można nazwać *Odą do szubrawstwa*, poetycznym manifestem szubrawców, nietylko streściły się doskonale ich zasady, ale wyraził się też

*) Pamiętnik warszawski T. XII. str. 226.

wybornie i ów duch bojowy, owa ufność w swoją sprawę i powodzenie, jaka ożywiała tych zapaśników oświaty i postępu. Oto ustęp z tej mowy:

Nie dosyć w zakresie ciasnym,
Myśląc o pożytku własnym,
Powinnościom stanu służyć;
Ale udzielonych z nieba
Wszystkich zdolności potrzeba
Dla dobra współbraci użyć.
. . . . . .
A tak czy syn marnotrawny
Trwoni majątek pradziadów,
Czy pieniacz przez podstęp prawny
Własność wydziera sąsiadów:
Czy w sutanie lub w habicie
Kapłan wiodąc gnuśne życie
W dzbanie resztę zmysłów topi;
Czy lichwiarz drze nieszczęśliwych,
Czy pod jarzmem panów chciwych
Nędzni narzekają chłopi:
Czy w płochej dumy zapędzie
Nieuk, siadłszy na urzędzie,
Cudzą peroruje mowę;
Czy górę bierze intryga;
Wszystkie zuchwałe bezwstydy
Szubrawiec mężnie dościga,
I głosi je dla ohydy
Przez *Wiadomości Brukowe*.

Darmo się nań niechęć sroży,
Darmo potwarz jad wyziewa;

Groźba szubrawca nie trwoży,
I złość bezsilna nie gniewa,
Pewny swojego oręża,
Wesół zawsze, bo poczciwy,
Odpiera pocisk złośliwy,
I żartem wrogów zwycięża.

Tak gdy na nadbrzeżną skałę
Wyparte z Eola turmy,
Srożąc się wichry zuchwałe
Wywrą zapalczywe szturmy:
Wzdymają się morza smugi
Tłukąc jej boki z łoskotem,
Brzemienne piorunów grotem
Nad głową ryczą szarugi;

Lecz wściekłość żywiołów marna,
Wysila się burza czarna,
Powraca miła pogoda,
A opoka niezachwiana
Widzi, jak wprzód zbuntowana,
Stopy jej całuje woda.
Oto rys Szubrawskiej cnoty! i t. d.

Wiadomości Brukowe robiły ogromne wrażenie. Wszystkie nałogi, przywary i przesądy, z którymi się społeczeństwo ówczesne tak zrosło, że wydawały się czemś zwyczajnem, naturalnem, wyprowadzone tu były na widok publiczny i oświetlone jaskrawym ogniem ironii i dowcipu. Każde pojedyńcze nadużycie, jeżeli tylko doszło do uszu szu-

brawców, tu odbierało zasłużoną chłostę. Panował przytem w *Wiadomościach* ton swobodny, nie było maniery. Pomysłowości nie brakło szubrawcom; ztąd też sarkazm i humor w coraz to nowe wylewał się formy, co sprawiało miłą rozmaitość. Jedna tylko forma powtarzała się dość często: były to wędrówki szlachcica na łopacie, naturalnie czarodziejskiej, która pozwalała mu bujać po nad Wilnem i całą Litwą i zaglądać przez kominy tam, gdzie nawet drzwi i okna przed szubrawcami zamykano.

Ludzie, co się czuli dotknięci, nie cierpieli szubrawców. Do niechętnych należał także Lelewel, urażony poniekąd słusznie za artykuł w numerku 14tym (1817) pod tytułem: „Jak Pantagruel spotkał Mazura, który chciał uczenie i pięknie mówić po polsku.“ Artykuł ten, napisany z szalonym humorem, wymierzony był przeciw polszczyznie Lelewela mocno zawiłej i upstrzonej nowo ukutymi przezeń wyrazami. Jeżeli język Lelewela w ówczesnych jego pismach zasługiwał na lekki humorystyczny przycinek, to jego gorliwość, sumienność i zamiłowanie nauki powinny go były ochronić od dotkliwych szyderstw, jakie go tam spotkały. Musieli to sami szubrawcy zauważać i starali się zape-

wne przeprosić Lelewela, bo ten w liście do brata (22 stycznia 181[illegible]) mówi o nich: „Żałują oni często, ale myśl krotofilna nieuważnymi ich czyni.“ Liczbę niechętnych przeważali zwolennicy, do których serca szlachetne zasady i postępowe pojęcia prędko znalazły drogę. Czuli się oni pociągnięci ku szubrawcom siłą ich dobrej woli, humoru i fantazyi. Wszyscy zaś z nadzwyczajnem zajęciem spoglądali na szubrawca, który był znany jako taki. „Ledwom wyszedł na ulicę, pisze Jędrzej Sniadecki w swojej *Próżniacko filozoficznej podróży po bruku*, zaraz wszyscy zwracają na mnie oczy. Jedni drugich ostrzegają, to mrugnieniem, to syknieniem, to kiwaniem ręką lub głową i dają znać, że idzie owo rzadkie cudo, ów dziwoląg, którego poważają, lub którego się boją. Robi się jakiś szmer, jakiś ruch na ulicy. Jedni zmykają w stronę, gdzie mogą, drudzy wbiegają do domów, do których iść nie myśleli; ci przebiegają co prędzej, nacisnąwszy czapkę lub kapelusz na oczy, tamci stawają, jak wryci, lub przechodzą ze spuszczonemi na dół oczyma. Tu sobie coś szepczą do ucha i zatrzymują się nieznacznie dla lepszego obejrzenia mnie naokoło; tam, skorom przeszedł, słyszę, że się z cicha, a czasem do rozpuku

śmieją.“ Mochnacki powiada o szubrawcach, że „powoli takiego wpływu nabrali, tak ostre mieli pióro, że każdy, kto się poczuwał do winy, drżał na samo ich wspomnienie“. „Od pory, jak odważono się drukować to bezecne pismo, pisze nibyto jakiś szlachcic starej daty w *Brukowych Wiadomościach*, nie ma domu o dziesięć mil wokoło, gdzieby nie zjeżdżano się co niedzielę w wieczór połykać te brednie.... Naucz się, Mospanie, że nasi młodzikowie rozpływają się w tem piśmie“....

Najwymowniejszym jednak dowodem wpływu, jaki szubrawcy w przeciągu jednego roku wydawania swego pisma wywarli na umysły, było podniesienie na gubernialnym sejmie wileńskim, w styczniu r. 1818, sprawy uwolnienia włościan z poddaństwa. „Trzy powiaty, pisze Lelewel do ojca (Listy I. 297) dały zalecenie delegatom swoim, aby tę sprawę popierali. Zawisza, Mirscy, najżywiej obstawali: szubrawcy poklaskiwali i po całem mieście gawędę siali.“ Pomimo silnej opozycyi, pomimo gróźb gubernatora Lubeckiego, stanęło na tem, że wybrano komitet, który miał ułożyć przedstawienie do cesarza w sprawie uwolnienia chłopów i polepszenia ich bytu.

Oprócz szubrawstwa były wówczas na umysłowym horyzoncie wileńskim dwa inne jeszcze godne uwagi zjawiska: wolne mularstwo i mesmeryzm. Co się tyczy pierwszego, liczyło ono bardzo wielu członków, ale było już wówczas formą bez ducha, stało się igraszką, która bawiła tajemniczością form, łechtała próżność wtajemniczonych, ale żywotnej treści niemal zupełnie była pozbawioną. Karol Kaczkowski opisał w swoich pamiętnikach tajemnicze a zabawne ceremonie, przez które musiał przechodzić w loży massońskiej, będąc do niej przez Grodka wciągniętym. A było to już wtedy, kiedy starano się upraszczać formy przez wzgląd na opinią, w skutek „wielkiej awantury“, jaka się stała w loży masońskiej na początku wiosny 1818 roku. Szymkiewicz, prezes szubrawców „w jasnym bardzo wschodzie siedzący, który już miał od wielkiego wschodu z Warszawy siódmy stopień otrzymać“, przekonawszy się o bezpożyteczności i beztreściwości farmazoństwa, postanowił powiedzieć całą prawdę w oczy stowarzyszonym i w tym celu napisał mowę, w której, „w dobitnych wyrazach, pisze Lelewel do brata (Listy I. 316), uczcił całe zgromadzenie oszustwem, że za pieniądz i grosza wyłudę, plączą w śmieszne przy-

sięgi dochowywania sekretu, który nie egzystuje", twierdził „że czas jest, dziki i wzgardy godzien mistycyzm porzucić, pewne cele obrać, stać się pożytecznym, zamiast szkody, jaką moralności zadaje stowarzyszenie, w którem tyle niecnót się kryje, czas uczynić reformę." Szymkiewicz dla słabości piersi (było to niedługo przed jego śmiercią) nie mógł sam tej mowy odczytać i dał ją do odczytania Kazimierzowi Kontrymowi, który niedawno przedtem wstąpił był do wolnych mularzy i widocznie musiał podzielać poglądy Szymkiewicza.

Mowa ta wywołała ogromne wrażenie nietylko w łonie wolnomularstwa, ale w całej Litwie, a bezpośredniem jej następstwem było to, że wielu członków z loży masońskiej wystąpiło, Kontrym zaś zaczął pracować nad planem moralnej reformy wolnomularstwa.

Jakkolwiek jednak wolnomularstwo ówczesne było już w ówczas dziwolągiem bez życia wewnętrznego, nie można stanowczo twierdzić, że nie pozostawiło ono pewnych dodatnich skutków. Rozpowszechniło filantropijne pojęcia, łączyło ludzi różnych warstw i stanowisk i przygotowało grunt dla późniejszych stowarzyszeń i związków.

Gorliwym krzewicielem mesmeryzmu był, jak już powiedziano, Ignacy Emanuel Lachnicki. Mesmeryzm wszedł w modę, kobiety i młodzieńcy, zupełnie jak dzisiaj, chętnie poddawali się doświadczeniom magnetycznym. Osoby chore i niedomagające okazywały w śnie magnetycznym zadziwiającą znajomość fizyologii i medycyny, tłómacząc swoje choroby i przepisując sobie lekarstwa, co śmieszyło i gniewało lekarzy z profesyi. Do najzaciętszych niedowiarków należeli bracia Śniadeccy. Jaką jednak popularnością cieszył się mesmeryzm, wskazuje to fakt, że Lachnicki przez trzy lata 1816, 1817 i 1818 wydawał kwartalnik p. t.: *Pamiętnik Magnetyczny*, pismo poświęcone przeważnie magnetyzmowi zwierzęcemu, do którego jednak wchodziły także artykuły z medycyny popularnej, mechaniki, historyi naturalnej a nawet z dziedziny prawa.

Jak znacznym był wówczas ruch umysłowy w Wilnie, dowodzi tego także liczba pism peryodycznych. Oprócz *Pamiętnika Magnetycznego* i *Brukowych Wiadomości* wychodziły jeszcze w Wilnie w tym czasie dwa pisma naukowo - literackie: *Dziennik Wileński* i *Tygodnik Wileński* i jedno polityczne

*Kuryer Wileński.**) *Dziennik Wileński*, którego redaktorem od 1815 do 1818 był Kontrym, było to pismo miesięczne o bardzo obszernym zakresie treści, bo łączyło w sobie poezyę, literaturę, historyę z naukami przyrodniczemi, matematycznemi, gospodarstwem i t. d. *Tygodnik Wileński*, do wydawania którego pobudził Lelewel, poświęcony był tylko historyi, poezyi i literaturze, a pierwszego roku zajmował się bardzo żywo teatrem. Godną uwagi jest rzeczą, że cały dochód z tych pism pobierali drukarze, redaktorowie zaś pracowali bez wynagrodzenia, tylko dla wewnętrznego zadowolenia. Ciekawy o tem ustęp znajduje się w listach Lelewela: „Dopiąłem do tego, pisze on do ojca 27 lutego 1816, że w Wilnie *Tygodnik* wychodzi i skoro się zaczął, nic już o nim nie wiem, na redaktora wysadziłem jednego z synów obywatelskich, pana sędzica a magistra filozofii (Michała Balińskiego), i ten gorliwie się tem zajmuje. Drukarz mu się tem niżej kłania, że go redakcya nic nie kosztuje, tak też redaktorem *Pamiętnika Ma-*

---

*) Prócz tych pism w r. 1817 wychodził jeszcze w Wilnie Pamiętnik towarzystwa lekarskiego wileńskiego.

gnetycznego jest dworu J. Imp. Mci kammerjunker, filozofii doktor, syn obywatelski, na ostatek *Dziennika Wileńskiego* jest Kontrym, ubogi prawda i z własnej pracy w publicznej służbie w edukacyjnym wydziale utrzymujący się, ale gorliwie swą pracę redakcyi poświęcający. Wszystkim tym redaktorom drukarze nie opłacają się (t. j. nie płacą). Owóż jest tajemnica, dlaczego pisma peryodyczne warszawskie mocno są od wileńskich droższe, bo warszawskich redakcya mocno kosztuje. Redaktorowie swych spekulacyj kieszeniowych pilnują i ów *Pamiętnik* (warszawski), który dwa razy tyle ma prenumeratorów co *Dziennik Wileński*, jest prawie dwa razy tak drogi jak *Dziennik.*" Jeżeli redaktorowie nic nie brali za swoją pracę, to łatwo przypuścić, że i literaci, umieszczający swoje utwory w tych pismach, nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia.

Dla uzupełnienia charakterystyki ówczesnego życia wileńskiego chcę jeszcze dać wyobrażenie czytelnikowi o ówczesnym teatrze wileńskim i innego rodzaju zabawach i rozrywkach wileńskich. Teatr był bardzo lichy; w *Tygodniku wileńskim* z r. 1815 — 16 czytamy same tylko narzekania. „Budynek teatralny jest niezmiernie nędzny, ze wszech

stron wieje; łój spada ze świec, których jest bardzo mało". Na parterze ławek było bardzo mało, te były zwykle powalane. Dekoracye, bardzo nieliczne, były po większej części niezmiernie wytarte i tak zapuszczone, że gdy się wśród aktu scena odmieniała, pył ze spuszczonej opony spadający rozchodził się po całym teatrze i wywoływał powszechny kaszel. I gra aktorów nielepszą była od urządzenia teatru. Było wprawdzie kilku zdolniejszych aktorów, ale ci zostawieni sami sobie, bez żadnego kierunku artystycznego, licho płatni, zmuszeni grać w najrozmaitszych rolach i w coraz to nowych sztukach, nie mogli się wykształcić na dobrych artystów. „Żaden z aktorów naszych nie ma właściwego sobie charakteru, dziś gra w tragedyi osobę najpoważniejszą, jutro w komedyi bufona i toć to jest jedną z największych przyczyn ich mierności. Słowem, prócz szczególnych, ogólne aktorów tutejszych wady są: płaczliwe mówienie, deklamacya prawie żadna; jednakość gestów; w komedyi przesada i dodatki niepotrzebne, które pospolicie dyabłami lub innemi grubemi, uszy i przystojność rażącemi trącą wyrazami. Allegorye nader jasne nie w miejscu i źle użyte, bo czynią zgorszenie dla

obojej płci widzów". „Aktorowie nasi, obojej płci, czytamy dalej narzekania, a to wszyscy bez wyjątku, nigdy się roli nie uczą, tak iż częstokroć stoją na scenie, nic nie mówiąc, lub łając suflera tak głośno, iż wszystko słyszy publiczność. Rozdąsany sufler, chcąc grającym dogodzić, tak głośno podaje, iż wprzód jego niż aktorów słychać słowa, a to na drugim końcu parteru".

Nic dziwnego, że w takim teatrze wykształceńsza publiczność wileńska nie smakowała, z wyjątkiem młodzieży, która, jak świadczy Karol Kaczkowski, gromadnie zbierała się w teatrze. Najlepiej jeszcze udawały się przedstawienia komedyj, najgorzej oper wielkich, bo i te były przedstawiane, jakkolwiek zwykle z opuszczeniem wielu trudniejszych ustępów. Jak komedye, tak i dramaty przedstawiane, były to przeważnie tłómaczenia z francuskiego, jakkolwiek dawano tłómaczone z innych języków a czasem oryginalne sztuki, np. *Oblężenie Warszawy*, o której pisząc recenzent *Tygodnika* wyszydza kostiumy i wytyka, że król Jan Kazimierz, występujący w tej sztuce, „we wszystkich trudach oblężenia" nosi koronę na głowie. Grywano i Szekspira, mianowicie *Hamleta* i *Leara*, ale co to był za Szekspir, daje nam o tem najlepsze

wyobrażenie ten oto początek pewnej recenzyi teatralnej w *Tygodniku Wileńskim* z roku 1816. „Wczoraj (dnia 7go maja) dana była w naszym „wielkim teatrze“ tragedya Szekspira *Król Lear*, tłómaczona z angielskiego na język francuski przez Laplasa, z Laplasa naśladowana przez Diusysa, z Diusysa przełożona na język polski, a to z tak doskonałem stopniowaniem, że między tylą rękami geniusz Szekspira niewiadomo gdzie się podział.“

Wielką uroczystością dla Wilna był przyjazd Bogusławskiego do tego miasta w kwietniu 1816 roku. Teatr, zwykle pusty w znacznej części, zapełniał się licznie, aktorowie starali się grać lepiej pod jego okiem, a najmilej witaną ze wszystkich sztuk, w których występował, była jegoż własna opera: *Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale*. Cześć dla zasług i talentu Bogusławskiego była tak wielką i powszechną w Wilnie, że za pierwszem jego wejściem na scenę (w roli Saula) cała publiczność zgromadzona, nie wyłączając kobiet w lożach, z miejsc swoich powstała. Atoli po wyjeździe Bogusławskiego teatr wileński popadł w dawną odrętwiałość.

Większe powodzenie niż teatr miały, jak się zdaje, maskarady. Najprzyzwoitsze

osoby obojga płci szukały tam rozrywki. Oto co pisze Lelewel w liście do ojca 27 lutego 1816 roku: „Te (maskarady) odbywają się ze zwyczajną Litwie grzecznością i powagą. Nie wspominając licznych i mniejszych, bywały za biletami pięciuzłotowemi zabawy pod imieniem redut czyli maskarady. Aleby sobie kto fałszywe uczynił o nich wyobrażenie, gdyby je po nazwisku na sposób warszawski sądził. Reduty te czyli maskarady są mięszaniną redut i kasyna warszawskiego; na partykularzu, jakim jest Wilno, łacno się w takiej choć publicznej kompanii przystojny dobór osób utrzymuje. Bywało wszystkiego tej zimy koło 200 lub 300 w cząsteczce zamaskowani, w większej części niemaskowani, nie na wytwór, ale najprzyzwoiciej przystrojeni, mężczyźni w butach. Salka, gdzie sześć kół z wygodą pośród stanąć może oprócz obejścia w koło. Masz na chórku muzykę nieustającą i bez przerwy różne tańce: polonezy, mazury, walce, anglezy i kadryle są tańcowane przez niemaskowanych, maski w to rzadko się wdają, nietańcujący i maski mają prócz obejścia wokoło tańcujących po za stołkami tych, co w tej sali tanecznej chcą siedzieć, po jednej stronie salę, po innej wielki pokój, dalej salę, gdzie jest bufet, i za nim

jeszcze salę do przechadzania się i zabawy. Ale te maski nie są zupełnie takie, jak w Warszawie, stroją się zwykle, żeby nie były poznane, stroją się ładnie, ale najwięcej są z pewnym konceptem (ubrane)... Po wielkiej części maski te prawie nieme przechadzają się bez intrygowania i podniecania ciekawości, piszą znajomym nazwiskowe litery, za które wdzięczne ukłony i migi odbierają. Na dwu takich maskaradach być mi się zdarzyło z całą moją satysfakcyą, bom miał sposobność uczynienia grzeczności mojej sąsiadce Szpicnaglowej (żonie profesora uniwersytetu), traktowałem ją i panienkę u niej często przebywającą lodami, cukrami, do karety sadzałem.“

Świat wielki, na czele którego stały księżne Radziwiłłowa i Mirska, miał swoje osobne zabawy, na których ściśle przestrzegano wyłączności. Zabawy te jednak niebardzo się udawały dla braku osób, przynajmniej w roku 1816, jak to z listów Lelewela wypływa. I tak Górski, poczyniwszy przygotowania na wielki bal na 500 osób, „ażeby nie ściągnąć na siebie narzekań o dobór osób“, zdołał zgromadzić zaledwie 30 pań i tyluż mężczyzn. Jak się bawiono na mniejszych zgromadzeniach, kiedy nie było tańców, w

warstwie średniej, daje nam o tem dobre wyobrażenie Lelewel, opisując imieniny u swego gospodarza, profesora Szpicnagla. „We trzech pokojach trzy stoliki z bostonem, jeden pokój destynowany dla młodzieży, było panieństwa dostatkiem i między nie nawet poważni ojcowie się mięszali, bo ruchawej młodzieży nie brakowało. Między tem panieństwem, że je tylko z widzenia znałem, nie mieszając się słyszałem, jak się w myszce gonili, jak grali w wieżę Babilońską, jak w cenzorowanego, asystując bostonistom i uczucia ich podzielając, dopóki nie przypomniało się, że dnia dzisiejszego mam lekcyę, na którą nic gotowego nie było, nie czekając wieczerzy (gdy już sowita herbata i poncz minął) wyniosłem się....“

Te same listy Lelewela, niewyczerpany skarb szczegółów do obrazu życia wileńskiego w owych czasach, dają nam ciekawą wskazówkę o ówczesnem patryotycznem usposobieniu Wilna. Jakkolwiek rząd rossyjski nie występował jeszcze wówczas nieprzychylnie dla narodowości polskiej, a cesarz Aleksander I cieszył się tytułem dobroczyńcy Polaków, głęboko przecież tkwiła w sercu Litwinów cześć dla mężów, co w ostatniej walce o niepodległość podnieśli byli oręż

a największą czcią otoczone było imię Kościuszki. Imię to było popularne we wszystkich warstwach, we wszystkich stanach, to też kiedy w roku 1817 nadeszła wieść o śmierci tego bohatera, wszystko, co żyło w Wilnie, chciało okazać cześć jego pamięci. „Modlili się naprzód prawowierni katolicy za katolika Kościuszkę, nazajutrz zaraz lutrzy i kalwini wspólnie w luterskim kościele. Obrządek odbyli XX. Bernardyni, do ustrojenia katafalku lutrom nietylko swoich całunów i innych potrzeb udzielili, ale sami katafalk dzień cały stroili. W czasie obrzędu byli obecni nawet w luterskim kościele, kiedy nieboszczyka katolika i Boga lutrzy i kalwini chwalili, byli obecni biskupowie chrześcijańscy różnego wyznania, biskup katolicki Puzyna i biskup dyzunicki. I żydzi też zechcieli płakać Kościuszkę.... W parę dni po obchodzie lutersko-kalwińskim miasto czyli mieszczanie w katolickim kościele nowe za niego odprawili egzekwije. Nie skończyło się jednak na tych ceremoniach wyznawców Jehowy, tak chrześcian, jak żydów, jeszcze ta ziemia ma także wyznawców Jehowy mahometanów, a ci także chcą patryotyczny żałośny obrządek za Kościuszkę czciciela Jehowy, katolika, odbyć.

W następujący piątek napełni się meczet wszelkim rodzajem wyznawców Jehowy, i płacząc bohatera, co narodowi zaszczyt zjednał, będą słuchać przemów do wspólnego Boga zanoszonych: przykładu podobnego na świecie nie było, w Polsce naprzód się jawi".

III.

Młodzież uniwersytecka. „Zima miejska“. Stosunek synowca ze stryjem. Zajęcia naukowe Adama i jego stosunek z Borowskim. Trembecki i Piotr Kochanowski jako wzory. Bajki Mickiewicza. „Kartofla“. „Uwagi nad Jagiellonidą“. „Żywila“ i „Karylla“.

Zstąpmy teraz od sfery szerszej życia wileńskiego, która otaczała naszego poetę w pierwszych latach jego pobytu w Wilnie, do sfery ściślejszej — do młodzieży uniwersyteckiej. Liczba akademików wileńskich w owych czasach była przesadnie dotychczas podawaną. I tak Mochnacki w swojem głośnem dziele, mówiąc o tych czasach, powiada, że *tysiąc przeszło* synów Litwy, Zmujdzi, Podola, Ukrainy zapisywało się coroku w poczet uczniów głównej szkoły litewskiej. Ignacy Domejko w swoich wspomnieniach o Filomatach i Filaretach również podaje tę liczbę: „uniwersytet już liczył wię-

cej tysiąca uczniów“*). Tymczasem mamy pewne dane, że jakkolwiek pod koniec istnienia uniwersytetu liczył on w istocie tak wielu uczniów, w czasach, o których tu mowa, w czasach wileńskich Mickiewicza, było ich znacznie mniej. Michał Baliński, który wszędzie na pewnych opiera się źródłach, powiada w swych *Pamiętnikach o Janie Sniadeckim*, że w chwili, gdy tenże Sniadecki opuszczał rektorstwo, to jest na wiosnę 1815, liczba uczniów wynosiła „pięćset z górą“, w jednym zaś z listów Lelewela, z 19 lut. r. 1822, znajdujemy, co następuje: „Uniwersytet jest bardzo liczny tego roku, 670 młodzieży liczy“. Na podstawie tych dwóch cyfr można przypuścić z wszelkiem prawdopodobieństwem,

*) Ignacy Domejko na wstępie do swego wspomnienia sam niejako uprzedza czytelnika, że go pamięć nieraz mogła zawodzić. „Wiem, pewien jestem że pamiętam, że widzę całą ową przeszłość: nie zmarnowałem, nie zgubiłem wałęsając się po dalekich krajach nic z tego, co wyniosłem z domu; ale wypisać, przelać na papier to, co się działo, niepodobna. Co słowo, to się przerywa nić, co chwila, to się przypomina i zapomina, a im się bardziej natęża chęć i pamięć, tem się wydatniej czuje bezsilność i niemożność“. Rocznik Tow. Hist. Lit. 1870 — 72 str. 2.

że liczba uczniów uniwersytetu w pierwszych latach pobytu Mickiewicza w Wilnie wynosiła około 600.

W czasie przybycia Mickiewicza do Wilna nie było jeszcze wśród tej młodzieży wielkiej łączności. Wprawdzie w latach od 1805 do 1808, t. j. wtedy, kiedy Lelewel i Borowski byli jeszcze studentami, potworzyły się tu były z inicyatywy akademika Twardowskiego (późniejszego rektora uniwersytetu) stowarzyszenia młodzieży, mające na celu wzajemne kształcenie się i zlały się potem w jedno towarzystwo, które przybrało nazwę naprzód Towarzystwa nauk i umiejętnoś·i a potem filomatycznego — ale towarzystwo to prędko upadło i w chwili, o której mowa, nie było już ani śladu jego. Karol Kaczkowski, który, jak wiemy, zapisał się na uniwersytet wileński jednocześnie z Mickiewiczem, znalazł pod tym względem, to jest pod względem łączności koleżeńskiej, wielką różnicę pomiędzy Krzemieńcem, skąd przybywał, a Wilnem. „Tam, (t. j. w Krzemieńcu) pisze w swoich *Wspomnieniach* (I. 60) choć szczuplej i zaciszniej, ale jakoś jędrniej i serdeczniej było. Szkoła i miasto stanowiły jedną wielką rodzinę. Tutaj każdy pozostawiony sam sobie, o własnych siłach

wygrzebywać się musi. Solidarności też nie zastałem wielkiej. Każde prawie gimnazyum trzymało się z osobna; Krzemieńczanie żyli głównie ze sobą, Żmudzini również i t. d.“

Młodzież uboga pracowała, uczyła się pilnie, ale majętniejsza przeważnie wiodła życie próżniacze, spędzając czas w cukierniach, przy bilardach lub przy kartach i dopuszczała się gorszących wybryków, jakkolwiek miały one niekiedy patryotyczną barwę. Tym wybrykom sprzyjały bardzo akademickie przywileje. „Uczeń, czyli jak nazywano podówczas akademik, żadnej innej prócz uniwersyteckiej władzy nie podlegał; ta ostatnia wyłączne prawo nadzoru i opieki nad nim posiadała, akademik drwił więc sobie z policyi, a wojskowym nigdy kroku nie ustępował. Wedle raz przyjętego zwyczaju, każdy z nas, mówi Karol Kaczkowski, nosił zawsze w zanadrzu świadectwo akademickie, wykazujące, z jakiego jest wydziału i z którego kursu, a ufny w ten dokument nie obawiał się niczego. Było też to potrzebnem, gdy noszenie munduru nie obowiązywało koniecznie, a zdarzały się sprzeczki, zajścia, nawet bójki, zwłaszcza z wojskowymi, w które policya z obowiązku wdawać się musiała: świadectwo to broniło od ujęcia i aresztu i dość

je było okazać, aby urzędnikowi policyjnemu nosa utrzeć.“

Przykłady takich wybryków i burd znajdujemy w listach Lelewela z 1815 i 16 roku. „Przejeżdżał tu w tych czasach przez Wilno jakiś profesor wiedeński Niemiec, fizyk, i na teatrze dziecinne a nieco kuglarskie doświadczenia pokazywał — był za to wyśmian, wygwizdan i wybit nareszcie. Przyznał się, że pierwsze go często spotykało, ale ostatnie raz pierwszy, w rzeczy samej traktament niegrzeczny. Niesforna młodzież podobno nadto sobie pozwoliła, ile że przy sposobnej porze, przy wywoływaniach dostało się i niektórym paniom w tłustym sposobie, i naszemu dobremu, ale nieobecnemu zastępcy rektora Lobenweinowi; szydząc z profesora Niemca, wywoływano mu: Brawo, wart być rektorem.“ Dla objaśnienia należy dodać, że działo się to w kilka miesięcy po ustąpieniu Jana Śniadeckiego z rektorstwa i że Lobenwein, jego czasowy zastępca, ściągnął był na siebie niechęć młodzieży, ponieważ nie pozwolił jej urządzić wieczoru na cześć ex-rektora, który to wieczór jednak przyszedł potem do skutku, tylko nie pod imieniem młodzieży uniwersyteckiej.

Niedługo po tylko co przytoczonym liście, pisał Lelewel do domu: „Rok ten szkolny pełny jest u nas w uniwersytecie awantur, młodzież niestateczna dokazuje, a nawet i burdy popełnia. Na dniu onegdajszym dziedziniec teatralny już po drugi raz był placem boju z wojskowymi. Uniwersytet nie może się ognać z proc sów ztąd wynikających. Za ostatnią sprawę naprędce wypadł już wyrok, przypłacili za bitwę najmniej winni, którzy jednak z pobojowiska ujść nie potrafili. Jeden z nich, braciszek jednego z profesorów uniwersyteckich, na trzy dni o chlebie i wodzie siedzieć, inny kawaler maltański tym sposobem dni pięć pokutować musiał. W bitwach tych mieli oni awantaż, bo byli z kijami i bili tych, którym oręża z pochew wydobywać się nie godziło.“

Ani temperament Adama, nieskłonny do wybryków i zaczepek, ani położenie jego towarzyskie nie mogło go wciągnąć do życia tej swawolnej i próżniaczej młodzieży — i nie wciągnęło. Były jednak w tem życiu pewne strony, które mogły nęcić jego artystowską naturę, mianowicie swoboda, dostatek, ozdobność form, obfitość wrażeń. To przypuszczenie nasuwa mi wiersz jego p. t.: *Zima miejska*. Wiersz ten drukowany był poraz pierw-

szy w *Tygodniku Wileńskim* 1818 należy więc do pierwszych utworów poetyckich Adama, do utworów tej doby, kiedy poeta, jakkolwiek świetnie już naśladował Trembeckiego, nie wyszedł był jeszcze „ze stanu zwierzęcia.“ Otóż w tym wierszu odzwierciedla on i idealizuje wesołą i swobodną stronę tego próżniaczego życia bogatej młodzieży wileńskiej.

Na wsi zaledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowych śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblokłszy nankiny,
Modnej młodzieży przywoływam koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w lśniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży,
I suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany —
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,

W kolej szlą pełne smaków porcelany,
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy Węgrzyn mocny setnem latem;
Wrą po kryształach koniaki i pącze,
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość myśli nie zaplącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa;
I wdzięk niejeden zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
Boginie dają do rozjazdu h sło --
Zagrzmiały schody i już gości nie ma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony,
I szklannem światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.*)

---

*) Tekst drukowany w *Tygodniku Wileńskim*, różni się od tekstu pośmiertnych wydań, z którego przytoczyłem wyjątek, tylko w pojedynczych wyrazach. Tak zamiast „wdzięk“, jest tam „uwdzięk“, zamiast „godzina dwunasta“— „chwila dwunasta“ itp.

Wiersz ten nietylko z formy, o czem później będzie mowa, ale i z ducha pokrewnym jest poezyi Trembeckiego: tchnie z niego epikureizm, właściwy muzie poety-szambelana. Coby się stało z Mickiewiczem, gdyby go los umieścił był w gronie tej majętnej, wesołej i próżniaczej młodzieży? Nie będę się bawił w długie przypuszczenia, godzi się jednak wątpić, czy serce, czy natura jego zachowałyby tę czystość, która namiętnym rzutom jego uczucia tak idealny nadała kierunek, szczególnie w utworach pierwszej doby młodzieńczej. Geniusz poety, innymi karmiony sokami, innąby bezwątpienia zakreślił drogę swego rozwoju. Możeby ona była równie świetną, wyobraźnia pod wpływem użycia prędzejby ochłonęła z marzycielstwa, nabrałaby więcej trzeźwości, ale czy geniusz nie zniżyłby swego lotu? czy zdolny byłby potem tak płomiennie ukochać swój naród? i z tak idealnych wyżyn objąć go kochającem okiem? Jak silnem jest oddziaływanie sfery na młodą, rozwijającą się naturę poety, dowodzić tego nie potrzeba; ale warto tu zaznaczyć, że Mickiewicz nie stanowił w tym względzie wyjątku, na co nam wskazuje szczególnie późniejszy jego pobyt w Odessie, gdzie zmiana sfery wpłynęła wy-

raźnie na chwilową zmianę nastroju jego poezyi. Że ten nastrój samemu poecie wydawał się niższym, świadczy o tem jego pożegnanie Odessy (*W dzień odjazdu*).

Jedźmy i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu.

Świadczy i to grożenie palcem Odyńcowi na każde wspomnienie sonetów niekrymskich, o czem wspomina Odyniec w swoich listach (I. 276).

Najbliższe otoczenie genialnego studenta w Wilnie było jakby przeznaczone na to, aby na całe życie wykarmić serce jego najszlachetniejszemi uczuciami, owiać je idealnie czystą atmosferą i chroniąc od wszelkich oziębiających wpływów, dać się rozognić uczuciu i wyobraźni jego do najwyższego stopnia.

Pierwsze dwa lata wileńskiego życia Mickiewicza są dla biografa jego jakby mgłą przesunięte, z poza której tu i ówdzie tylko niektóre pr. eglądają szczegóły. Zawdzięczamy je przeważnie Odyńcowi, który poznał wprawdzie Mickiewicza znacznie później, już jako profesora kowieńskiego, przed którym jednak Mickiewicz rozsnuwał potem nieraz wspomnienia swoje z lat dawnych.

Wiemy już, że Adam dzięki swym zdolnościom i protekcyi stryja, księdza Józefa, dziekana fakultetu fizyczno-matematycznego, przyjęty został na koszt rządowy. Wiemy także, że każdy stypendyat otrzymywał bezpłatne, wspólne zwykle dla kilku uczniów mieszkanie a prócz tego pewną kwotę na inne potrzeby życia. Ale Adam w początkach swego wileńskiego życia nie mieszkał w jednem z owych wspólnych mieszkań, tylko u stryja w murach śtojańskich, gdzie mieścił się uniwersytet. Nie mogło to trwać dłużej, jak dwa lata, bo ks. Mickiewicz umarł 5 lipca 1817 roku*). Tego starca już znamy, wiemy, że był on więcej księdzem, niż uczonym, zupełny kontrast z ks. Jundziłłem. Nawet ks. Golański w pochwalnej mowie swojej, mianej ku uczczeniu pamięci księdza Mickiewicza na

---

*) Dziennik wileński T. VI str. 410. W *Czasie* 1859 nr. 117 jakiś bezimienny znajomy Mickiewicza twierdzi na podstawie własnych opowiadań poety, że opuścił on dom dziekana na dwa miesiące przed jego zgonem i przeniósł się do kamienicy poseminaryjskiej nieopodal katedry. Powodem tych wczesnych przenosin miało być to, że krewni ks. Mickiewicza, którzy się zbiegli przed jego zgonem, podejrzewali młodego poetę, iż czyha na sukcesyą.

publicznem posiedzeniu uniwersytetu wileńskiego 15 września 1817 r., wysoko wynosząc jego pobożność dodaje, że „niewiele się dzieł własnych wydawaniem zatrudniał“. Do ciekawszych dla nas ustępów tej mowy, przeważnie z ogólnikowych pochwał złożonej, należy wzmianka, że nieboszczyk posiadał „liczną i kosztowną bibliotekę“, która „nie dla jego jednego służyła“. Korzystał więc z niej prawdopodobnie Adam; szkoda tylko, że nie wiemy, z jakiej treści dzieł się składała.

Stosunku pomiędzy stryjem a synowcem nie znamy, domyślać się go tylko możemy. Pobożny, skromny, cichy i zamyślony młodzieniec powolny był zapewne wymaganiom księdza kanonika, które były czysto formalnej natury i nie dawał mu powodu do szorstkich peror. Zdarza się nieraz, że zmuszanie młodzieży do zbyt licznych praktyk religijnych osiąga cel wręcz przeciwny zamierzonemu, t. j. ostudza w niej religijność. Na Adamie wpływu tego nie dostrzegamy, zanadto głęboko miał sobie przez matkę wpojoną religijność, aby się ta tak prędko ulotnić miała. Jednakże sądząc z czwartej części *Dziadów* i z tego, co Domejko pisze o pobożności Filomatów, łatwo uczynić wniosek, że religijność Adama w ostatnich latach

życia studenckiego i w czasach profesury kowieńskiej polegała więcej na wewnętrznem uczuciu, niż na ścisłem dopełnianiu przepisów kościelnych. Otóż czy rygoryzm stryja, któremu się Adam musiał poddawać, nie przyczynił się do tego w pewnej części? Jest to przypuszczenie, które się samo tu na myśl nasuwa.

Zresztą pod innymi względami zostawiał zapewne ksiądz dziekan zupełną swobodę swemu synowcowi i nie mięszał się ani do jego lektury i innych zajęć naukowych, ani do pracy poetyckiej. Szczególnie odnosi się to do drugiego roku stryjowskiej opieki, wiemy bowiem od ks. Golańskiego, że ksiądz Józef „więcej od roku mocował się z ostateczną swoją niemocą“, więc jako chory tem mniej mógł wglądać w zajęcia swego wychowanka.

Co się tyczy zajęć naukowych, a mianowicie słuchania wykładów, Adam nie miał zupełnej swobody w ich wyborze. Jako stypendyat i kandydat stanu nauczycielskiego obowiązany był przez rok pierwszy uczęszczać na wykłady fizyczno-matematycznego wydziału, podobnie jak dziesięć lat przedtem Lelewel, pomimo widocznego już wtedy powołania ku historyi, zmuszony był słuchać na

uniwersytecie fizyki i chemii. Na tych to wykładach spotykał się Adam z Karolem Kaczkowskim. „Cały rok i prawie codziennie widywaliśmy się z sobą, pisze Kaczkowski (I. 65.), a obszerniejsze i gruntowniejsze wiadomości w matematyce, jakie ze szkoły krzemienieckiej wyniosłem (Kaczkowski ukończył liceum ze złotym medalem), ułatwiając mi stosunek z wielą młodzieży, potrzebującej objaśnień, zwłaszcza w rachunkach, z nauki o własnościach ciał, o sile, o świetle itd. zbliżyły mnie z Adamem. Jednego prawie wieku, podobnego temperamentu, sympatyzowaliśmy ze sobą i lubiliśmy się nawzajem.... Był on podówczas dość przystojny, z czarnem okiem, z długiemi lekko zwijającemi się ciemnemi włosy, z rumieńcem na twarzy i łagodnym uśmiechem na ustach“. Wspomniałem już przedtem, że nikt z kolegów nie przeczuwał w nim genialnego wieszcza, ale że we wszystkich wzbudzał on ku sobie sympatyą i swojem skromnem zachowaniem się i swoją postacią.

Ale pociąg do literatury i poezyi nie pozwalał Adamowi poprzestawać na przepisanych z urzędu wykładach fizyczno - matematycznych. Wiemy od niego samego za pośrednictwem Odyńca, że już w pierwszym

roku uczęszczał jako ochotnik na wykłady Leona Borowskiego, który na rok przedtem, zaraz po śmierci Euzebiusza Słowackiego (29 października 1814) mianowany został zastępcą profesora poezyi i wymowy na uniwersytecie wileńskim. Już przy charakterystyce Borowskiego była wzmianka o tem, jakim był gorliwym i surowym przewodnikiem dla Adama. Tu na podstawie *Wspomnień z przeszłości* Odyńca, który w kilka lat potem przechodził te same co Adam próby chrztu krytycznego, możnaby odtworzyć wrażenia i wzruszenia Adama, których doznawał, przedstawiając pierwsze swoje wyroby wysokiej krytyce profesorskiej.

Raz na tydzień, zwykle w sobotę, młody profesor roztrząsał i rozbierał krytycznie utwory swoich uczniów, których mu dostarczono poprzedniej soboty. Był to sądny dzień dla młodych rymotwórców, stawiających pierwsze stopy na ślizkie ścieżki Parnasu. Nadzieje i trwogi ważyły się z sobą nieustannie, jak niespokojne szale: z jednej strony uroczysta, publiczna pochwała profesora, która przypinała skrzydła nieśmiałemu i blaskiem otaczała go wśród kolegów; z drugiej — grom krytyczny, który strącał go w przepaść zwątpienia. Pośrodku była deska

zbawienia: błysk zachęty wśród burzy krytycznej. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim niepokojem jedni, z jaką ciekawością drudzy oczekiwali zjawienia się profesora. Zjawiał się, poważny i sztywny, zasiadał na katedrze przed stołem, na którym już leżał przygotowany stos ćwiczeń studenckich, wiązaną i niewiązaną pisanych mową, powoli je gatunkował, dzielił na grupy, i — rozpoczynał się sąd ostateczny. Wiemy, że Borowski nie lubił oszczędzać nawet wielkich powag, a że odznaczał się przytem dowcipem i „prawdziwym humorem angielskim“ *), chłosta więc jego była nietylko surową, ale i dowcipem zaostrzoną. Tyle miał jednak profesor litości, że nie wymieniał nazwiska chłostanego autora. Jeżeli zaś utwór zasługiwał na pochwałę, wówczas odczytywał go *in extenso* i ogłaszał światu nazwisko autora, w skutek czego naturalnie ten ostatni oblewał się ukropem radości. Jeżeli wreszcie zdolności młodego poety wydawały się profesorowi szczególnie obiecującemi, wówczas kazał mu przychodzić do siebie i tam w swoim gabinecie już nie

*) M. Baliński. Życie Jędrzeja Sniadeckiego. Str. 69. Jundziłł i inni również mu dowcip przyznają.

publicznie, ale sam na sam roztrząsał jego utwory i z rzadką gorliwością dawał mu rady i wskazówki.

Takiego szczęścia doznał Adam po przedstawieniu pierwszych swoich utworów panu profesorowi. Bystry umysł Borowskiego bardzo prędko odgadł w Adamie zasoby genialnej zdolności poetyckiej. Ks. Jundziłł twierdzi, że Borowski, już po przeczytaniu pierwszych prób swego ucznia zawołał: „Geniusz, geniusz zabłyśnie w kraju naszym!“ *) Znając charakter i takt Borowskiego, łatwo się domyślić, że ten wykrzyknik nie był rzucony wobec ucznia. Nie szczędził mu zapewne pochwały, o ile była potrzebną do zachęty, ale jednocześnie wytykał mu wszystkie błędy wiersza, stylu i myśli z właściwą sobie surowością. Przecież nawet w trzynaście lat potem umiał sławnemu już twórcy *Wallenroda* i *Sonetów krymskich* zrobić wiele trafnych zarzutów.**)

O ile się w ogóle mógł przyczynić Borowski do skierowania Mickiewicza i innych swoich uczniów z bitego gościńca klasycyz-

---

*) Sobarry, Obrazki litewskie, str. 191.

**) Korespondencya Mickiewicza. Tom III, str. 100, 101.

mu na ścieżki romantyczne, będzie o tem mowa niżej, w stosowniejszem miejscu. Tutaj chodzi mi tylko o wskazanie, jak oddziaływał profesor na swego ucznia w początkach ich wzajemnego stosunku. Krytykując poezye młodzieńca, należało mu wskazać wzory w literaturze polskiej, na którychby mógł kształcić swój smak i język. Borowski z dawniejszych poetów wskazał Mickiewiczowi, jako wzór taki Piotra Kochanowskiego, z nowszych — Trembeckiego. Wybór był znakomity. Nie chciał zapewne profesor wpoić przekonania w swego ucznia, że Piotr Kochanowski wyższym jest od Jana poetą, a Trembecki od Krasickiego, ale że pod względem bogactwa języka nikt z poetów polskich nie mógł się z nimi równać. Że miał słuszność, trudno się na to nie zgodzić. Piotr Kochanowski, wprowadzając do literatury polskiej *Jerozolimę Wyzwoloną* Tassa, świat cudów i czarów wschodu, a zarazem zapałów i uniesień średniowiecznego rycerstwa, wyłamał ze starej polszczyzny drzemiące w niej skarby, których dotknąć nie mogli inni współcześni poeci nie z braku talentu, ale z braku sposobności. Trembecki do języka literatury czasów stanisławowskich, odrodzonego pod względem jasności i przejrzystości,

ale pozbawionego barw i mocy, wprowadził nieporównaną dosadność i plastyczność, która go jako artystę, jako mistrza słowa stawia o wiele wyżej od Krasickiego.

Dogorywająca poezya pseudo-klasyczna chorą była nietylko na ubóstwo uczucia, ale i na bezsilność fantazyi, na bezbarwność, niedokrewność języka. Borowski chciał ustrzedz młodego poetę od tej ostatniej choroby, wskazując na wzory silnego i malowniczego języka.

To też sam Mickiewicz przyznawał potem, że dopiero w uniwersytecie i dzięki Borowskiemu „nauczył się czuć i oceniać te nieprzebrane piękności i skarby językowe, zawarte w owym przekładzie Tassa przez Kochanowskiego, a zwłaszcza w poezyach Trembeckiego“.*) Uwielbienie dla tego ostatniego, jako artysty, wówczas wzbudzone w Adamie, przetrwało długie lata; wszystkim młodym przyjaciołom swoim poetom kazał studyować go i uczyć się na pamięć, naśladując w tem zapewne swego profesora, i jeszcze na ziemi włoskiej będąc, z rozkoszą deklamował pewną strofkę z wiersza Trembeckiego: *Do J. P. Miera mieszkającego na wsi.*

*) Odyniec, Listy z podróży I. 347.

Czy to lapońskie zaprzężesz renny,
Które cię w szybkiej przyślizną sani;
Czy to z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiedź nas bani!

„Powtarzał to, pisze Odyniec w *Listach z podróży* (III. 353) razy z dziesięć, zmuszając wszystkich słyszeć i widzieć w tych wierszach: i brzęk dzwonków zimowej uprzęży i połysk gładkiej drogi po śniegu i szybkość koni i jazdy i nakoniec poważne wzdymanie się balonu“.

Tak tedy Trembecki za wskazówką Borowskiego stał się pierwszym wzorem dla Mickiewicza w Wilnie. Owocem tego naśladownictwa ze znanych nam utworów ówczesnych były najprzód bajki i wiersz p. t. *Zima miejska*.

U Trembeckiego innym jest styl w bajkach, aniżeli w poematach opisowych, listach i innych wierszach. W ostatnich panuje pewna pompatyczność stylu, wspólna wszystkim naśladowcom francuskiego pseudoklasycyzmu, objawiająca się w nienaturalnym szyku wyrazów i w sztucznem wyrażaniu, określaniu rzeczy prostych. Otóż taką pompatyczność znajdujemy i w wierszu Mickiewicza: *Zima miejska*, ale zarazem plastyczność i ową malowniczość dźwięków poe-

zyi Trembeckiego, którą tak zachwycał się Mickiewicz. Pod tym ostatnim względem ciekawe się tu nastręcza zestawienie pomiędzy sławionym przez Mickiewicza wierszem Trembeckiego: „które cię w szybkiej przyślizną sani“ — a ostatnim wierszem *Zimy miejskiej*:

Tysiączną sanią szlifuje ulice.

Małoletni naśladowca świetniej tu od dojrzałego mistrza wyraził dźwiękami „połysk gładkiej drogi po śniegu.“

W bajkach Trembeckiego z dosadnością i plastyką wyrażenia, właściwą wszystkim jego utworom, łączy się wyborna prostota i naturalność stylu. Bajka przy końcu przeszłego i na początku obecnego stulecia była ulubionym rodzajem poezyi i w ogóle odznaczała się naturalnym tonem, dzięki Lafontaine'owi, który w wieku Ludwika XIV umiał zachować naiwność i prostotę i stał się wzorem dla wszystkich następnych bajkopisarzy. Ale nikt z polskich naśladowców Lafontena nie cenił tak tej prostoty, jak Trembecki *) i nikt ze współczesnych mu bajko-

*) Bajkę swoją p. t. *Opuchły* tak zaczyna Trembecki:

Nie żalby być kopę lat uczącym się żakiem,
Aby się stać, jakim był Zdrojowicz prostakiem.
Ale to niepodobna.

pisów nie osiągnął jej w wyższym stopniu, nawet Krasicki, którego bajki pod względem pomysłu, zwięzłości wyrażenia i architektoniki niezaprzeczoną mają wyższość nad bajkami Trembeckiego, ale mierzyć się z niemi nie mogą pod względem dosadności, malowniczości i prostoty języka.

Ze wszystkich znanych bajek Mickiewicza, pisanych w różnych czasach, dwie tylko, *Dzwon i dzwonki* i *Rabin i pchła*, epigramatyczną zwięzłością swoją zbliżają się do maniery Krasickiego; wszystkie inne noszą ślady pokrewieństwa z bajkami Trembeckiego, które prześcigają niekiedy pod względem formy i humoru, a często pod względem jasności i jednolitości sensu moralnego, bo sens moralny jest najsłabszą stroną w bajkach Trembeckiego.

Ale czy pomiędzy znanemi nam bajkami Mickiewicza znajdują się i te, które pisał w pierwszych latach pobytu w Wilnie, tego powiedzieć nie umiem. Z trzynastu bajek Mickiewicza — bo humorystycznych anegdot *Strzyżono i golono* i *Żona uparta* nie zaliczam do bajek — otóż z trzynastu bajek Mickiewicza siedm nosi na sobie daty, które wszystkie należą do czasów znacznie późniejszych (1829—1832). Jeżeli te daty uznamy za prawdziwe, pozostanie nam tylko sześć

takich bajek, któreby mogły sięgać pierwszych czasów wileńskich, a mianowicie: *Dzwon i dzwonki*, *Rabin i pchła*, *Żaby i ich króle*, *Osioł i pies*, *Chłop i żmija*, *Pies i wilk*. Ale z tych sześciu dwie pierwsze, jak już nadmieniłem, nie okazują bynajmniej pokrewieństwa z bajkami Trembeckiego, trzecia zaś taką doskonałością formy się odznacza, że niepodobna jej zaliczać, przynajmniej w tej postaci, w jakiej jest znaną, do pierwszych prób poetyckich Adama. Jeżeli więc gdzie mamy szukać pierwszych bajek Mickiewicza, pisanych na wzór Krasickiego, to między trzema ostatniemi z owych sześciu bajek bez daty. Szczególnie jedna z nich p. t. *Pies i wilk* (podług Lafontaine'a) swojem znacznie słabszem obrobieniem formy zdaje się wskazywać na swój odległy początek. Nawiasem wspomnieć nie zawadzi, że z trzynastu bajek Mickiewicza tylko dwie były drukowane za jego życia, a to w paryskiem zbiorowem wydawnictwie dzieł poety r. 1844, to jest wtedy, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie trzynaście były napisane. Dlaczego tak się stało? Domyślam się, że niektórych nie chciał poeta drukować dla politycznych aluzyj, które się w nich zawierały (*Trójka koni*, *Tchórz na wyborach*), innych zapewne nie miał w swojej tece.

Ale bajki były zbyt szczupłym zakresem, zbyt chłodną sferą dla rozwijającej się, gorącej fantazyi młodzieńca, aby ją mogły długo zatrzymywać przy sobie. Drugi z poetów, zalecony uczniowi przez profesora, Piotr Kochanowski, porywał ją i unosił w wysokie sfery rycerskiej poezyi i wzywał ją niejako do zmierzenia sił swoich na wspaniałem polu epopei. A nietylko Piotr Kochanowski, albo raczej Tass w jego przekładzie, ale plejada wielkich epików, których znał już w owym czasie, mogła go pobudzać do tego. Z uwag Mickiewicza nad *Jagiellonidą* Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego, drukowanych w styczniowym zeszycie *Pamiętnika Warszawskiego* 1819 r., a pisanych w r. 1818, wiemy, że oprócz Homera, Wirgilego, Tassa, znał już wówczas i studyował Aryosta, także zapewne w przekładzie Kochanowskiego, Kamoensa, Miltona a nawet Bojarda*).

Ze skombinowanego wpływu tych poetów urodził się w głowie Adama plan

---

*) Orland szalony Piotra Kochanowskiego wydany został przez Jacka Przybylskiego w r. 1797. Tenże Jacek Przybylski wydał własnego tłómaczenia *Luizyadę* Kamoensa w r. 1790 a *Raj* Miltona w r. 1791. Bojardo, o ile wiem,

heroi - komicznego poematu p. t *Kartofla*. Wiadomość o nim znajdujemy tylko w listach Odyńca, który pisze do Korsaka, że czytał niegdyś w Wilnie znaczną część tego poematu. „Część heroiczną stanowić w nim miało odkrycie Ameryki, gdzie też najprzód odkryto kartofle; część zaś drugą uprawa i użycie ich u nas, czyli inaczej pod tą niby żartobliwą formą obraz wiejskiego życia obyczajów naszych. Część pierwsza była prawie skończona. Rozpoczynał ją obraz wyprawy Kolumba, mi tanej burzą na przestrzeni wód nieznajomych, a przywiedzionej do rozpaczy i zwątpienia o skutku, oprócz tylko jego samego. Burzę tę i zwątpienie osady wywołał nie kto inny, jak szatan przewidujący rozszerzenie Chrześciaństwa i dalsze dobre skutki z odkrycia. Wiara i natchnienie niebieskie były światłem i isłą Kolumba w owej walce z szatanem, z bu-

---

nie był nigdy tłómaczony na język polski, należy zaś wątpić, aby znał już wówczas Mickiewicz język włoski, przynajmniej w takim stopniu, iżby mógł czytać Bojarda. Prawdopodobnie tedy czytał go w jakimś przekładzie francuskim. Być może, że i Miltona i Kamoensa czytał w jakimś przekładzie lepszym od okropnego przekładu Jacka Przybylskiego.

rzą i ze współtowarzyszami swoimi. Tymczasem w chwili stanowczej w niebie odbywa się narada: dopuścić, czy jeszcze odroczyć odkrycie nowego świata? Archanioł Michał jest za dopuszczeniem, archanioł Gabryel przeciw. Pierwszy sposobem i stylem Miltonowym przedstawia w długiej mowie wszystkie pożytki, jakie ztąd dla ludzkości i dla wiary wynikną; drugi wszystkie zbrodnie Hiszpanów a prześladowania krajowców, mające być zarówno skazą ludzkości i wiary. Szala wyroków się chwieje — i nakoniec staje w równowadze. Wtedy archanioł Michał, jako ostatni argument, rzuca na nią kartoflę. Korzyść z niej dla ludzkości zwycięża nawet opór Gabryela. Odkrycie zdecydowane. Protektor jego spieszy ku wyprawie. Szatan pierzcha, burza ustaje, Ameryka odkryta! Obraz natury kraju i jego mieszkańców na wzór opisania raju u Miltona i nakoniec poznanie kartofli zamykały część heroiczną.“ Z drugiej, dodaje Odyniec, były tylko wyjątki; jeden z nich zaczynał się od słów:

O ziemio nowogródzka, kraju mój rodzimy!
O Trembeckiemi godzien uwielbienia rymy!

Jeżeli zestawimy to streszczenie z treścią poematów, które już znał, lub w które się wczytywał w owych czasach Mickiewicz, to

Kartofla w pierwszej swojej części okaże się najpodobniejszą do *Luzyady* Camoensa. I tu i tam bohaterem jest genialny żeglarz, szukający nowych, nieznanych dotąd dróg morskich, przejęty wielkością swego zadania i odważnie stawiający czoło żywiołom i ludziom. Obaj bohaterowie, i Kolumb i Vasco de Gama, cieszą się protekcyą sił wyższych, obaj też mają groźnych wrogów między temi siłami. Podobnie jak szatan, lękający się rozszerzenia chrześciaństwa, wytęża wszystkie siły, aby powstrzymać Kolumba, tak Bachus w *Luzyadzie*, z innych zresztą pobudek, stara się udaremnić wyprawę portugalskiego bohatera; i jeden i drugi wróg wywołują straszliwą burzę dla zagrodzenia drogi odważnym żeglarzom, i jeden i drugi ustąpić muszą dzięki wpływowi sił dobroczynnych.

Ale jeżeli w temacie widocznem jest podobieństwo, to w rozwinięciu jego i w duchu poezyi, o ile zmiarkować możemy ze streszczenia podanego przez Odyńca, między dwoma tymi poematami wielka zachodziła różnica. Sztandarem powiewającym na epopei Camoensa jest sława narodu; tej myśli nie mógł mieć Mickiewicz, wprowadzając obcego bohatera. W gorącym błękicie *Luzyady* nad światem ludzkich walk i zabie-

gów unosi się Olimp grecki i kieruje losami ludzi, jak za dobrych czasów Hellady — u Mickiewicza w świecie nadprzyrodzonym walczą z sobą złe i dobre potęgi chrześciańskie. W tym więc względzie poszedł nasz poeta za przykładem Tassa i Miltona.

Ciekawy i obfity komentarz do *Kartofli* znajdujemy w *Uwagach nad Jagiellonidą*. Mówiąc o autorze *Jagiellonidy*, że „dla przyczyn nie bardzo ważnych wszelką dziwność z dzieła swego usunął“, to jest wszelki wpływ bóstwa na losy ludzkie, tak rozwija Mickiewicz swoją teoryą o „machinie“ niebieskiej w poezyi. Grecy mieli cudowną mitologią, jakby umyślnie dla poezyi stworzoną. Kiedy chrześcianizm zapanował, „szczęściem dla rozumu, a może dla sztuk pięknych nieszczęściem, ustąpiły prawdzie te czarujące błędy“. Bóstwo chrześciańskie, umysłem ludzkim nieogarnione, nie nadaje się do zmysłowego przedstawienia w poezyi, jako cudowna machina. Do tych dwóch machin w wiekach średnich przybyła trzecia, magia, dawno na zachodzie w poemata rycerskie wprowadzona; ale i ona dziś przy upadku wiary w nią przydać się nie może. „Czegoż się więc ma chwycić poeta epiczny? Do jakiej uciec się machiny?“

„Kościoł nasz wyznaje i czci świętych, wszyscy ich wpływowi na ludzkie sprawy podług wiary zaprzeczyć nie mogą; co większa, ci święci z ludzi zrodzeni, ludźmi a w szczególności narodami, miastami i pewnemi opiekujący się towarzystwami, niezapominający nawet upodobanych sobie na ziemi zabaw, kiedy nieraz natchnieniem swojem wspierają mędrców, walczą widomie lub niewidomie przed szeregami swoich współziomków, czego w żywotach świętych doczytać się łatwo. Nie mogłyżby daleko przyzwoiciej te interesujące nas, a przymiotami wyższe istoty miejsca bożków starożytnych w poemacie zastąpić? Dał już tego przykład jeden z największych przeszłego wieku poetów, chociaż w nagannym sposobie, ale zostawił drogę talentom traktowania tego przedmiotu z taką godnością, jakiej poema bohaterskie wymaga.“*)

Oto jest teorya, uzasadniająca wprowadzenie do bohaterskiego poematu świętych:

---

*) Autor odpowiedzi na recenzyą *Jagiellonidy* domyśla się, że niewymienionym po nazwisku poetą jest Parny autor osławionego poematu p. d. *La guerre des dieux anciens et modernes*. Równie dobrze jednak można mniemać, że tym poetą jest sławniejszy od Parny'ego autor *la Pucelle d'Orleans*.

Michała i Gabryela, jako cudownej machiny. Pomiędzy teoryą a poematem ta była tylko chyba niezgodność, że obaj archaniołowie nie należą do rzędu „świętych, z ludzi zrodzonych.“

Druga część poematu, jeżeli miała co naśladować, to chyba *Georgiki* Wirgiliusza. Jaki miał być stosunek między temi dwiema częściami pod względem wagi — nie wiemy, w każdym razie węzeł pomiędzy niemi był nader wątły i całość — gdyby była kiedykolwiek napisaną — grzeszyłaby mocno przeciw zasadzie jedności, o której sam młody poeta powiedział w przytoczonej recenzyi, że bez niej „ani drama, ani epopeja żadnego interesu mieć nie będą.“

Recenzya Mickiewicza była składem pojęć, wyrobionych na ławie uniwersyteckiej pod przewodnictwem Grodka i Borowskiego. Przekonać się o tem można, porównywając *Uwagi nad Jagiellonidą* z *Uwagami nad poczyą i wymową* Borowskiego. I zarzuty czynione autorowi *Jagiellonidy* po części słuszne, ale często zbyt drobiazgowe, trącące ciasnotą ówczesnych pojęć szkolnych, musiały być do pewnego stopnia echem uwag, które Mickiewicz słyszał z ust swego surowego mistrza przy odczytywaniu mu swoich utworów. Słowem,

był on jeszcze w tej fazie, w której poglądom jego na życie i poezyą brakło zupełnie samodzielności, a do której wybornie może się zastosować to, co w kilka lat potem pisał poeta w wierszu do Lelewela:

Skoro zaczniem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze,
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzej i więcej głęboko,
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
. . . . . .
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie:
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnej duszy mięszając w napoje.

W dziesięć lat potem żartował sobie Mickiewicz ze swojej recenzyi, tak pisząc o niej w przedmowie do petersburskiego wydania poezyi: „Przed kilkunastu laty, gdym był studentem, drukowałem także w *Pamiętniku Warszawskim* tchnącą klasycznością recenzyę, przytaczałem obficie list do Pizonów i kurs Laharpa, co dotąd w onej kapitule (recenzentów warszawskich) uchodzi za niepospolitą erudycyę i dostateczną na urząd krytyka kwalifikacyę.“

Recenzya *Jagiellonidy* wywołała odpowiedź, drukowaną także w *Pamiętniku War-*

szawskim w lipcowym zeszycie 1819 r. Autor odpowiedzi, zapewne sąsiad i przyjaciel autora *Jagiellonidy*, wziął nadzwyczaj gorąco do serca zarzuty Mickiewicza i żarliwie bronił Tomaszewskiego, przeciwstawiając sądowi nieznanego krytyka „zasłużone pochwały“, otrzymane przez Tomaszewskiego od uniwersytetu wileńskiego, który go mianował swoim członkiem honorowym (1818). Obrońca, jakkolwiek walczył o honor mniej niż miernego utworu, szczęśliwie jednak niekiedy zbijał zarzuty i twierdzenia krytyka, a w końcu taką w tego ostatniego ugodził uwagą: „Łatwiej jest krytykować i ganić, niż pisać, zbyt ostrą krytyką literatura krajowa się nie wzmoże; komu los nie dał złota lub srebra, choćby się znał doskonale na ich cenie i próbie, ani sam nie będzie bogatym ani drugich takimi nie uczyni.“ Było to jakby wyzwanie, rzucone Mickiewiczowi. Czyż mógł wiedzieć gorliwy obrońca *Jagiellonidy*, z jakim uśmiechem potomstwo czytać będzie kiedyś tę jego uwagę!

W tych samych czasach napisał Mickiewicz dwie powiastki prozą, p. t. *Żywila* i *Karylla*. W pierwszej naśladował wiernie, ale nie bardzo szczęśliwie starą polszczyznę, w drugiej zbliżał się pod względem stylu do

powiastek Floriana, które znał, jak to wiemy z uwag nad *Jagiellonidą*. Obie drukowane były w *Tygodniku Wileńskim* z r. 1819 (luty i maj) bez imienia autora, i dopiero niedawno ogłoszone zostały przez p. Władysława Mickiewicza, jako utwory ojca. Ponieważ to są utwory bardzo słabe (szczególnie *Karylla*), podniosły się więc głosy powątpiewające o tem, aby *Żywila* i *Karylla* mogły były wyjść z pod pióra Mickiewicza. Jednakże powątpiewanie to o tyle tylko może być uzasadnionem, o ile się odnosi do *Karylli*, bo *Żywila* jest niewątpliwie utworem naszego poety. Świadczą o tem nietylko pewne szczegóły powiastki i duch jej pokrewny innym utworom Adama, ale świadczy o tem wyraźnie pewien ustęp listu Franciszka Malewskiego, piszącego do sióstr z Odessy 1814. W liście tym Malewski, prosząc o przysłanie rozmaitych wierszy Adama, prosi także i o *Żywilę* „Była w *Tygodniku* kiedyś powieść *Ziewila*, proszę o *Tygodnik* albo o przepisanie.“

Żywila jest księżniczką nowogrodzką, córką księcia Koryata, który skazał ją na śmierć za to, że podczas jego nieobecności „rozmiłowała się skrycie Litwina Poraja“, i nie chciała potem wyznać ojcu imienia ko-

chanka. Już był naznaczony dzień stracenia, kiedy Litwin Poraj, dzielny wojownik, chcąc uratować kochankę, uchodzi do ruskiego kniazia Iwana, wiodącego wówczas wojnę z Koryatem, na czele wojsk nieprzyjacielskich uderza na Nowogródek, zdobywa go i uwalnia z więzienia Żywilę. Ta z początku na widok Poraja zemdlała, ale gdy potem otwarła „wdzięczne oce“ i dowiedziała się, jakim sposobem kochanek ją uwolnił, wyrwała miecz z pochwy jego i przeszyła nim pierś kochanka, a zagrzawszy Nowogrodzian do walki, wypędziła nieprzyjaciela z miasta.

Nazwisko bohatera tej powiastki pożyczone jest od nazwy herbu Mickiewiczów (Poraj). Miejscem działania jest rodzinne miasto poety. Wreszcie sama postać Żywili jest niejako pierwszym zarysem tego ideału mężnej niewiasty, gotowej poświęcić osobiste szczęście i życie dla dobra i czci narodu, tego ideału, który rozwijając się i kształcąc w duszy poety wcielał się potem w postacie córki Tuhana w balladzie *Switeź*, Grażyny, w końcu rozpłynął się w Aldonie.

Co do *Karylli*, nie wiem skąd p. Władysław Mickiewicz zaczerpnął wiadomość, że jest ona utworem jego ojca, pewne zaś alluzye do stosunku poety z Marylą, jakie w tej

powiastce znaleźć można, są nadto słabe, aby na nich można coś pewnego budować.

Karylla jest także Litwinką, ale skrojoną na wzór bohaterek romansów pasterskich, które jeszcze wówczas nie wyszły były z mody. Jest to pasterka z nad brzegów Nary, „nędzna gwałtownej miłości ofiara“. Pokochała ona ubogiego pasterza Sario... Umierający jej ojciec zimną już dłonią połączył ręce kochanków, ale bracia jej byli przeciwni temu małżeństwu i podstępnie zwabiwszy Saria na polowanie, zabili go i zagrzebali w lesie. Sario zjawił się jej we śnie i wskazał miejsce, w którem ciało jego leżało zagrzebane. Karylla, odgrzebawszy kochanka, „okropnem obłąkaniem uniesiona“ ucięła mu głowę i w wazonie ukryła, a zasypawszy ją ziemią posadziła nad nią młody krzak róży. I tę pociechę bracia jej wydarli, poczem nieszczęsna kochanka zakończyła „krótkie, aż nadto nieszczęśliwe życie.“ Miłość, która w tak płomiennych barwach miała niebawem zajaśnieć w poezyi Mickiewicza, wylewa się tu chłodną i ckliwą retoryką. Oto np. jak spiewa smutna Karylla po stracie swego kochanka:

Smutek i sroga rozpacz przywala mię społem,
Okropność dla mnie wdziękiem, a łzy mym ży-
[wiołem i t. d.

Jeżeli tedy *Karylla* jest utworem Mickiewicza, i jeżeli w postaci bohaterki ukrywa się istotnie postać Maryli, to w każdym razie, pisząc tę powiastkę, Mickiewicz nie doznawał jeszcze owej głębokiej miłości dla kochanki, która nim potem owładnęła.

Silił się on tu na wyrażenie uczuć, których nie znał, a raczej które znał tylko z książek. Dusza jego drzemała jeszcze karmiąc się w milczeniu wpływami otaczającej sfery. Fantazya poety czuła popęd twórczy, ale nie znajdowała materyału ani zewnątrz siebie, bo poeta nie znał świata, ani wewnątrz, bo nie doznał jeszcze silniejszych uczuć. Ale niebawem dwa silne uczucia miały zakołatać do jego piersi, wstrząsnąć elektrycznie całem jego jestestwem i rozbudzić drzemiący geniusz, który niemal w jednej chwili z poziomu prób retorycznych wspaniałym lotem wzniósł się do najwyższych szczytów natchnienia. Dwa te uczucia — to miłość koleżeńska i miłość kobiety. Ich dzieje należą do dalszych części tego studyum.

Część druga.

1818 — 1821.

I.

Grono przyjaciół Mickiewicza. Zawiązanie się towarzystwa Filomatów, ich cele i ustawy. Wiersz Mickiewicza: „Już się z pogodnych niebios i t. d.“. Zan i jego teorya promionkowa. Promieniści i Filareci.

Jak długo przyszłym wiekom świecić będzie sława Mickiewicza, tak długo blask jej nie przestanie złocić imion czterech najpierwszych i najbliższych przyjaciół jego: Zana, Czeczota, Malewskiego i Jeżowskiego. A nie będzie ten zaszczyt jakiemś niezasłużonem, przypadkowem szczęściem, ale owszem najsłuszniejszą zapłatą za to ciepło braterskich serc, które dusza naszego poety chłonęła w siebie, stając się dzięki jemu zdolną najszlachetniejszych natchnień.

Wszyscy byli prawie w jednym wieku, z wyjątkiem Jeżowskiego, który był starszym

od reszty przyjaciół. Większa niż w wieku zachodziła różnica pomiędzy przyjaciółmi w obranych przez nich zawodach. Jeżowski studyował filozofią i klasyczną filologią, Czeczot i Malewski byli z zawodu prawnikami, Zan uprawiał nauki przyrodnicze i matematyczne; gdyby jeszcze był medyk między nimi, wszystkie wydziały znalazłyby swoich przedstawicieli w tem szczupłem gronie. Ta rozmaitość zajęć naukowych przy ciągłej łączności kolegów i wzajemnem udzielaniu sobie nabywanej wiedzy, wywierała szczęśliwy wpływ na młodych przyjaciół, pozwalając ich umysłom wyrabiać sobie wszechstronny pogląd naukowy na świat i jego sprawy.

Ale większą od zajęć naukowych była w tem gronie rozmaitość temperamentów, usposobień, charakterów. Każdy niemal z pięciu młodzieńców był odrębnym typem, wszyscy razem wybornie się uzupełniali i tworzyli dobraną harmonią. Najstarszy, Józef Jeżowski (rodem z Ukrainy, z okolic Humania) celował spokojem, chłodnym sądem, ścisłą logicznością myśli i wyrażenia. Zawsze poważny, zimny, blady, mówił spokojnie, nie unosząc się nigdy. Często zadumany, lubił samotność i nie wdawał się w żwawe sprzeczki, rozprawy i żarty, które stanowiły ja-

koby zdawkową monetę przy wymianie zdań w gronie młodzieży. Surowy dla siebie, powiada Ignacy Domejko, od którego głównie czerpię tę charakterystykę, był pobłażającym dla innych; w filozofii trzymał się Kanta, ale przekonań swoich nikomu nie narzucał.

Wręcz odmiennem usposobieniem odznaczał się Jan Czeczot, kolega Mickiewicza ze szkół nowogrodzkich. Żywy, tkliwy, wątłej organizacyi, łatwo się dawał powodować chwilowemu uczuciu i łatwo przechodził z oburzenia w rozczulenie, z wesołości we frasobliwość i odwrotnie. Była to dusza śpiewna, czuła, wylana dla drugich, ale zbytek wrażliwości nie pozwalał jej nigdy utrzymać się w równowadze, to też dobry, zacny Czeczot aż do końca życia nie zaznał wewnętrznego spokoju. Gotowy do wszelkich usług i poświęceń dla drugich, lubił roztaczać opiekę nad kolegami, szczególnie młodszymi i nadawać im kierunek moralny, ale im kogo bardziej kochał, tem bardziej wymagającym był względem niego, tem bardziej raziły go w osobie kochanej najmniejsze nawet usterki. Z tego powodu gderał często na tych, których najbardziej kochał, a próbki tego zrzędzenia znajdujemy w korespondencyi Mickiewicza. Wnosił on pier-

wiastek ludowy do grona przyjaciół Adama. Pobożność jego miała w sobie coś sielskiego, kochał lud, lubował się jego pieśniami, które potem zbierał i wydawał, sam tworzył pieśni na wzór ludowych i umiał im nadać naiwność i wonność poezyi ludowej.

Jak Czeczot odróżniał się niezwykłą uczuciowością i ludowością, tak znowu Franciszka Malewskiego cechowała światowość i praktyczność. Syn ówczesnego rektora, Szymona Malewskiego, młodzieniec gładki i przystojny. polityk, jak go nazywa Domejko, bywając w wyższych towarzystwach nabrał poloru, a zawsze pełen dobrego humoru, który ożywiał jego twarz przyjemną, był miłym towarzyszem. Był t-ż lubownikiem i znawcą sztuk pięknych, a w domu jego, otwartym dla kolegów, grono naszych przyjaciół znajdowało obok szkoły towarzyskiego życia i prawdziwe zadowolenie estetyczne, bo z dwóch sióstr Franciszka młodsza, Zofia, z kapryśną naturą, pięknością i dowcipem łączyła niepospolity talent muzyczny, pięknie grała i śpiewała. Jej to wdzięki podbiły serce Czeczota, który wzdychał do niej platonicznie.

Tomasz Zan miał wyjątkową naturę, jaka się rzadko ludziom w darze od niebios dostaje. Była to dusza dziwnie harmonijna i

pogodna. Łączył on w sobie i kojarzył w doskonałej harmonii wszystkie niemal przymioty swoich przyjaciół: spokój i rozwagę Jeżowskiego, uczuciowość Czeczota, wesołość i towarzyskość Malewskiego. Z twarzy jego promieniła owa serdeczność i dobra wola, które mu serca wszystkich odrazu podbijały, a świadczyły wymownie o szlachetności, pogodzie i czystości jego duszy. Odyniec w swoich *Wspomnieniach z przeszłości* opowiada, że kiedy w r. 1820 przedstawiano go poraz pierwszy Zanowi, jeszcze jako ucznia szkół boruńskich, Arcy (taki miał przydomek Zan w gronie młodzieży) wyciągnął ku niemu rękę z takim uśmiechem i spojrzeniem, że Odyniec pewnoby ją pocałował jak księdza prefekta, gdyby się spektatorów nie wstydził.

Pamiętniki Zana, gdyby się kiedykolwiek znalazły, byłyby nieocenionym skarbem, nietylko dlatego, że przyniosłyby zapewne dużo nieznanych szczegółów z pierwszych lat pobytu Mickiewicza w Wilnie, że wtajemniczyłyby lepiej niż wszelkie inne świadectwa w początkowe dzieje tajemnych związków młodzieży wileńskiej, ale może najbardziej dlatego, że odsłoniłyby nam w całej pełni dzieje rozwoju tej męzkiej, bohaterskiej, a tak dziewiczej i poetycznej zarazem duszy.

BIBLIOTEKA DOMU WOJSKA POLSKIEGO

Zan pochodził z powiatu nowogrodzkiego, z tej ziemi, która Polsce tylu znakomitych mężów wydała. Ojciec jego, niezamożny, obarczony liczną rodziną, znajdował podporę i opiekę w „rozumniejszym i dostojniejszym“ od siebie bracie, księdzu kanoniku Zanie, proboszczu w Połoneczce, który to właśnie opiekując się Tomaszem, polecił go był znajomemu sobie Kontrymowi. Matkę swoją, którą wcześnie utracił, nazywa Tomasz w jednym z listów „niezapomnianą“; ona to prawdopodobnie pierwsza rzuciła weń te nasiona szlachetnych uczuć, które przy zdrowej i silnej organizacyi fizycznej tak harmonijnie się w nim rozwinęły. Do dalszego rozwoju umysłowego młodzieńca przyczynić się musiał niemało Kontrym, który jak wiemy, lubił utrzymywać stosunki z młodzieżą i budzić ją do pracy, a u którego Zan z początku mieszkał, jako korepytytor jego synowca. Od Kontryma, t. j. za jego poleceniem otrzymywał różne korepetycye, wreszcie został nauczycielem matematyki i fizyki w pensyonacie panieńskim pani Dejbel, jednym z najznakomitszych wówczas zakładów wychowawczych żeńskich w Wilnie. Sława jego nauczycielska tak prędko się rozeszła, że zewsząd wzywano go do dawania lekcyi. Zan

nie mogąc nastarczyć licznym wezwaniom, polecał na swoje miejsce potrzebujących kolegów. Później kiedy zamieszkał osobno, oddawano mu zupełnie pod jego kierunek i opiekę niewiele młodszych od niego uczniów, jak to uczynił pan Jan ze Swisłoczy (Chodźko), który zostawszy potem wizytatorem szkół okręgu wileńskiego, mianował Tomasza swoim sekretarzem.

Mickiewicz oskrzydlał całe to grono swoich przyjaciół genialną fantazyą, jakiej brakło tamtym. Był on jakby kapłanem tego grona, ślącym w imieniu jego wonne kadzidła ku niebu, to też oprócz przyjaźni odbierał jakby kapłańską cześć od swoich przyjaciół i od wszystkiej młodzieży, która się około tego grona później zgrupowała „On pisał pieśni dla nas, powiada Domejko, jego tylko pieśni spiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą.“

Nie trzeba jednak sobie wyobrażać, że to kapłaństwo czyniło go ciągle skupionym w duchu, milczącym i goniącym za samotnością. Właśnie w gronie przyjaciół swoich, szczególnie kiedy znajdował się w towarzystwie Zana, Czeczota i Malewskiego, ożywiał się, był wesół i „dziwnie przyjemny“.

Początkowe dzieje przyjaźni tego grona mniej są znane od następnych jej kolei. Jak się poznał Mickiewicz z Zanem, to już wiemy; z Czeczotem znał się jeszcze ze szkół nowogrodzkich. Przez tych dwóch prawdopodobnie poznał się z Malewskim i Jeżowskim. Mickiewicz, Zan i Malewski w pierwszych latach studenckich mieszkali pod jednym dachem w murach świętojańskich: Mickiewicz u swego stryja, Zan u Kontryma, Malewski w mieszkaniu swego ojca rektora. Mieszkając tak blisko siebie, mogli się tem częściej odwiedzać, tem lepiej poznawać i cenić, tem prędzej zawiązać przyjaźń. Na zgromadzeniach koleżeńskich, w których i inni koledzy brali udział, rozprawiano o chemii, algebrze, pandektach, Homerze i Horacyuszu; jednem słowem o tem wszystkiem, czem z katedry zajmowano ich uwagę, prócz tego odczytywano głośno swoje wiersze, bo nietylko Mickiewicz w tem gronie pisywał wiersze, ale także Zan i Czeczot. Musiano tam rozmawiać także i o innych rzeczach, o tem, co zajmowało wówczas wszystkie umysły w Wilnie, o towarzystwie szubrawców i ich reformatorskich dążeniach, a ztąd o potrzebie doskonalenia siebie i wywierania wpływu moralnego na kolegów, co

wiedli próżniacze, bezcelowe życie. Wreszcie wśród takich rozmów, zarysował się przed młodymi przyjaciołmi i ów cel najwyższy, do którego dążyli potem — odrodzenie moralne narodu przez szerzenie oświaty i krzewienie miłości kraju i braterstwa w sercach młodzieży i urodziła się myśl zawiązania tajemnego towarzystwa Filomatów.

Towarzystwo młodzieży uniwersyteckiej pod tem nazwiskiem istniało, jak wiemy, w czasach, kiedy Lelewel był studentem, ale nie było tajemnem, i owszem pragnęło zapewne jak największego rozgłosu, gdy ozdabiało się największymi luminarzami nauki. Dlaczego nowe towarzystwo Filomatów tak głęboką otoczyło się tajemnicą? Przyczyny tego mogły byc wielorakie. Naprzód różniło się nowe towarzystwo filomatyczne od dawnego w celu i zadaniu swojem. Dawne chciało tylko naśladować poważne towarzystwa uczone, chodziło tam tylko o wzajemne udzielanie sobie prac naukowych; nowe obok wzajemnego doskonalenia się w wiedzy miało na celu wzajemne doskonalenie się pod względem moralnym i wpływ moralny na kolegów. Otoż do skutecznego wywierania tego wpływu mogła się wydawać potrzebną tajemnica, którąby osłaniała uorganizowane źródło jego

od żartów i szyderstw inaczej myślących kolegów. Powtóre starszyzna uniwersytecka była, jak się zdaje, niechętną dla dawnych Filomatów, wychodząc z tego przekonania, że młodzież nie powinna się bawić w uczonych; nowi zatem Filomaci mogli się i dla siebie podobnej obawiać niechęci. Czy i wobec rządu w pierwszej chwili zawiązania się towarzystwa wydawała się potrzebną tajemnica? na to nie umiem odpowiedzieć. Prawda, że najwyższym celem, ku któremu zdążali Filomaci, było odrodzenie moralne społeczeństwa polskiego, a to jak się rzekło przez szerzenie oświaty, miłości dla narodu i braterstwa w kołach młodzieży, ale z drugiej strony należy pamiętać, że jeszcze wówczas nie był widocznym ów zwrot w wewnętrznej polityce rządowej, który tak prędko potem miał się objawić, a tak dla Filomatów, jak dla szubrawców, masonów i innych podobnych stowarzyszeń okazał się nieprzychylnym. Zresztą Filomaci, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo z tej strony, wyraźnie zastrzegli w pierwszym artykule swoich ustaw, że się niebędą zajmować polityką[1]).

---

[1]) Ign. Domejko. Filareci i Filomaci Rocznik Tow. Hist Lit. 1870 – 72 str. 7.

Zawiązanie się towarzystwa Filomatów łączą zwykle z owym ruchem młodzieży, który się objawił w całej prawie Europie, szczególnie w Niemczech i we Włoszech, w początkach ponapoleońskiej reakcyi. Zdaje mi się jednak, że jest tu tylko przypadkowa jednoczesność, i że wewnętrznej, przyczynowej łączności nie było. Czemże były n. p. w Niemczech ówczesne tajemne związki młodzieży? Były one owocem zawiedzionych nadziei, które rozbudziła w Niemcach zwycięska wojna ze straszliwym wrogiem, mianym dotąd za niezwyciężonego, były protestem przeciwko reakcyi, która zamiast spodziewanej wolności, zaległa czarną chmurą horyzont tych nadziei. Mogłoż być takiem samem źródło filomatycznego związku? Prawda, nadzieje Polaków były także zawiedzione, ale ten, który je zawiódł, siedział samotnym więźniem na skale św. Heleny, nie było więc przeciw komu protestować, od kongresu zaś wiedeńskiego czyż można się było naprawdę wielkich rzeczy spodziewać? Zresztą i z zawodem tym w ogóle łatwo się pogodzono, wyjąwszy tych, co olśnieni gloryą napoleońską, po jej zniknięciu czuli się otoczonymi nieprzebitą nocą, ale takich można było znaleść między starszymi, nie między ówczesną młodzieżą uniwersytecką.

Nadzieje wszystkich zwracały się na cesarza Aleksandra I, którego łączyła ścisła, niczem jeszcze niezakłócona przyjaźń z księciem Czartoryskim; wielbiono jego dobre chęci dla Polaków, i bardzo się wiele jeszcze po nich spodziewano. Reakcya, jak już powiedziałem, jeszcze się była nie objawiła, chociaż była tak bliską!

Sądzę zatem, że nie w stosunkach politycznych chwili należy szukać źródła Filomatów; nie ma też śladu, aby obce jakieś zagraniczne stowarzyszenia mogły służyć za wzór dla nich. Grunt dla założenia towarzystwa, przygotowany był po części przez masonów wileńskich, po części przez szubrawców. Do klubu tych ostatnich, jak wiemy, droga dla młodzieży wyjątkowo tylko była otwartą, działając więc pobudzająco na młodzież uniwersytecką, nie mógł on pochłonąć w sobie zbudzonego w niej ruchu. Ale jeżeli łatwo zrozumieć, w jaki sposób przygotowany był grunt pod założenie towarzystwa, trudniej odgadnąć, skąd ziarno na ten grunt padło, skąd przyszło natchnienie, które ten a nie inny cel wytknęło stowarzyszonym.

Wiem dobrze, jak droga przypuszczeń jest pełną zmierzchu, wśród którego łatwo zbłądzić i daleko odjechać od prawdy, nie mo-

gę jednak pominąć tu przypuszczenia, które zrodziło się we mnie przy rozważaniu, skąd przyszło natchnienie młodym przyjaciołom Mickiewicza do utworzenia związku, co tak wielki wpływ wywarł na młodzież ówczesną i tak się ściśle skojarzył z poezyą Adama.

Wiemy jak bliski stosunek łączył Kontryma z głównym organizatorem Filomatów, Zanem, i jakim Kontrym był agitatorem, jak budził do pracy i oświaty młodzież, do której umiał się naginać. Kościuszkowski żołnierz w rozmowach swoich z przyszłem gronem Filomatów musiał nieraz mówić o politycznym upadku narodu i o wewnętrznych przyczynach jego. Słowa jego padały na rolę bujną i ciepłą i były zapewne tem ziarnem, z którego zaczęły kiełkować szlachetne pragnienia w sercach młodzieży. Nadeszła nareszcie okoliczność, która była deszczem wiosennym dla tego ziarna. Dnia 15 października 1817 roku umarł w Solurze Kościuszko, a w kilka tygodni potem rozpoczęły się w Wilnie żałobne obchody na cześć tego bohatera, obchody, w których jak wiemy, całe miasto, wszystkie stany i wyznania brały gorący udział. Ta wspaniała manifestacya ducha narodowego, o której Lelewel pisał „przykładu takiego nie było na świecie, w Polsce

poraz pierwszy się jawi". jeżeli nawet Lelewela, w Medach i Persach zagrzebanego, tak silnie elektryzowała, jakże potężnie musiała oddziałać na serca przyjaciół naszego poety i jego własne? Byłże to przypadkowy zbieg wydarzeń, że właśnie wkrótce potem zawiązuje się towarzystwo Filomatów? Nie, wolę raczej przypuścić, że to z prochów Kościuszki powstali Filomaci, że śmierć jego, która takie echo żalu i czci zbudziła w sercach Litwinów, natchnęła młodych przyjaciół gorącą chęcią połączenia słabych sił dla wysokiego celu, którego szlachetne usiłowania bohatera na innej drodze dopiąć nie mogły.

Wprawdzie Ignacy Zdanowicz w Pamiętniku o Filomatach i Filaretach, spisanym z ust jakiegoś nienazwanego świadka i uczestnika tych związków, podaje dzień 1go października 1817 roku, jako datę założenia filomatycznego związku, a zatem według tej daty zawiązanie się Filomatów wyprzedziłoby o parę miesięcy żałobne objawy czci dla Kościuszki w Wilnie i przypuszczenie moje przynajmniej w części byłoby mylnem. Jednakże daty tej w żaden sposób nie można przyjąć za pewną. Naprzód pochodzi ona z ust bezimiennego, o którym nie wiemy, jak

dalece mógł być wtajemniczony w sprawy Filomatów, powtóre, ten sam bezimienny podał wiele innych dat błędnych *) Jakiejś ściśle określonej daty dla pierwszego zawiązku towarzystwa naznaczyć niepodobna. Wiemy tylko, że 14 września 1818 roku pisał Mickiewicz dla towarzystwa ów wiersz swój, niedawno z pośmiertnych papierów ogłoszony: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna“, z którego widać, że towarzystwo już było wówczas zawiązane, ale widocznie świeżo musiało być zawiązanem, skoro Mickiewicz w tym wierszu do przyjaciół swoich odzywa się: „Wy przyszła towarzystwa podporo i chlubo“. Zdaje się zatem, że najwłaściwiej do pierwszej połowy 1818 roku,

*) Tak n. p. na stronie 8 Pamiętnika czytamy: „Liczniejszą ona (młodzież) była w uniwersytecie niż kiedy, i w chwili gdy Jan Sniadecki (1816 r.) po ośmioletniem urzędowaniu składał rektorstwo w ręce.... Lobenweina, rachowano już w uniwersytecie około tysiąca studentów“. W tym ustępie są aż dwie błędne cyfry: Sniadecki składał rektorstwo nie 1816 ale 1815 r., liczba studentów w owym czasie wynosiła nie około tysiąca, ale prawie o połowę mniej. Na str. 18 data ukazu cesarskiego także mylnie podana, itp.

może do końca 1817, odnieść pierwszą myśl zawiązania towarzystwa Filomatów.

Zawiązując się w towarzystwo, pięciu młodych przyjaciół wezwało do uczestnictwa w niem dwóch innych jeszcze kolegów: Łozińskiego, zwanego w gronie kolegów Szerokiem z powodu szerokiej twarzy i barczystości, i Onufrego Pietraszkiewicza, *vulgo* Nufra. Dwaj ci nowi przyjaciele ustępowali pod względem inteligencyi i zapewne pod względem wykształcenia pięciu innym, ale wnosili z sobą serca niemniej gorące od innych. Łoziński, rodem z Wołynia, wychowaniec krzemienieckiej szkoły, miał w sobie najmniej ze wszystkich marzycielskiego pierwiastku. „Przekładał. powiada o nim Domejko, nad zbyteczne uniesienia dobry byt, niezależność: nie oddawał się żadnej gałęzi nauk, ale był dobrze obeznany tak z literaturą, jakoteż z naukami przyrodniczemi i matematyką.... Zawsze w dobrym humorze, rubaszny, umiał skarbić przyjaciół i miał przewagę między młodzieżą.“ Onufry Pietraszkiewicz był jeszcze rubaszniejszym od Łozińskiego, a przytem najruchliwszym i najzapaleńszym z całego grona. On był roboczą siłą towarzystwa, dźwigał na sobie całą materyalną pracę jego, pełniąc funkcye sekre-

tarza, archiwisty, skarbnika i mistrza ceremonii przy małych ucztach koleżeńskich, których urządzaniem zajmował się. „Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski. On tylko jeden nosił wąs zawiesisty na pamiątkę Sobieskich, Pułaskich i lubił śpiewać: „Ozdobo twarzy pokrętne wąsy“.*)

Prezesem towarzystwa był Jeżowski; z wieku mu i z poważnego usposobienia ten urząd się należał. Ustawy były krótkie. Opłata wnoszona przez członków nie przenosiła dwóch złotych na miesiąc. „Na posiedzeniach czytano literackie prace i naukowe rozprawy, w których przedewszystkiem przestrzegano czystości języka, a przedmiotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków dążących ku szerzeniu oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, tak, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami towarzystwa zalecano przede-

*) Filareci i Filomaci. Rocznik Towarzystwa Hist. Lit. 1870—72. Str. 5.

wszystkiem szczerość i wzajemną pomoc.“ Posiedzenia odbywały się co dwa tygodnie, a w razie potrzeby częściej, ale zawsze w tajemnicy. W przybieraniu nowych członków, zachowywano wielką ostrożność. „Wyznaczano osobnych komisarzy dla śledzenia i poznawania kandydatów i nie pierwej wyjawiano nawet już wybranym na członków byt towarzystwa, aż się zupełnie przekonano, że nowo wybrany zgadzał się całkiem na zasady przyjęte w organizacyi tego towarzystwa. Pospolicie używano do tego następującej filuteryi: Dwóch czy trzech członków wyznaczonych do poznania kandydata, proponowało mu założenie towarzystwa, układało z nim statuta i całą organizacyą, odpowiednią tej, jaka była przyjętą u Filomatów, i kiedy cała ta robota udana, której on sądził się być współautorem, była ukończona, wprowadzano go na posiedzenie, oświadczając, że to, czego chciał, już egzystuje od dawnego czasu.“

Tak nam opowiada organizacyą towarzystwa żyjący dziś Filomata, Ignacy Domejko, który wprawdzie nie należał do pierwszych założycieli towarzystwa, niebawem jednak został do niego przyjętym. Z powodu tej nadzwyczajnej ostrożności, jaką przy rozszerzeniu towarzystwa zachowywano, w prze-

ciągu dwóch pierwszych lat jego istnienia przyjęto oprócz Domejki zaladwie sześciu, najwięcej siedmiu nowych członków. Byli to mianowicie: Jan Sobolewski, jeden z tych, któremu poświęconą jest trzecia część *Dziadów*, wcześnie zmarły na wygnaniu; Józef Kowalewski sławny potem filolog „najulubieńszy uczeń Grodka, pracowity, cichy, lubiany od młodzieży"; Maryan Piasecki, adwokat; matematyk Budrewicz, „kochany oryginał", od którego imienia pochodzi nazwa ballady *Trzech Budrysow*; ksiądz Chlewiński, sprawujący służbę parafialną przy kościele świętojańskim a potem proboszcz w Nowogrodzkiem; mniej znany od innych Kozakiewicz i podobno jakiś Białostoczanin, którego nazwiska Domejko nie pamięta, wie tylko, że jeszcze przed 1830 rokiem umarł na Syberyi, jako wygnaniec.

Jaką rolę odegrał Mickiewicz w organizowaniu i rozszerzaniu towarzystwa? Głównym organizatorem nie był, to pewna, rolę tę wszyscy zgodnie przyznają Zanowi. Nie miał też jak inni jego współtowarzysze zdolności agitatorskich, łatwości zawiązywania stosunków, której mu zawsze brakło. Nie brał nawet udziału w pisaniu ustaw; „ale się radzono go w rzeczach kierunku, zasad i ce-

lów, i słuchano go, bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko". Pragnienia, chęci, zamiary i plany kolegów, przechodząc przez duszę młodego poety nabierały jasności i górności i krystalizowały się w poezyi, która z kolei namaszczała i krzepiła usiłowania kolegów.

Odzwierciedleniem pierwszego zawiązku Filomatów, ich zasad i planów, jest wspomniany już wiersz Mickiewicza: „Już się z pogodnych niebios etc." (14 września 1818). Wiersz ten, w którym młody poeta jeszcze się nie zdołał wyplątać z ciężkiej klasycznej formy, wymownie świadczy, że już wtedy młodzi związkowi zdawali sobie jasno sprawę z doniosłości swoich zamiarów. Z emfazą porównywa Mickiewicz przedsięwzięcie towarzyszy do wyprawy Argonautów, a wzywając do naśladowania świetnego przykładu bohaterów greckich, tak o tem przedsięwzięciu się odzywa:

Gdy nowe tworzym gmachy na nowej posadzie,
Gdy nasz trud również wielki, cel równie szla-
[chetny....

a nieco niżej:

Lecz gdy ku wielkim sprawom pole się odkry-
[wa i t. d.

Że to nie była tylko zwykła retoryczna przesada, zdają się poświadczać dwa dalsze wiersze:

Oby kiedyś świat cały zgodnie wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.

Tak więc nietylko odrodzenie własnego narodu, ale i odrodzenie całego świata miało spocząć na młodych barkach. Prócz zasad i celów wyraziły się w tym wierszu nawet sposoby działania: owa ostrożność w przyjmowaniu nowych członków, o której była mowa, znajduje tu obszerne uzasadnienie:

Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne robić do nas wstępy;
Bo niedługo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głazy.
I nam jeśli nie miło pracę podjąć marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.

Albowiem

choć liczne pragnących stawią się [orszaki,
Niejedna wszystkich żądza, zamiar niejednaki;
A gdy chytrej obłudy zdejmiemy z nich płaszcze,
Nie pod jednem się runem wilcze znajdą paszcze.
Ten się mądrością rządzi, ślepą dumą drugi,

Co w licznych towarzyszach chce mieć liczne [sługi,
A niech się im wykrętne nadadzą manowce,
Srodzy wraz z przyjaciela będą prześladowce.
Inny, by krótką chętkę lub ciekawość sycić,
Za najtrudniejsze sprawy nie waha się chwycić,
Ale jak go dziecinna uwiodła łakotka,
Dziecinna zrazi trudność, którą pierwszą spotka.

Naturalnie, przemawia tu głos raczej cudzego, niż własnego poety doświadczenia. W ogóle chłód wieje z tego wiersza, z pod ciężkiej szaty retorycznej nigdzie tu jeszcze nie strzela szczery blask zapału. Mickiewicz i potem używał czasem klasycznej formy wiersza n. p. w *Warcabach*, w wierszu *Do Lelewela*, ale w tych utworach wybierał on ją sobie, jako najstosowniejszą, i panował nad nią; tutaj zaś był jeszcze jej niewolnikiem. Przyjaźń nie roznieciła jeszcze była w jego sercu tak wielkiego ogniska, żeby w niem stopnieć mogły żelazne pęta klasycyzmu.

Działanie na zewnątrz, na kolegów, rozpoczęło się zaraz, ale nadzwyczaj powoli i ostrożnie. Wiemy jak butną i próżniaczą była po większej części ówczesna młodzież uniwersytecka: zbyt natarczywe działanie mogłoby ją tylko zniechęcić i może w śmiech podać reformatorów. Działano więc z początku na pojedyńczych kolegów, na swoich znajo-

mych, nie występując jeszcze z projektami ustaw; propagandę w obranym kierunku prowadzono w koleżeńskich pogadankach. Najlepiej to umiał robić Tomasz Zan i najliczniejsze miał grono znajomych. Mieszkał on już wówczas, w r. 1818/19, nie u Kontryma, ale we własnem mieszkaniu, w domu Kukiewicza, i miał przy sobie oprócz dwóch braci, Ignacego i Stefana, innych jeszcze uczniów, oddanych sobie w opiekę. Dlatego mieszkanie jego było obszerne i dlatego dużo się zwykle gromadziło w niem kolegów. Dobry humor, uprzejmość, szczerość Zana zjednywały mu łatwo serca tych kolegów i torowały słowom jego drogę do ich przekonania.

To co się podawało tutaj młodzieży dorywczo, w ustnej pogadance, w rok czy półtora roku potem, ułożone zostało systematycznie w prawidła (Piętnaście prawideł dla młodzi należącej do zgromadzenia przyjaciół pożytecznej zabawy). Z tych prawideł możemy powziąć dokładniejsze wyobrażenie o zasadach, któremi Zan i inni Filomaci byli przejęci i które starali się wpajać w swoich kolegów w owych pogadankach. Dlatego przytoczę tu ważniejsze ustępy z tego regulaminu moralnego:

2. „Chcesz posiadać naukę? Popracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości. Gdy zaś poznasz, czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć, i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy lecz wielki krok na drodze twego doskonalenia się.“

3. „Staraj się nabywać nauki z gruntownością stosowną do sił twoich i powołania. W tym zamiarze ułóż sobie plan doskonalenia się twojego, abyś wiedział, gdzie jest początek, gdzie środek, gdzie granice twojej nauki Bez takiego planu nie nadasz pracy twojej porządku, tak nieuchronnie w całem życiu potrzebnego, bez porządku nie nabędziesz w nauce gruntowności, a bez tej bądź przekonany, że nauka twoja może stać się szkodliwą.“

4. „Nie nazywaj nauką wiadomości usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki, lecz staraj się nadto sam nad wszystkiem, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i rozumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu....“

5. „Nie uwielbiaj rodzaju twojej nauki lub powołania nad inne rodzaje powołania i

nauki, ponieważ każda w sobie uważana jest równie użyteczną, potrzebną i godną człowieka....“

6. „Im skromniejszym coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opiniach, tem większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody....“

7. „Chcesz być cnotliwym? Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, abyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca.“

11. „Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty.“

Naturalnie, że to co tu wyrażone było w katechizmowy sposób, w pogadankach wolne było zupełnie od kaznodziejskiego tonu. Mistrzem Zana w propagandzie szlachetnych pojęć był autor *Tristrama Shandy*, Wawrzy-

niec Stern, którego sposób pisania, żartobliwy i czuły zarazem, Zan bardzo lubił, i który, jak się zdaje wielki wpływ wywierał na młodą duszę jego. Od niego to, od Sterna, mianowicie z pamiętników tego oryginalnego pisarza, przejął Zan formę swoich „rozdziałków“, które pisywał jeszcze na wygnaniu, a że w nich musiał nieźle naśladować mistrza, można wnioskować z tego, że Mickiewicz w jednym ze swoich listów pisanych z Kowna, nazywa go Wice-Sternem. Te rozdziałki u Sterna, są to krótkie pogadanki treści moralnej lub psychologicznej, oparte przeważnie na własnych autora spostrzeżeniach i wspomnieniach *) a pisane tonem, który już wyżej scharakteryzowałem. Takiemi też były zapewne i rozdziałki Zana. Czytywał on je kolegom i prawdopodobnie zarówno w nich jak w ustnych pogadankach rozwijał swoją dobrze znaną z nazwiska teoryą „promionków“. Teorya ta była oryginalnym pomysłem Zana, a ponieważ silnie oddziałała na życie ówczesnej młodzieży i na kierunek uczuć Mickiewicza, należy jej się tutaj szczególna uwaga.

*) Tytuły ich są n. p. takie: „Mój wuj Tobiasz“, „Ja“, „O melancholii“, „O dowcipie“, „Obmowa“, „Duma“, itd.

Zan był zaciętym wrogiem rozpusty, która tak łatwo otwiera bramy swoje młodzieży uniwersyteckiej. Domejko powiada, że „nie mógł znieść najmniejszego słowa w młodych ludziach, ktoreby zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a nie cierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że pierwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnienie grubych skłonności, obżarstwo i rozpusta, które zarażają otaczającą atmosferę swędem i zgnilizną: to też dowodził, że muzyką i poezyą, czystością obyczajów i miłością można uratować z upadku najbardziej zepsutych ludzi“. Nawet potem, w Orenburgu, choć przestał być patryarchą młodzieży, pisał przecież o sobie: „Wszeteczności zawsze jestem groźnym prześladowcą, kupiłem kij żelazny z młotkiem dla jej poskramiania“. Za to za najwyższe szczęście poczytywał miłość czystą, idealną, wolną od fermentu zmysłowości. Im doskonalszemi były osoby, które wzajemnie się kochając, obcowały z sobą, tem żywszą była roskosz, jaką ta miłość sprawiała. Roskosz ta polegała na wzajemnem patrzeniu na siebie, na wzajemnem wysyłaniu ku sobie *promionków*, promieni, które grając w oku, świadczyły o duszy, były przędzą z jej przymiotów usnutą. Każdy przymiot

podług Zana wyraża się w oku osobnym promionkiem, trzema zaś najpiękniejszymi promionkami duszy ludzkiej są: piękność, czułość, niewinność. Te otaczają duszę ludzką jakby aureolą, a gdy się jedna taka aureola z drugą podobną do siebie zetknie, wówczas wytwarza się nad temi dwiema duszami jakby tęcza, która i świat cały dla dwojga istot miłośnie ku sobie patrzących opromienia i dusze ich powołuje ku niebu, ku źródłu wiecznej harmonii[1]).

Tak promionkowo i platonicznie kochał się Zan w pannie Felicyi Przeciszewskiej[1]) i pisywał do niej wiersze, pomiędzy innemi ów tryolet:

Wróć, Feli, spokojność moję,
Bo nie wiem, co będzie ze mną;

---

[1]) Odyniec. Wspomnienia z przeszłości. Kron. Rok 1880 str. 35. Możnaby i myśli podobne do teoryi promionków znaleść w ulubionych przez Zana „rozdziałkach“ Sterna. Czytamy tam: „kiedy się zdarzy, że jakaś zachwycająca postać jest mieszkaniem duszy cnotliwej, kiedy regularność i słodycz rysów objawia piękność duszy, i kiedy te zalety podnoszą myśl człowieka aż do Twórcy natury, ach! ileż się wówczas da powiedzieć i o piękności i o sztuce jej uwydatnienia“....

[1]) Takie nazwisko daje ukochanej Zana Domejko. Odyniec nazywają Felicyą Micewiczówną.

Kocham, trwożę się i boję,
Wróć Feli spokojność moję.
Albo zakryj krasę twoję,
Albo kochaj, bądź wzajemną;
Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem co będzie ze mną.

Feli stała się Beatryczą Zana i uwiecznioną została w pieśni Filaretów, ale sama panna podobno nie wiedziała o uczuciu, które wzbudziła. Miłość ta zresztą tak harmonijna, tak idealnie spokojna, nie czyniła Zana ślepym na przymioty i wdzięki innych panien, licznych swoich uczennic, w których również upatrywał rozmaite promionki i do których także pisywał wiersze.

Niebawem koledzy Zana zaczęli naśladować przykład jego, zaczęli obierać sobie Laury i Beatrycze, często zaledwie z widzenia znane, i słali ku nim platoniczne westchnienia. Najwyższą rozkoszą było przechadzać się pod oknami bogdanki, marzyć i mówić o niej i upatrywać w jej oczach promienie wszelkich doskonałości. Ta to promionkowa, marzycielska miłość otaczała dziwną czystością serca młodzieży i strzegła je od brudnego kielicha rozpusty.

Ale nietylko miłość idealna polegała podług teoryi Zana na promionkowaniu; i

przyjaźń prawdziwa między mężczyznami była również wzajemnem takiem wysyłaniem promieni duszy ku sobie. Bywało dużo rozpraw na ten temat w gronie znajomych Zana, a o nim samym mówili koledzy „że nietylko z oczu ale i z czoła Tomasza, ile roć był otoczony swemi kochanemi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, co był sposobny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały na zimne lub nieczyste serce.“ Kolegów Zana, opromienionych jego przyjaźnią, zwano promienistymi, a nazwa ta stała się potem nazwą całego stowarzyszenia młodzieży.*)

Nadeszła wiosna 1819 r. Znaczną już była liczba kolegów, z którą Filomaci, szczególnie za pośrednictwem Zana, zawiązali ściślejsze stosunki. Tę młodzież, a także i innych kolegów, których chciano przyciągnąć do siebie i bliżej poznać, zaprosili Filomaci na koleżeńską, wspólnym kosztem urządzoną majówkę. Jest na południowo-wschodniej stronie Wilna, niedaleko brzegów Wilenki, piękna, górzysta miejscowość Popławy; tam

*) Domejko Ignacy. Filareci i Filomaci, str. 12.

miała się odbyć majówka. Oznaczonego dnia, ledwie słońce się ukazało na pogodnem niebie, zaczęli wychodzić z miasta na ową majówkę studenci. Szli małymi oddziałami po 20 do 30 i różnemi drogami, ażeby gromadnem wyjściem nie zwracać na siebie uwagi policyi. Wyszedłszy z miasta śpiewali wesołe pieśni, zbierali kwiaty i zrywali gałązki świeżo rozpuszczonych krzewów, a tymczasem na Popławach na wzgórzu czekały na nich wiadra z mlekiem, biały chleb i świeże ciasta. Widok pięknej okolicy i budzącej się przyrody, wonny powiew majowego poranka i pogodny błękit już same przez się zdolne były ożywić i rozochocić serca młodzieży, cóż dopiero, gdy zjawił się jej patryarcha, Zan, gdy otoczywszy go kołem młodzieńcy zaczęli śpiewać chórem rozmaite pieśni, zastosowane do czasu i okoliczności, i gdy potem nastąpiła swobodna, hałaśliwa ale serdeczna pogadanka, wśród której ten i ów z kolegów wydobywał z zanadrza swój wiersz, aby go odczytać kolegom i jeszcze większy wywołać w nich zapał.

Znamy jednę z pieśni, którą wówczas śpiewano. Streszczała ona w sobie uczucia i dążenia, któremi Filomaci starali się natchnąć kolegów:

Hej radością oczy błysną,
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną.
Bo to wszystko bracia nasi.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę;
Otworzmy myśli i chęci,
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ostatni wiersz tej pieśni wszyscy chórem powtarzali. Sądząc ze słów Odyńca (*Kronika Rodzinna* 1879) autorem jej był Mickiewicz. I Zdanowicz, który ją całą podał w swojem wspomnieniu o Filomatach i Filaretach, również uważa ją za utwór Adama Tylko Domejko mówi o niej tak, jak gdyby nie wiedział, kto był jej autorem. („Spiewano też drugą poważną pieśń, z której pamiętam jednę tylko zwrotkę"). Ale Domejkę, przez tyle

dziesiątków lat oddzielonego oceanem od miejsca wspomnień młodości i od ludzi, z którymi w rozmowach mógłby te wspomnienia wskrzeszać, zawodziła nieraz pamięć, jak to sam przyznał. Nie mógł on sobie nawet dokładnie przypomnieć, czy ta pierwsza majówka była 1819 czy 1820 roku; być może iż wrażenia z dwóch, trzech majówek zlały się w nim na wytworzenie wspomnienia o tej pierwszej majówce. Tym sposobem też można tylko objaśnić tę sprzeczność z samym sobą, w jaką popada Domejko, mówiąc raz o pieśni Mickiewicza „Hej użyjmy żywota“, że pamięta doskonale, jak ją Adam przywiózł, jako nowy utwór, na jedne ze swoich imienin z Kowna, a drugi raz powiadając, że śpiewano ją na pierwszej majówce. Sprzeczność na tem polega, że jeśli tę pieśń Adam w Kownie napisał, to nie mogła być ona śpiewaną na pierwszej majówce, która, jak wiemy, odbyła się na wiosnę 1819 r., t. j. przed wyjazdem Mickiewicza do Kowna.

Młodzież wracała z majówki upojona miłemi wrażeniami, których doznała, a przedewszystkiem upojona uczuciem braterskiej, koleżeńskiej miłości, którą Filomaci bez wielkiego trudu zdołali w niej rozniecić. Ale jeżeli każdy z powracających kolegów niósł

miłe i rozkoszne wrażenia w sercu, o ileż milszemi i rozkoszniejszemi były wrażenia i uczucia tego, który czuł żywiej i głębiej od innych, a każde uczucie oskrzydlał fantazyą, który patrzał na zapał, jaki jego pieśni wzbudzały w młodzieży, którego koledzy zaczynali już pokazywać sobie, jako wybrańca muz i otaczać atmosferą czci. Każdy wie, że mówię tu o Mickiewiczu. Nie znając tych wrażeń, tych majówek, trudnoby nam było zrozumieć genezę „*Ody do młodości*“.

Pierwsza ta majówka obudziła nadzwyczajny ruch w młodzieży. „Wiązali się jedni z drugimi, powiada Domejko, ponawiali wieczorne przechadzki za miasto i na nich śpiewano pieśni narodowe“. Filomaci, którym chodziło nie o rozmarzenie młodzieży, ale przedewszystkiem o zachęcenie do poważnych myśli, do pracy, do nauki, postanowili skorzystać z niezwykłego ożywienia młodzieży, wywołanego pierwszą majówką i zawiązać stowarzyszenie, któreby miało za zadanie rozwinąć i podtrzymać w niej ów poważny kierunek.

„Spostrzegli Filomaci, powiada Domejko, że nie było czasu ociągać się i należało utworzyć towarzystwo od razu liczniejsze, z zastosowaniem do jego organizacyi za-

sad, które z doświadczenia okazały się najbezpieczniejszemi a zarazem najkorzystniejszemi dla nas. By zaś nie osłabić siebie a zachować jedność i pewien niezachwiany cel raz przyjęty, postanowiliśmy zachować Towarzystwo Filomatyczne tak jak było, tajemne, i nieprzyjmować do siebie chyba kogo, coby z zupełną szczerością i pewnością przyłączył się do naszej familii; ale odtąd Filomaci postanowili szczególnie kierować czynnościami liczniejszego towarzystwa, dla którego potrzeba było natychmiast ułożyć ustawy, i dać mu nazwisko, coby nie trąciło klubem lub konspiracyą, albo gotowaniem się do jakich niewczesnych, rewolucyjnych ruchów. Jeżowski zaproponował nazwać to nowe towarzystwo Filaretami."

„W pierwszym zaraz artykule ustaw zastrzeżono, że Filareci nie będą zajmować się polityką a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały stosownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie i utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Każde grono miało swego prezesa, sekretarza i skarbnika a całe towarzystwo głównego prezesa i sekre-

tarza; wszystkie wybory odbywały się otwarcie i większością głosów. Żadnych sekretów ni hierarchicznych wymysłów, żadnych znaków, ni ceremonii, mistrzów ni sędziów. Ustawy były krótkie i jasne, przyrzekano tylko przed nienależącymi do towarzystwa nie wyjawiać jego bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności od strony władz rządowych i uniwersyteckich, jako też dla dobra samych Filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobą zgodę, braterstwo i obyczajność. Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby."

„Na posiedzeniach czytano prace w przedmiotach, które odpowiadały gałęzi nauk należącej do grona i toczyły się rozprawy w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nietylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie z umiarkowaniem i jasno w przedmiotach częstokroć zawiłych; przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu.

„Że zaś nie mieliśmy salonów na liczne zebrania, i ostrożność nakazywała unikać gro-

madnych schadzek, mianowano i wysyłano na posiedzeniach z każdego grona delegatów na posiedzenia innych gron, a ci delegaci byli obowiązani zdawać sprawę, każdy przed swojem gronem, z czynności grona, do którego byli posłani. Mogli jednak Filareci, którzy mieli czas i ochotę, iść na posiedzenia wszystkich gron bez wyjątku, nawet nie będąc delegatami do nich, mogli nawet zabierać głos na nich, ale nie mieli prawa mięszania się do wyboru urzędników w gronach, do których nie należeli".

„Z największą łatwością, bez oporu, i ze zgodą powszechną, zawiązało się w jednym tygodniu kilka gron Filaretów, wybranych po największej części między Promienistymi, co wzięli byli udział w ostatniej majówce. Kto ich wybrał, kto ich zebrał i urządził, nie pytano się: była to sprawa filomacka, dobrze ułożona i tak doprowadzona do skutku, że każdy z Filaretów, a znalazło się ich do stu na pierwszych posiedzeniach, sądził że był założycielem towarzystwa. Było jednak wypadkiem bardzo naturalnym, że na prezesów i sekretarzy pierwszych gron, wybrali Filareci samych prawie Filomatów, jako promotorów, o których towarzystwie nie wiedzieli, ani się jego bytu domyślali. A chociaż Filo-

maci kierowali czynnościami Filaretów i na swoich tajnych posiedzeniach naradzali się odtąd głównie nad utrzymaniem między nimi zgody, porządku i uchronieniem ich od zejścia z obranej drogi, starali się jednak jak mogli badać ich ducha, zadosyć czynić ich chęciom i dążeniom, nie przeciwić się ich słusznym wymaganiom.

„Zbierały się tedy grona Filaretów co piętnaście dni, niektóre co miesiąc, dla czytania swoich prac literackich i naukowych; żyli z sobą w bliższych stosunkach niż z nienależącymi do towarzystwa, pomagali sobie wzajemnie tak w utrzymaniu się jak i w nauce; szukali jedni drugich w wolnych od pracy godzinach, na zabawie i przechadzkach, na których może lepiej objawiały się duch i życie towarzystwa niż na posiedzeniach".

Przytoczyłem ten dłuższy ustęp z Domejki, ponieważ jako świadectwo Filomaty, ma on wielką wagę, ale teraz muszę zaznaczyć, że pomiędzy nim a innemi świadectwami zachodzi znaczna niezgodność. Podług Domejki nazwa Promienistych służyła tylko uczestnikom majówek; podług Karola Kaczkowskiego, ks. Jundziłła i Zdanowicza była ona nazwą stowarzyszenia, które i poza majówkami było czynne, miało swoje usta-

wy, posiedzenia, w ogóle bardzo podobnem było do opisanego przez Domejkę towarzystwa Filaretów. Dalej podług Domejki towarzystwo Filaretów zawiązało się niebawem po pierwszych majówkach Promienistych, podług innych, tylko co przytoczonych świadectw, miało to nastąpić dopiero 1821 roku, po urzędowem przez rektora rozwiązaniu Promienistych. Wreszcie twierdzenie Domejki, że już od początku towarzystwo Filaretów okrywało się ścisłą tajemnicą i żądało od nowowstępujących członków jej dochowania, nie zgadza się z tem, co opowiada Odyniec o swojem wstąpieniu do Filaretów roku 1820.

Byłoby nadzwyczaj pożądanem, gdyby który z żyjących czcigodnych naszych Filaretów, Odyniec czy Domejko, stanowczo r. zstrzygnął te sprzeczności i rozjaśnił w tym względzie jednę z najciekawszych i najważniejszych kart naszych dziejów z ostatniego stulecia. Zanim to nastąpi, postaram się sam, o ile potrafię, rozwikłać i pogodzić sprzeczności rozmaitych świadectw.

Zdaje mi się, że główną przyczyną niezgodności świadectw, była zmienność i rozmaitość nazwy stowarzyszonych. Uczestnicy pierwszej majówki, urządzonej przez Filomatów, nazwali się Promienistymi i odtąd

nazwa ta przeszła na uczestników wszystkich następnych majówek. Że jednak Promieniści mieli pewną organizacyą, że stanowili związek, świadczy o tem wydany przez księgarnię luksemburską a nie wiem skąd przez nią wydobyty Raport Tomasza Zana do Rządu Towarzystwa Filomatycznego. Zaczyna on się od następujących słów: „Dnia 6 maja r. b. otworzyliśmy zabawy majowe młodzieży, które „promienistemi“ nazwano. Przedmiotem tego związku są zabawy, składające się z ćwiczeń ciała, z czytania własnych robótek w jakimkolwiek rodzaju, lub deklamowania miejsc piękniejszych z autorów polskich. Zabawy te zowią się majówkami, których trzy w maju odbyto. Wstęp każdemu młodzieńcowi do związku wolny, sposób przyjmowania łatwy. Każdy przychodzący mając sobie wyłożony cel Promienistych, cel zabawy, przyjemny i pożyteczny, ustnie obiecywał znajomość i przyjaźń, wspólną pomoc każdemu w naukach i potrzebach, wypełnianie obowiązków stanu, nabywanie cnót, które młodzieńca w oczach wszystkich czynią szacownym i miłym; po obietnicy imię swoje zapisywał w seksternie i już miał prawo mówić otwarcie i szczerze i słuchać przestróg.“ Przewodnikiem zabaw z przydomkiem

„Arcy“ i „z władzą najwyższą nietylko na majówce, lecz i za majówką“ był Tomasz Zan. On mianował urzędników towarzystwa i naznaczał dni posiedzeń. Mieli Promieniści podług tego raportu Zana swoją kancelaryą, którą zawiadywał sekretarz Filomatów Pietraszkiewicz; „on dzieje spisywał i wyznaczał podkanclerzym przedmioty majówki do opisywania“. Mieli marszałka wielkiego, który przestrzegał porządku posiedzeń i ogłaszał wyroki (Teodor Łoziński), marszałka nadwornego, do którego należało kupować dla wszystkich mleko i masło (Bukiewicz Michał) i podskarbiego, który zbierał pieniądze od członków i rozrządzał niemi (Kazimierz Piasecki. Pomiędzy szambelanami do roznoszenia życzeń Arcego, znajdujemy nazwisko Ign. Domejki. Towarzystwo dzieliło się na grona zwane województwami, a każde grono miało swoich urzędników.

Z całego raportu widać, że zabawa na majówkach — zabawa szlachetna i umoralniająca — była głównem jeżeli nie jedynem zajęciem Towarz. Promienistych. Ale nie chcieli na tem poprzestać Filomaci i postanowili, jak wiemy, założyć towarzystwo, któreby miało poważniejszy charakter, gdzieby pracy naukowej nie pochłaniała zabawa i towarzystwu

temu, za radą Jeżowskiego, dano nazwę Filaretów. Ponieważ wszyscy członkowie nowego towarzystwa wyszli z grona Promienistych, nic więc dziwnego, że nazwy Filaretów i Promienistych mięszały się z sobą, identyfikowały się, a ponieważ druga była i dawniejszą i popularniejszą od pierwszej, więc też w oczach ludzi mniej wtajemniczonych zasłaniała, zakrywała pierwszą. Dlatego to o Filaretach nic nie słyszano w mieście, kiedy o Promienistych ks. Jundziłł powiada: „bytność tego towarzystwa nie była nikomu tajną; początkowe nawet niektóre ustawy były wszystkim znajome“. Inaczej być nie mogło; majówki, na których i Filareci występowali jako Promieniści, gdyby nawet chciano zachować tajemnicę, która zresztą nie była z początku potrzebną, nie mogłyby się były ukryć przed światem. Ale żeby tych gromadzeń się młodzieży źle nie tłómaczono, potrzeba było uzyskać sankcyę władzy uniwersyteckiej. W tym celu przewodnicy Promienistych, na majówce odbytej dnia 17go maja 1820 r. ułożyli znane nam już prawidła, które streszczały kierunek moralny tak Filaretów jak Promienistych i przedłożyli je rektorowi uniwersytetu (Malewskiemu) do potwierdzenia. Wobec uniwersytetu jednak uwa-

żano za stosowne wystąpić nie z nazwą „Promienistych“, która była czysto koleżeńską i wymagała komentarzy, ale z taką, którąby sama przez się wyrażała skromne zadanie towarzystwa, a mianowicie z nazwą „Towarzystwa przyjaciół pożytecznej zabawy“. Tak więc jedni i ci sami stowarzyszeni występowali tu już z trzecią nazwą. Rektor potwierdził prawidła „w nadziei dobrych skutków zachęcenia do pilniejszego i ściślejszego zachowania obowiązków ucznia uniwersytetu“; ale nazwa urzędowa nie przyjęła się i stowarzyszeni znani byli powszechnie pod nazwą Promienistych.

Że Filareci nie zawiązali się dopiero po rozwiązaniu Promienistych (1821) ale istnieli przedtem, świadczy także Odyniec, który w swoich *Wspomnieniach z przeszłości* opowiada, jak 1 listopada 1820 r. wprowadzony został do towarzystwa „Miłośników Cnoty“. Wreszcie potwierdzają to niektóre pieśni, o których wiemy, że były śpiewane na promienistych majówkach, a w których nazwa Filaretów występuje jako dobrze znana. Tak np. pieśń Adama: *Hej użyjmy żywota*, znana pod nazwą pieśni Filaretów, a śpiewana, jak wiemy od Odyńca, na jednej z majówek 1820 roku, kończy się strofą:

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń;
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

W pieśni Czeczota „Wstał pan Kwiecień z martwych ninie“, przytoczonej przez Domejkę, a śpiewanej także na jednej z majówek jeszcze przed rozwiązaniem Promienistych, znajduje się strofa:

I kiedyś przyjdą te lata,
Że z Filareckiego świata
Powstanie zmarły Sarmata.

Tak więc zdaje się nie ulegać wątpliwości, że się mylą Kaczkowski i ks. Jundziłł pod względem daty zawiązania się Filaretów, i że to co mówią o Promienistych, stosuje się poczęści do Filaretów, którzy w początkach swego istnienia byli im pod tamtą nazwą znani. Niemniej przeto pozostanie zawsze rzeczą bardzo dziwną, że Karol Kaczkowski, który dobrze znał się z Zanem a był przyjacielem Piaseckiego Maryana, także Filomaty, należał do Promienistych a wyjechał z Wilna dopiero na początku 1821 roku, że on nic nie wiedział o istnieniu Filomatów przed rokiem 1821!

Ale wróćmy do toku opowiadania. Przez dwa pierwsze lata istnienia Promienistych i Filaretów od 1819 do 1821 swobodnie rozwijała się filarecka pra a naukowa na posiedzeniach, zabawy Promienistych na majówkach. Uorganizowano odczyty prywatne dla Filomatów: Kowalewski uczył języka łacińskiego i literatury starożytnej, Józef Chodźko fortyfikacyi, Malewski prawa rzymskiego, Jeżowski historyi i filozofii, Domejko gotował się do otwarcia kursu geografii fizycznej według nowej metody, i do tych odczytów sprowadzono wiele książek niemieckich i angielskich.

Zbawienny wpływ tych zgromadzeń na życie i sposób myślenia młodzieży uniwersyteckiej, bardzo prędko dał się uczuć. Już Zan w cytowanym tylko co raporcie swoim pisze o kolegach, że „zaczęli pilniej chodzić na lekcye i skromnie się na nich znajdować, do kościoła uczęszczać, uczyć się, egzamina zdawać, inszem okiem na kolegów swoich zważać". Karol Kaczkowski potwierdza to, mówiąc, że przerzedzone poprzednio ławki zwolna zapełniać się zaczynały, zamiast roztargnionych i roztrzepanych słuchaczów większa część notowała każde słowo wypowiedziane z katedry, i w ogóle pilność i oby-

czajność młodzieży tak widocznie wzrastała, że to wszystkich uwagę zwrócilo.

Jednakże nie wszyscy profesorowie jednakowo zapatrywali się na ten ruch młodzieży. „Jedni, powiada Kaczkowski, jak Frank, Sniadeccy, cieszyli się z tego objawu życia w młodzieży, aprobowali jego kierunek, choć otwarcie wypowiedzieć tego nie chcieli. Inni, jak zacny Stanisław Jundziłł i w ogóle cała kategorya starych weteranów, pełnych zasług ale pedantów i zwolenników raz przyjętej rutyny, nie mogli pojąć, jak młodzież bez ich opieki i kierownictwa sama sobie radzić może i upatrywali w tem pewne uchybienie dla siebie, lekceważenie tyloletniej ich pracy i wyraźny dowód nieufności. Niechęć ich dla towarzystwa, choć tajona, bo nic mu zarzucić nie mogli, przebijała jednak we wszystkiem, a najwięcej w drobnostkach codziennych stosunków, i coraz bardziej Promienistych od nich odstręczała. Byli też i tacy, co trwożliwie spoglądali na to, co się dzieje, raz dlatego, że im się wydawało, iż skupieni w naukowym celu akademicy, rozciągną z czasem pewną kontrolę nad wykładami i zechcą sami sobie zapełniać rażące u niektórych braki; to znowu, że się lękali, aby ztąd nie wyniknęły posą-

dzenia o tajemne spiski w uniwersytecie i wszystkie przykre tego konsekwencye.“

I między młodzieżą uniwersytecką mieli stowarzyszeni niechętnych. Mianowicie ta jej część, która zbyt ugrzęzła w życiu hulaszczem i próżniaczem, aby ją idealne cele Promienistych i Filaretów mogły ku sobie pociągnąć, drwiła sobie z idealności i wstrzemięźliwości stowarzyszonych i nazywała ich mnichami. Ci nie mogąc jej wciągnąć do swego koła, a czując swoją wyższość, stronili od niej, odosabniali się, i to zapewne było poczęści powodem, że oskarżano Filaretów o „duch korpusowy“. Głównym oskarżycielem jest ks. Jundziłł. Zarzuca on Filaretom, że „skwapliwi w poniżaniu wzrastających zdolności wszystkiej, niezagarnionej jeszcze do ich związku młodzieży, sławili przed publicznością i wyższemi władzami zdatność, usposobienie, talenta miernych, a nawet niedołężnych towarzyszów swoich i na wszystkie zyskowne, już w mieście, już na prowincyach posady gorliwie zalecali.“ Być może, że przyjaźń zaślepiała ich niekiedy w sądzeniu o zdolnościach kolegów — bo i trudnoż wymagać trzeźwej bezstronności od młodzieży — ale przyszłość dowiodła, że najwybitniejsze zdolności z pomiędzy ówczesnej młodzieży uni-

wersyteckiej znajdowały się w gronie Filaretów. Inne zarzuty szanownego, ale zrzędnego starca, jak n. p. zarzut „odraźliwej szorstkości“ względem przełożonych, są tak błahe, że nie warto ich rozbierać. Sam Jundziłł zresztą zbija poniekąd swój zarzut „korpusowego ducha“, gdy mówiąc o urządzeniach Filaretów powiada: „Pieniądze pozostałe od potrzeb, obracane były na wsparcie ubogich uczniów, nie należących nawet do towarzystwa, byleby ci byli znani z dobrych swych postępków i pilnego przykładania się do nauk.“

Do jakich czynów ofiarności zdolną była przyjaźń koleżeńska między stowarzyszonymi, szczególnie jeżeli myśl obywatelska jej przyświecała, da nam wyobrażenie przykład, jaki ze swego życia przytacza Karol Kaczkowski. Był on, jak wiemy, na koszcie rządowym i ukończywszy doktoryzacyą, gotował się już jechać, jako lekarz rządowy, tam, dokąd mu wskażą, „ku granicom Persyi, czy ku Chinom, czy też pod biegun północny“, kiedy pewnego razu, wchodząc do swego mieszkania, zastaje tam grono kolegów, czekających na niego, z których jeden, Maryan Piasecki, wręcza mu jakiś pakiet od rektora. Kaczkowski rozrywa kopertę i znajduje w niej uwia-

domienie, że minister oświecenia, stosownie do jego prośby, przyjmuje złożone przezeń pieniądze w sumie rs. 900, jako zwrot kosztów rządowych, i uwalnia go od wszelkich obowiązków rządowej służby. Zdziwienie Kaczkowskiego było ogromne: podobnej prośby nie pisał, pieniędzy wcale nie składał, skądże więc to uwolnienie? Wnet wśród braterskich uścisków dowiedział się, że było ono dziełem Piaseckiego i innych kolegów, którzy chcieli zachować jego zdolności i naukę dla swoich stron, dla swego kraju, i złożywszy oszczędności swoje, po większej części z guwernerki zebrane, w tajemnicy przed nim wykupili go od obowiązku służby rządowej, która go gdzieś daleko zanieść mogła.

Dwa lata już istniały towarzystwa Promienistych i Filaretów i liczyły wielu członków z różnych wydziałów, kiedy reakcyjne prądy, którym uległ cesarz Aleksander I, nadały nowy kierunek wewnętrznej polityce rządowej, a śledzenie tajemnych politycznych związków młodzieży na uniwersytetach niemieckich zaczęło zwracać uwagę rządu rossyjskiego na stowarzyszenia młodzieży polskiej. Generał-gubernator litewski Korsakow, który zapewne wskutek wskazówek z góry otrzymanych, zaczął był wyraźnie objawiać

niechęć swoją dla masonów, zasłyszawszy coś o Promienistych, uroił sobie, za czyimś może podszeptem, że Promieniści są znaną dawniej w Niemczech sektą Illuminatów która u nas bardzo złej sławy używała*), i odzywał się nieraz głośno i z przekąsem, że w Wilnie oprócz masonów są jeszcze Illuminaci. Profesorowie, szczególnie część ich trwożliwsza i ostrożniejsza, dowiedziawszy się o tych słowach generał-gubernatora, a lękając się bezpośredniego wdania się rządu w sprawy uniwersytetu, zaczęli nalegać na rektora Malewskiego, aby zapobiegł złym następstwom i rozwiązał stowarzyszenie, które za jego wiedzą istniało. Malewski usłuchał przedstawień kolegów. W połowie maja 1821 roku, obrawszy dzień, w którym się właśnie odbywała majówka Promienistych, udał się na miejsce zgromadzenia i rozwiązując uroczyście stowarzyszenie, tak przemówił do młodzieży, że ta z uszanowaniem, „pozornem“ wprawdzie, jak powiada ks. Jundziłł, przyjąwszy

*) Tę sławę u nas Illuminatom zrobiło dzieło Barruela: „Memoires pour servir à l'histoire du Jacobinisme“, przełożone przez księdza Karola Surowieckiego 1812, p, t.: „Historya Jakobinizmu.“

napomnienie rektora, i nie okazując najmniejszego oporu, spokojnie się rozeszła. *)

Domejko trochę inaczej przedstawia ten szczegół. Powiada on, że Malewski nietylko uprosił i zniewolił Zana i innych, aby natychmiast zawiesili wszelkie czynności i tajne zebrania, jeżeli nie chcą zguby uniwersytetu i jego rozwiązania, ale zasłyszawszy o istnieniu obszernych archiwów filareckich, zmusił Zana, Pietraszkiewicza i Jeżowskiego do zebrania wszystkich protokołów, statutów filareckich i dokumentów w jedno miejsce i do ich spalenia, co się stało z wielkim żalem Pietraszkiewicza.

Tak przestali istnieć Promieniści, skończyły się ich rozkoszne majówki, przyczaili się Filareci, ale ruch zbudzony w młodzieży nie mógł się zatrzymać ani na rozkaz ani na prośby rektora. Otoczył się on tylko najgłębszą tajemnicą, a im bardziej taić się musiał, tem silniej zagrzewał i rozpalał serca młodzieży.

---

*) Sobarry. „Obrazki litewskie“ str. 70. Kaczkowski. „Wspomnienia“ tom I, str. 101.

II.

Serce Mickiewicza przed poznaniem Maryli. Tuhanowicze i okolica. Pierwszy przyjazd Mickiewicza do Tuhanowicz. Maryla i jej otoczenie. Wawrzyniec Puttkamer. Jakim się Mickiewicz wydał Maryli. Pierwsza faza jego miłości dla niej.

Zanim przystąpię do rozpatrzenia utworów Adama, w których się odzwierciedliło życie świata filareckiego, potrzeba nam poznać inne wypadki z jego życia, współczesne tworzeniu się koleżeńskich związków, zbadać inne wpływy, które się złożyły na przebudzenie w nim geniuszu poetyckiego. Wpływy te działały współcześnie, nie można ich odosabniać przy roztrząsaniu utworów poety. Przedewszystkiem musimy poznać stosunek poety z Marylą i zwrot jego pojęć ku romantyzmowi.

Wielkie to szczęście dla potomności, która nie poprzestaje na posiadaniu dzieł poety, ale chce je zgłębić i do najskrytszych

tajników uczuć i myśli przelanych przez poetę na papier, szuka klucza w jego życiu — wielkie to szczęście dla potomności, że jednym z przyjaciół poety, zbliska obeznanym z dziejami jego młodości, był człowiek, który obok żywej pamięci, zamiłowania w poezyi i uwielbienia dla mistrza, posiadał i posiada nadzwyczajną łatwość pióra i zdolność odwzorowywania dawno minionych wrażeń z całą ich pierwotną świeżością. Każdy się zapewne już domyślił, że mówię tu o Odyńcu. Gdyby nie był nawet sam poetą i znakomitym tłómaczem, jego pamiętnikowe utwory, rozsiane po różnych pismach i książkach wyznaczyłyby mu poważne stanowisko w naszej literaturze. Bez niego biografia Mickiewicza byłaby tylko szkieletem.

Wprawdzie dramat miłośny pomiędzy Mickiewiczem a Marylą nie odgrywał się przed oczami Odyńca, wprawdzie Mickiewicz w rozmowach późniejszych z Odyńcem nie lubił dotykać długo niezabliźnionej rany serca i nie wspominał o Maryli, ale Odyniec znał dobrze główne osoby dramatu w ostatnim jego akcie i dał nam ich doskonałą charakterystykę, a przytem od innych dawniejszych przyjaciół Adama, wtajemniczonych

w tę miłość, zachwycił niektórych ciekawych szczegółów do początkowej historyi tego miłośnego stosunku.

Mickiewicz, poznając Marylę, miał rok dwudziesty. Czy serce jego zabiło już silniej kiedykolwiek przedtem na widok pięknej niewieściej postaci? Serca poetów wcześnie się zwykle otwierają dla uczuć miłośnych, zdaje się jednak, że serce Mickiewicza było jeszcze w chwili poznania Maryli zupełnie dziewicze. Myśl jego wprawdzie zwracała się w stronę przyszłej wybranej, ale ta przyszła wybrana nie stawała przed nim wcieloną. W pierwszym roku po przyjeździe do Wilna przechadzając się raz samotnie po pięknym cmentarzu wileńskim, Rosie, bujnymi drzewami ocienionym, stanął przed nagrobkiem, na którym wyryte było nazwisko: Laskarys. Nie wiedział zapewne młodzieniec o istnieniu rodziny tego nazwiska na Litwie; to też zdziwienie jego było wielkie, gdy z mchów i traw litewskich wyjrzało ku niemu imię tak głośne w dziejach Bizancyum. Wyobraźnia jego, która zawsze okazywała skłonność do mistycyzmu, uderzona tem imieniem, chciała upatrzeć w niem jakiś prognostyk i cóż upatrzyła? Oto, że przeznaczona dlań

żona będzie się nazywała Laskarys. *) Z tego wnioskować można, że wówczas jeszcze żaden żywy ideał niewieści nie zajmował jego serca i że myśli jego, jeżeli goniły kiedy za takim ideałem, to latały w jakichś górnych sferach, nie stykających się z otaczającą rzeczywistością. Takim ideałem poety była Żywila, bohaterka, która poświęca miłość i szczęście swoje dla dobra ojczyzny, a której słaba dłoń w chwili niebezpieczeństw umie zadawać śmiertelne ciosy.

Serce Adama przytem nietylko było swobodne jak ptak, ale i czyste jak strumień przejrzysty, niezamącone jeszcze wzruszeniami zmysłowej rozkoszy. Czyż mogło być inaczej? Przywiózłszy serce pobożnie nastrojone z Nowogródka, a mając takiego archanioła czystości, jakim był Zan, za nieodstępnego towarzysza i przyjaciela od pierwszych chwil pobytu w wielkiem mieście, mógłże nasz młodzieniec zbaczać na manowce, rzucać się „w brudne uciech rzeki“, które zwa-

*) W kilka lat później poznał Mickiewicz pannę Florę Laskarys, córkę tej, której grób na Rosie tak go zadziwił, i bał się, zapewne więcej żartem niż na seryo, żeby się prognostyk nie ziścił.

biły niejednego z kolegów jego? To też tylko na tle tak czystego serca mogła się tak idealna przy całej swej namiętności rozwinąć miłość.

Jawne potwierdzenie tych domysłów znajdujemy w trzeciej części *Dziadów*. Oto jakim był Gustaw przed poznaniem kochanki.

„Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.
Lecz gdy w czasach tych zimnych nie ma [ideału,
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki:
Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,
Goniąc i błądząc, w błędach nieznużony go- [niec —
Wreszcie, napróżno zbiegłszy kraj daleki,
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie —
I znalazłem ją nakoniec!

Tomasz Zan, który był potem powiernikiem tej miłości, był też, jeżeli tak można powiedzieć, głównym jej sprawcą. Bez niego Adam możeby wcale nie poznał Maryli. W r. 1817 jeździł Zan na wakacye do swego mło-

dego przyjaciela, Michała Wereszczaki, który mieszkał w powiecie nowogrodzkim w Tuhanowiczach, niedaleko Płużyn, sławnych swojem jeziorem Świtezią. Powrócił stamtąd zachwycony pięknością jeziora, a jeszcze więcej siostrą gospodarza domu, Maryą, którą przezwał po swojemu Marylą, i „cuda o niej przyjaciołom swym opowiadał“, jako o pięknej i nadzwyczaj poetycznej istocie. Odczytywał też kolegom wiersze, które do niej i o niej popisał, a w których wielbił zapewne „promionki“ z jej oczu na świat strzelające.

Na wakacye następnego 1818 roku wybierał się również Zan do Wereszczaków i namawiał Mickiewicza, aby z nim tam na kilka dni pojechał. Michała Wereszczakę znał Adam zapewne jeszcze ze szkół nowogrodzkich, ciekawy był też poznać tyle wielbioną Marylę i piękną okolicę tuhanowicką i dał się namówić przyjacielowi.

Powiat nowogrodzki, jak jest obfity w puszcze i lasy od strony północno wschodniej, tak ma znów malowniczą i urozmaiconą powierzchnię w stronie południowej, t. j. w tej, gdzie leżą Tuhanowicze. Domejko, który jako cioteczny brat Maryli znał dobrze jej rodzinę i miejscowość, w której mieszkała, taki nam daje obraz tych okolic

i tuhanowickiego dworu. „Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom, Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórza i zwolna podnoszące się i zniżające zasiewne pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzozowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie zielone łąki, wygony, sianożęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsie i zaścianki.... Od każdej wsi spuszczają się ku sianożęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowemi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościółek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogę. W tej też części nowogródzkiego powiatu często napotykasz przy gościńcach ślady dawnych kurhanów, szczątki szańców i przekopów darniną porosłe: nieme świadki starych, niespokojnych wieków.“

„W takich to pięknych okolicach leży dwór tuhanowiecki, szeroko zabudowany, z murowaną, górującą nad nim oficyną i kościołem. Ogromny sad lipowy i z owocowych drzew, mnóstwo zabudowań gospodarczych i

dla czeladzi, służących i oficyalistów, nadają temu dworowi charakter rezydencyi naszej zamożnej szlachty. O parę mil od dworu poczynają się rozkoszne knieje do polowania, dobrze strzeżone bory, a w jednym z nich przy drodze z Nowogródka do Płużyn, folwarku należącego do Tuhanowicz, jest jezioro Świteź, opasane odwiecznemi sosnami i jodłami, porosłe na brzegach ajerem i trzciną, a czyste jak zwierciadło w przestrzeni.“

Przez taką to okolicę jechali młodzi przyjaciele, zdążając do Tuhanowicz. Było to w sobotę. Już wieczór zapadał, kiedy zajechali przed ganek tuhanowickiego dworu. We dworze pusto, gospodarstwo wyszli na przechadzkę około zboża. Pan Tomasz tymczasem chciał pokazać nowemu gościowi dom i swój dawny pokoik, w którym mieszkał za pierwszą bytnością. Był to więc wtedy pokój gościnny, pokój męski. Tymczasem teraz wchodząc do tego pokoju, cóż zastają? „Na poręczach dwóch krzeseł, ustawionych w pośrodku, leżała deska do prasowania; na niej stos kołnierzyków i chusteczek damskich i prasująca się właśnie szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiała u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było

nikogo, bo właśnie prasująca dziewczyna poszła była po nową duszę do żelazka. Łatwo pojąć (tak mówi Odyniec), jakie wrażenie ten widok sprawić musiał na młodych poetach; i p. Tomasz, który mi to opowiadał, utrzymuje nie żartem, że Adam nim obaczył Marylę, którą wracającą z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jej sukience zakochał!“

Te słowa Odyńca, który pisząc je był młodzieńcem i niestrudzonym wielbicielem płci pięknej, wymagają komentarza. Łatwo się zgodzić, że świeża, biała sukienka i szeroka szarfa różowa przyjemnie rozjaśnić mogą pokój, ale trudniej na seryo przypuścić, aby ten widok sam przez się mógł nastroić jakiekolwiek serce do miłości, a szczególnie serce młodzieńca, co „dotąd gardził istotami powszedniej natury“ i „nie cierpiał rzeczy ziemskich nudnego obrotu“. Nie przeczę jednakże, że ten widok mógł wywrzeć niezwykłe wrażenie na Mickiewiczu, że go nader przyjemnie uderzył, ale dlaczego? Oto uwaga jego zwróconą już była w stronę tej, którą miał niebawem poznać, a o której tyle pięknych rzeczy słyszał od przyjaciela. Wyobraźnia jego pracowała już zapewne nad przystrojeniem jej po swojemu we wdzięki,

gdy wtem uderzył jego oczy jej strój rzeczywisty, powszedni, ziemski, a tak wdzięczny. Strój ten zdawał się przyświadczać słowom przyjaciela i budził większą chęć poznania niezwykłej ziemianki. Poznanie, jak wiemy, zaraz nastąpiło.

Jakąż w rzeczywistości była Maryla? Odyniec poznał ją wprawdzie dopiero w czasach ukazania się na świat *Dziadów*, kiedy już była zamężną, ale jej charakterystyka podana nam przez niego, tchnie taką prawdą i wiernością, tak doskonale zgadza się z idealnem jej wyobrażeniem w poezyi Adama, tak wybornie streszcza istotę jej ducha i obraz jej zewnętrznej postaci, że pozwoli nam ona odgadnąć, jaką była taż sama Maryla pięć lat przed ukazaniem się *Dziadów*, kiedy młody, nieśmiały i nieznany jeszcze poeta spotkał ją wracającą z pola i ozłoconą blaskiem zachodzącego słońca.

Czując wagę swego świadectwa, z pewną uroczystością przystępuje Odyniec do skreślenia tej charakterystyki i tak ją zaczyna: „Otóż ja, jako świadek naoczny, powiadam: że nie znałem drugiej osoby, coby się tak kwalifikowała, jak ona, na przedmiot poetycznego kochania, i to zwłaszcza ze strony poety-studenta i adepta promion-

kowej teoryi miłości. Nie mogła ona nazwać się piękną we właściwem tego słowa znaczeniu; ale miała ten wdzięk i powab, który stanowi istotę i główny urok piękności. Kibić kształtna, wzrost średni, twarz pogodna i miła, oczy niebieskie, spojrzenie wyraziste i czułe, uśmiech naiwny i figlarny zarazem — wierny obraz umysłowego i uczuciowego nastroju jej ducha. Oczytana, egzaltowana, marząca więcej niż myśląca, nigdy ona nie wyszła sama w sobie na jasno z tęczowej mgły swej wyobraźni; ale sama ta mgła właśnie sprawiała, że też i dla oczu patrzących nie wydała się nigdy zwyczajną, pospolitą istotą, i dość było spojrzeć przez pryzmat miłości, aby w niej dojrzeć nie ziemskie, Ossyanowsko - obłoczne zjawisko.“ *) Domejko, który również nie nazywa jej piękną „w znaczeniu, jakie do tego wyrazu pospolici ludzie przywiązują“, szczególny także upatrywał urok w jej wyrazie twarzy, a mianowicie w ustach i spojrzeniu, a chwaląc jej słodycz i prostotę w obejściu, przyznaje jej staranne, nowsze wychowanie, znajomość muzyki, języków, jako też literatury ojczystej, włoskiej i francuskiej.

*) Kronika Rodzinna 1881. Str. 456.

Ta mgła marzycielska, która otaczała duszę Maryli, a tak czarowała Adama, odpowiadając nastrojowi jego duszy, nie była sztucznym sentymentalizmem, w jaki się często drapują młode panienki świeżo po ukończeniu pensyi, a czasem i potem, ale powstawała z naturalnego jej usposobienia. Gdyby inaczej było, pogodny wzrok Zana prędkoby dostrzegł fałszu, a i na samego Adama czar niedługoby działał. Jednakże do rozmarzenia Maryli wiele przyczyniły się wchodzące wówczas w modę sentymentalne romanse, z Wertherem Goethego na czele i Waleryą pani Krudener, słabą i śmieszną nawet kopią pierwszego, ale w swoim czasie głośną i wielbioną. Że Maryla należała do wielbicielek tego ostatniego romansu, mamy na to wyraźną wskazówkę we fragmentach, które miały, jak się zdaje, wejść w skład pierwszej części *Dziadów*. Dziewczyną, występującą w jednym z tych fragmentów z książką pani Krudener w ręku, jest nie kto inny, tylko Maryla. Kreśli tam ona obraz swej duszy, który zupełnie odpowiada charakterystyce danej nam przez Odyńca. Jest to marzycielka, „zamieszkała wśród cieniów zmyślonego świata“, która „codzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń, wraca do samotno-

ści, do książek i marzeń", i wzdycha do duszy bliźniej, coby ją pojąć i godnie ukochać umiała.

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczy-
[źnie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie:
Każdy promień, głos każdy z podobnym spo-
[jony,
Harmonię ogłasza przez farby i tony;
Pyłek, błądzący śród istot ogromu,
Padnie w końcu na serce bliźniego atomu:
A tylko serce czułe, z dozgonną tęsknotą,
W rodzinie tworów jedno ma zostać sierotą? —
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym
[tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie:
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata.

Wprawdzie Mickiewicz podsuwa tu Maryli własną teoryą, własne marzenia, musiała być ona jednak zdolną tych marzeń, kiedy je wkłada w jej usta. Łatwo też odgadnąć, że i teorya promionkowa Zana nie pozostała bez wpływu na Marylę.

Otoczenie rodzinne Maryli nosiło na sobie piętno staroszlacheckiej sfery i wolne było od marzycielskiego nastroju. Rodzina Wereszczaków należała do starych litewsko-ruskich rodów i zajmowała poważne stano-

wisko w powiecie: ojciec Maryli był marszałkiem, stryj, który miał aż jedenastu synów, podkomorzym nowogrodzkim. Stary marszałek Wereszczaka, który już wówczas nie żył, wodził niegdyś rej na sejmikach i zjazdach, prowadził dom otwarty dla braci szlachty, i umierając, zostawił żonie i dzieciom nadszarpniętą fortunę. Po jego śmierci aż do pełnoletności synów, Michała i Józefa, rządziła majątkiem matka Maryli. Była to kobieta łagodna, bogobojna, dobroczynna, ale zbyt lubiąca towarzystwo, aby się mogła zdobyć na zaprowadzenie oszczędności, jakich wymagało majątkowe położenie rodziny. To też, jak świadczy jej siostrzeniec, „pani Wereszczakowa i jej synowie utrzymywali dwór na dawnej stopie: gości huk, służba wystawna, marszałek dworu, lokaje, stangrety, strzelcy, dojeżdżacze, kosztowne konie; a lada okazya, sejmik, imieniny, fest w kościółku czy w sąsiedniej parafii — to zaprosiny, zjazdy, kielich długi prapradziadów i kochajmy się!“

Starszy z dwóch braci, pan Michał, był, jak się zdaje, trochę dziwakiem. Nie mięszał się do sejmików, nie zajmował się gospodarstwem, ale kochał się w staroświeckich zbrojach, które miał zawieszone na

ścianach w zajmowanej przez się oficynie i w swoich tureckich ogierach, którym z rozkoszą przypatrywał się, gdy je oprowadzano po dziedzińcu, ale których nigdy nie używał do jazdy. Znał herbarze na pamięć, lubił rozmawiać o starożytnych rodzinach polskich, ale to mu nie przeszkadzało zajść do chaty lub przysiąść się na wóz wieśniaka, i z całem zadowoleniem rozmawiać z nim o przedmiotach, dostępnych jego pojęciu. Była w nim mięszanina dumy rodowej i demokratycznego instynktu i ten ostatni zapewne był łącznikiem pomiędzy nim a Zanem.

Młodszy brat, pan Józef, nie odznaczał się jakimiś oryginalnymi gustami i oryginalnem usposobieniem. Zajmował się gospodarstwem, bawił się myśliwstwem, jeździł na sejmiki i utrzymywał stosunki z bracią szlachtą, która go potem na urząd marszałka wyniosła. Miał jednak przy tem wszystkiem zamiłowanie w literaturze ojczystej i francuskiej; szukał też „pięknych towarzystw i dobrego tonu.“

Maryla w chwili poznania Mickiewicza była już zaręczoną, i sądzę, że okoliczność ta, która później stosunek Adama do Maryli uczyniła tak podobnym do stosunku pomiędzy Werterem a Lottą, że okoliczność ta od

pierwszej chwili poznania nie mało dodawała uroku Maryli w oczach poety. Czyniła ją ona dla niego jeszcze bardziej niedosiężną i wywyższała niejako piedestal, na którym ją los postawił, „wynosząc między jasne rody“.

Narzeczonym Maryli był Wawrzyniec Puttkamer. O życiu jego, stosunkach rodzinnych, nawet o charakterze mamy dokładne wiadomości, dzięki biografii napisanej przez syna a także wspomnieniom Odyńca i Balińskiego. Wawrzyniec był członkiem zamożnej rodziny wyznania ewangelickiego, która pochodziła z Pomorza. Ojciec jego był szambelanem, a dziad generałem wojsk polskich. Ten ostatni po śmierci matki Wawrzyńca zajmował się przy pomocy starej niańki Gryndzowej wychowaniem swego wnuka. W r. 1810 szesnastoletni Wawrzyniec (urodził się 1794) ukończywszy szkoły w Słucku pojechał na uniwersytet wileński, a w r. 1812 mając już stopień kandydata filozofii, zaciągnął się pod chorągwie Napoleona, naprzód do pułku gwardyi Konopki, który się składał z kwiatu litewskiej młodzieży, potem do lekkiej jazdy cesarskiej pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. Z tym pułkiem odbył całą kampanię 1812 r. i nieszczęśliwą rejteradę. W powrocie z pod Moskwy zajechał do domu i tu

zapadł na jakąś ciężką gorączkę, choroba ta jednak nie zdołała go nadługo zatrzymać w dali od grzmotu dział, co się przeniosłszy ze wschodu Europy zaczynał rozlegać na zachodzie. Zaraz po wyzdrowieniu puścił się do księstwa warszawskiego „za bledniejącą gwiazdą Napoleona“ i z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przeprawił się wśród patroli kozackich przez Niemen. Było to w zimie; panowały straszliwe mrozy. Młodemu jeźdzcowi ręce i nogi krzepły tak, że musiał zsiąść z konia i biegł koło niego. Ale długo tak trwać nie mogło; już czuł, że siły słabną, i że śmierć mroźna zagląda mu w oczy. Szczęściem przejeżdżający tą drogą w wygodnej budzie inspektor jazdy cesarskiej, ulitował się nad młodym wojakiem i wziął go z sobą do Warszawy, gdzie Wawrzyniec połączył się z swoim pułkiem. Z nim odbył kampanię 1813 r. i był w bitwach pod Bautzen, Lützen i pod Lipskiem. Nad Renem wzięty do niewoli przez Prusaków, zostawał w niej aż do upadku Napoleona, a gdy pułki polskie miały wejść w skład wojska nowego królestwa kongresowego, Wawrzyniec uzyskawszy amnestyą prosił o dymisyą i otrzymał ją ze stopniem porucznika. Powróciwszy do rodziny, osiadł we wsi Unichowie, którą mu ojciec

wydzielił, a która leżała w sąsiedztwie Tuhanowicz.

Wysoki, krzepki, dorodny młodzieniec, który złożył dowody wytrwałości i męstwa, wiele widział i wiele przeszedł i umiał to przyjemnie opowiadać; który posiadał dziwnie spokojny charakter i słodki humor i którego serce i wyobraźnia łatwo się otwierały dla wszystkiego co piękne i szlachetne, młodzieniec przytem majętny i z domu, który gdyby chciał, mógłby mitry hrabiowskiej używać — młodzieniec taki mógł się łatwo podobać pannom. Nic też dziwnego, że się podobał Maryli, w której domu, jako sąsiad bywał. Ale czy był ową duszą bliźnią do której dziewczyna z *Dziadów* wzdycha? Nie, marzycielem Puttkamer nie był, choć miał serce gorące; był to umysł praktyczny, jasny, spokojny. Kochał jednakże Marylę szczerze, jak kwiatek wonny, świecący rosą uczuć i marzeń, i umiał się z tym kwiatkiem tak delikatnie obchodzić, że rosy tej z niego nie strząsał i niczem sobie ani narzeczonej, ani żony potem nie zrażał.

Jakimże się Mickiewicz wydał Maryli przy jej narzeczonym? Młodzik jeszcze, o rok ledwie starszy od niej, o cztery lata młodszy od pana Lorenca (tak nazywała Maryla Putt-

kamera), nie tak pokaźnej jak tamten postawy, który mało widział na świecie, mało znał świata i nie doznał silniejszych wrażeń w życiu, ubogi, nieśmiały, nie mógł niczem olśniewać w pierwszej chwili. Ale od Zana dowiedziała się zapewne niebawem Maryla, że jego przyjaciel większym jest od niego poetą, najwięcej obiecującym ze wszystkich młodych kapłanów Apollina, a może nawet czytała już drukowaną w *Tygodniku Wileńskim* „*Zimę miejską*“.*) Była to dla Maryli, jak łatwo zrozumiemy znając jej charakter, rekomendacya wielkiego znaczenia. Przytem zachowanie się młodego poety, w którem się skromność łączyła z godnością, tem lepiej usposabiało dla niego, a kiedy uważniej spojrzała Maryla w ciemne, marzące oczy Adama, odkryła w nich, przeczuła raczej, głębie uczucia i fantazyi, które się w nich taiły, a które wraz z nazwiskiem poety otoczyły w jej oczach młodzieńca niezwykłym uro-

*) Uroczyste otwarcie uniwersytetu miało miejsce zwyczajnie 15 września: „Zima miejska“ zaś wydrukowaną była w numerze Tygodnika, noszącym datę 31 sierpnia. Jeżeli tedy młodzi przyjaciele gościli w Tuhanowiczach przy samym końcu wakacyi, to Mickiewicz był już wtedy poetą drukowanym.

kiem. Adam wydał się jej bez wątpienia o wiele poetyczniejszym od pana Lorenca, daleko zdolniejszym do odegrania roli Gustawa z romansu pani Krüdener, to jest do tego, aby umrzeć z miłości dla kochanki. Nie daremnie dziewczyna z *Dziadów* zazdrości bohaterce pani Krüdener:

Waleryo! Ty przecie z pomiędzy ziemianek
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy.

Na podstawie tego, co już wiemy o dworze Wereszczaków, a także na podstawie skazówek rozrzuconych czy to w poezyi Adama, czy po różnych listach i wspomnieniach, możnaby w części przynajmniej odtworzyć życie naszych przyjaciół w tym domu, ich zabawy i rozrywki. Ponieważ panna była wykształconą i oczytaną, a młodzi przyjaciele byli studentami i poetami, musiała tu więc, przynajmniej w ich szczuplejszem gronie, kwitnąć rozmowa o poezyi, o literaturze, o sztuce, przygłuszana gwarnem życiem nawpół szlacheckiego, nawpół pańskiego dworu.

Być może także, że tu się kształciła teorya promionkowa Zana. Odbywano przechadzki w pole, używano przejażdżki konnej,

(wiemy przynajmniej, że Maryla będąc zamężną, lubiła jazdę konną) robiono myśliwskie wyprawy, z których Adam nie wracał zapewne tryumfatorem (błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy itd.). W domu, prócz innych rozrywek, grywano w warcaby. Byłaż to ulubiona gra Maryli? Nie wiem, to pewna, że nieraz grywał z nią w tę grę Mickiewicz a wrażenia swoje, jakich przy tej grze doznawał, w tych oto wierszach wypowiedział:

O ty! dla której tajne me zapały,
Której imię pomyśleć staję się za śmiały:
Tobie spokojność moją gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby! —
Nie dziw, żem toczył zawsze mniej szczęśliwe [boje:
Tyś patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje;
I wiecznie chcąc je widzieć i tracąc na wieki,
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem [w oku
Alem się nadaremnym nie zdradził zapałem;
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem;
Bo los wynosząc ciebie między między jasne [rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody!

Najbardziej jednak Maryla musiała czarować Adama przy fortepianie. Wiadomo po-

wszechnie, jakim miłośnikiem muzyki był Adam, i że ją wyżej stawiał od poezyi i innych sztuk pięknych, Maryla zaś zapewne grała i śpiewała nieźle i głos miała przyjemny, skoro Gustaw woła w *Dziadach* w uniesieniu:

Gdyby przytem jej głosek i dźwięk fortepianu!

Wolno się domyślać, że marzycielskie usposobienie Maryli najpiękniej wyrażało się w śpiewie i w muzyce, zdolnej właśnie odwzorować najmniej jasne uczucia, najbardziej mgliste marzenia. Dlatego to przedewszystkiem musiał być tak czarującym dla Adama śpiew Maryli.

Jak się rozwijała i jak rosła miłość Adama dla Maryli? Do pełnego przedstawienia rozwoju tego uczucia, brak mi dostatecznych wskazówek. To pewna, że nie od razu rozpaliła ona jego serce do tego żaru, jaki płonie w *Dziadach*, nie od razu „umarł w nim Godfred i Jan Trzeci“, nie od razu „przestał go budzić ze snu tryumf Milcyada“, nie od razu stała się Maryla „wszystkich spraw jego, chęci, myśli panią“, jakby to można było wnioskować z *Dziadów*. Rad jestem, że znajduję tu sposobność powiedzieć, iż nie można brać tego poematu we wszy-

stkich szczegółach za pamiętnik miłości poety. Prawdziwemi, rzeczywistemi są uczucia, które się wulkanicznie przelały w ten poemat, ale w ich rozmiarach, kolei, czasie, dekoracyi, w tysiącznych szczegółach ich przedstawienia, prawda i poetyczne zmyślenie tak ściśle są z sobą skojarzone, że chcąc korzystać z jakiejś biograficznej wskazówki, zawartej w tym pamiętniku uczuć poety, potrzeba się koniecznie przekonać przedtem, o jej zgodności z innemi świadectwami. Tak n. p. możnaby wnioskować z *Dziadów*, że Mickiewicz poznał Marylę, będąc jeszcze uczniem szkół nowogródzkich (Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci; Tam gdy ją przy chorągwi proroka ujrzałem itd.) a tymczasem, jak już wiemy, poznanie to nastąpiło dopiero w czasach wileńskich Mickiewicza.

Że obraz Maryli nie od razu pochłonął wszystkie uczucia, myśli i chęci Adama, najlepszym dowodem tego jest filarecka jego poezya, o której niebawem będzie mowa. W każdym razie z poznaniem Maryli znalazł na-z poeta nowy a wdzięczny przedmiot dla swej muzy, albo raczej znalazł model żywy, podług którego mógł wcielać i kształto-

wać rozmaite ideały poetyczne, jakie się w fantazyi jego niejasno jeszcze rysowały.

Jeżeli Karylla jest utworem Mickiewicza, to w niej poraz pierwszy służyła Maryla za taki model poecie. Mówiłem już o tej powiastce, o jej wartości estetycznej, o tem, jak słabe zawiera w sobie wskazówki autorstwa Mickiewicza: tu miejsce wymienić te wskazówki. Karylla podobnie jak Wereszczakówna jest majętną, jej kochanek Sario ubogi, jak Adam. Jak ręka Maryli nie była wolną, gdy ją poznał Mickiewicz, tak i ręka Karylli była przez braci przyrzeczoną niejakiemu Kledowi. Oto i wszystko. Co się tyczy niechęci i tajonej złości, jaką bracia Karylli żywią dla Saria, co w tej powiastce jest główną sprężyną intrygi, to z tego, co wiemy o rodzinnem otoczeniu Maryli, trudno wnioskować, o ile coś analogicznego mogło zachodzić w Tuhanowiczach. Domejko powiada, że Adam był powszechnie kochany przez całą rodzinę Wereszczaków, szczególnie lubiła go pani Marszałkowa i pan Michał, ale Domejko nigdy nie widział Adama w Tuhanowiczach, bo wówczas właśnie, zostając na opiece u stryja, był od tych stron oddalony. Że byli tam — zapewne później, kiedy się miłość poety wyraźnie objawiła —

niechętni dla niego i że między nimi musieli być bardzo bliscy Maryli, świadczy o tem kilka strof z Upiora:

Ktoś inny myślał, że — obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitej dumie —
Przecież ulegał grzeczności potrzebie,
Udawał, że nie rozumie

Lecz i jam dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem,
Mówiłem gwałtem — a gdy odpowiadał,
Udałem, że nierozumiem.

Ale kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętne lica gwałci do uśmiechu,
I litość kłamie oczyma.

Takiemu tylko nigdym nie przebaczył! —
Wszakże skargami nigdym ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał.

W każdym razie w pierwszych dwóch latach po poznaniu się poety z Marylą, miłość jego bujała na skrzydłach jakiejś nieokreślonej nadziei. Przedział wprawdzie pomiędzy ubogim studentem a dziedziczką Tuhanowicz był wielki, niechęci i przeszkód do zwalczenia wiele, ale młody poeta mógł się pocieszać nadzieją, że silna miłość wzaje-

mna największe trudności zdoła pokonać i obalić. A w Maryli widział Mickiewicz ową duszę bliźnią przez Boga umyślnie dlań stworzoną, połowę jabłka rajskiego, odciętą przed wiekami i szukającą swej drugiej połowy.

Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkiem, to samo nie-
[chcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach pło-
[mienie.

Prawda, nie składała Maryla przysiąg, nie robiła obietnic, nie wabiła uśmiechem, nawet dwuznacznem słówkiem nie dawała mu nadziei

Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież jej przysięgi, jakie obietnice?

Ale czyż potrzeba słów, uśmiechów przysiąg i obietnic, ażeby zrozumieć duszę bliźnią? Wszak najpiękniej, podług teoryi Zana, najwymowniej, najbezpośredniej przemawia dusza promieniami świecącymi w oczach a sięgającymi wprost do serca drugiej istoty!

Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy:
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.

Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy źwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I na powrót błyszczy w oku.

Ta wzajemność Maryli o której poeta roił, byłaż złudzeniem czy rzeczywistością? Była potroszę i tem i owem. Że go nie kochała tak, jak pragnął, jak marzył, dowiodła tego oddając rękę komu innemu, ale to pewna, że uczuć jego nie przyjmowała obojętnie, że i owszem wywołały one w jej sercu żywe echo. Poświadczają to Odyniec i Domejko, ale i bez tych świadectw trudnoby przypuścić, aby poeta mógł tak daleko zajść w miłości, nie znajdując ku temu żadnej zachęty ze strony ukochanej. Była więc wzajemność, może miarkowana, powściągana, wyrażająca się więcej we wzroku, w uścisku ręki, niż w słowach, ale była, a tego dość było dla poety, aby się dać kołysać z dnia na dzień słodkim choć nieokreślonym i niepewnym nadziejom i aby zachować zapał dla wysokich celów ogólnych, a także lekkość i swobodę humoru, jakie się w niejednym utworze jego z tej doby objawiają.

III.

Zwrot ku romantyzmowi. Wpływ dzieła pani de Stael: „O Niemczech“. Rozprawa Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“. Odpowiedź Śniadeckiego. „Uwagi nad poezyą i wymową“ Borowskiego. Samodzielność Zana. Pobudka do pisania ballad.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dzięki Filomatom zaczęło się w Wilnie rozwijać życie koleżeńskie i ciepłem swojem ogrzewać duszę Adama, i kiedy w sercu jego zaczęła się budzić, w pączku niejako jeszcze zawarta miłość dla Maryli — mniej więcej w tym samym czasie zaszła zmiana w jego pojęciach estetycznych. Ukazały się przed nim nowe wzory poezyi i pociągnęły go w nowy świat obrazów uczuć i pojęć, obcy dotąd poezyi polskiej — w świat romantyczny.

W dotychczasowej poezyi polskiej uczucie i fantazya nie objawiały się samoistnie. Serce ludzkie nie spowiadało się swoim wła-

snym językiem ze swoich cierpień, pragnień i zachwytów, jakiekolwiek one były, ale szukało dla ich wyrażenia utartych form retorycznych, które jedynie godnemi poezyi się wydawały. Tam gdzie wyjątkowo szczerze się wypowiadało, nie dosięgało nigdy wyższego stopnia siły: fala uczuć Kochanowskiego nie wspięła się nigdy wyżej nad łagodny smutek lub spokojną wdzięczność dla Stwórcy. Fantazya nie tworzyła nic samoistnie, ale obracała się wciąż w zamkniętem kole greckich mytów, pożyczając stamtąd gotowych, po tysiąc razy powtórzonych obrazów i porównań. Tylko te rodzaje poezyi, których rozsądek jest duszą, mianowicie bajki i satyry, nosiły piętno pewnej oryginalności.

Nowe wzory przybyły z Niemiec. Już od siedmdziesięciu lat, od czasów wystąpienia Klopstocka i Lessinga, którzy zrzucili jarzmo francuskiego pseudoklasycyzmu, przygniatające narodowego ducha niemieckiego, rozwijała się obok nas, miedzą tylko oddzielona, bogata i oryginalna literatura. Fantazya i uczucie, które w naszej poezyi i służącej nam za wzór wówczas francuskiej, skrępowane były niewolniczością form, tam używając pełnej swobody, stworzyły cały szereg utworów pełnych mocy, świeżości i oryginal-

ności. Podczas gdy u nas myśl nie wybiegała nigdy wyżej nad sferę zdrowego rozsądku, tam przebiegała śmiało i samodzielnie wszystkie zagadki życia ludzkiego i wszechświata, a jakkolwiek w bujaniu swojem gubiła się czasem w obłokach, nadawała poezyi niemieckiej nieznaną nam dotąd głębokość.

A przecież ta świetna literatura, tak bliska nam geograficznie, przez tyle dziesiątków lat nie wywierała na naszę żadnego wpływu. Nie tylko nie korzystaliśmy z niej, ale nie wiedzieliśmy nawet o jej istnieniu. Przyczyny tego dobrze znane i łatwe do zrozumienia. Kiedy się w Niemczech rozpoczynał zwrot ku narodowej poezyi, my byliśmy pogrążeni jeszcze w obskurantyzmie i lenistwie umysłowem czasów saskich i poziom nasz umysłowy tak był niski, że z niego dojrzeć nawet nie mogliśmy tej wysokości, na której stał Lessing, cóż dopiero głos jego dosłyszeć i zrozumieć. Był to, rzecby można, za mądry dla nas nauczyciel, przeciwnie od tych, przeciw którym on kazał, mogliśmy się łatwiej nauczyć tego, czego przedewszystkiem nam brakło: porządku w myślach, czystości w języku, jasności w poglądach. To też mniej więcej około tego czasu, kiedy w Niemczech rozpoczął się zwrot przeciw

francuzczyźnie, my poszliśmy na naukę do Francuzów, a ponieważ tyle węzłów łączyło nas z Francyą, więc wpływ francuski utrwalił się na długo i przeżył nawet upadek Napoleona. Że zaś Francuzi w uwielbieniu własnej literatury, nie chcieli nic wiedzieć o niemieckiej i pogardliwie ją traktowali, więc i my prawie nic o niej nie wiedzieliśmy i nie dopytywaliśmy się o nią.

Potrzeba było dopiero francuskiej rekomendacyi, abyśmy zwrócili uwagę na bogactwo sąsiedniej literatury. Tą rekomendacyą była książka pani de Stael „O Niemczech.“ Napisana jasno, przystępnie, zajmująco, wybornie wtajemniczała ona w kierunek ducha niemieckiego, składała cześć głośną jego zaletom, odkrywała skarby literatury niemieckiej, a jakkolwiek przeznaczona głównie dla Francuzów, stała się i dla nas, ich satellitów w literaturze, nadzwyczaj ważnym drogoskazem. Ukazała się ona w r. 1813, a już w trzy lata potem zjawia się rozprawa polska, napisana przez Jana Samuela Kaulfussa, rektora liceum poznańskiego a członka warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, której sam tytuł określa już kierunek: „Dla czego język i literatura niemiecka zdolniejszemi są do ukształcenia ro-

zumu i serca, niż język i literatura francuska?“ Począwszy od tegoż roku (1816), Pamiętnik warszawski zaczyna drukować przekłady ballad i innych poezyi Schillera (Nurek, Kassandra, Godność niewiast, Marzenia, Duma o dzwonie, wcale dobry w porównaniu z późniejszymi przekład J. Mieroszewskiego, Podział ziemi), wreszcie w roku 1818 ukazuje się w tym Pamiętniku rozprawa Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“ i niejako zagaja długi spór klasyków polskich z romantykami

Tym sposobem podniosła się zasłona, która zakrywała przed oczyma naszemi nowożytną literaturę niemiecką, tak obszerną i bogatą. Widok odsłonił się ogromny i zupełnie nowy, i dla tego trudno nam było od razu rozpatrzeć się w nim, rozpoznać jego szczegóły, zauważyć zachodzące pomiędzy częściami jego różnice. To, co Niemcy wytwarzali u siebie kolejno w przeciągu wielu dziesiątków lat, doszło nas w jednym czasie. Była to właśnie chwila największego wybujania romantyzmu w poezyi niemieckiej, i to dało pochop zwolennikom dawnego kierunku poezyi, że zasłyszawszy coś o tej wybujałości, a nie znając literatury niemieckiej, lub znając ją ledwie z brzegu, całą nowo-

czesną poezyą Niemców piętnowali jako jednakowo wybujałą, jednakowo romantyczną.

Jeżeli starsi byli przerażeni nowym widokiem, w którym nie mieli ochoty rozpatrzeć się, dla młodszych, których pojęcia nie skrzepły i nie zesztywniały jeszcze w formach francuskiego klasycyzmu, których serca pełne były zapału i dla których każda nowość była ponętną — widok ten miał nieprzeparty urok. Zamiast nużącej monotonii klasycznej, znaleźli oni tutaj rozkoszną rozmaitość, zamiast niewolniczości form — swobodę fantazyi, zamiast nadętej retoryczności i ckliwej sielankowej czułości — szczery i gorący wylew uczucia.

Takim się romantyzm wydał i Mickiewiczowi. Jednakże i w młodych, i w Mickiewiczu, który już występował jako poeta klasyczny, to przeobrażenie pojęć nie mogło nastąpić w jednej chwili, już choćby dla tego, że ów widok ponętny, o którym mówiłem nie mógł się odsłonić od razu. Rozmaite wpływy przygotowały w nim to przeobrażenie.

Czy książkę pani de Stael, która napełniała wówczas swoją sławą Europę, czytał Mickiewicz, będąc jeszcze studentem? nie wiemy; prawdopodobnie jednak była mu

wcześnie znaną przynajmniej z wyjątków umieszczanych w pismach wileńskich. Drobne te wyjątki, luźnie rzucone, może nie wywarły nań wielkiego wpływu, ale nie mogła nie wywołać w nim silnego wrażenia rozprawa Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności.“ Trudno przypuścić, aby młody poeta, którego ta rozprawa tak żywo powinna była obchodzić, nie czytał jej prędko po jej ukazaniu się i aby kwestye w niej roztrząsane nie zmusiły go do zastanawiania się nad niemi.

Zadaniem tej rozprawy było rozwiązać pytanie, jaką drogę ma obrać współczesna poezya polska w obec nowych wzorów, jakie się przed nią ukazały: czy trzymać się dawnego toru klasycznego, czy puścić się nowym szlakiem romantycznym. Określiwszy znaczenie klasyczności i romantyczności (tę ostatnią brał w najszerszem znaczeniu, jakie kiedykolwiek jej nadawano) i przedstawiwszy je w dziejowym rozwoju, wykazywał korzyści i niebezpieczeństwa każdej z tych dwóch dróg i nie zalecał żadnej z nich wyłącznie, ale radził obrać drogę pośrednią. „Nie bądźmy, jak Francuzi, pisał, niewolnikami przepisów, ażeby się coś naturze zostało; nie bądźmy jak Niemcy, zuchwałymi ich przestępcami, ażeby

naturze służyły sztuka i prawa rozsądku Poezya powinna być, jak kamień drogi, który mając wartość swoją wewnętrzną, przez polor i sztukę nabiera jej jeszcze i dla oka powabniejszym się staje. Wewnętrzne poezyi zalety, uczucia i wyobraźni, osobliwie zaś dążenia filozoficznego, widzimy w Niemcach; zewnętrzne, gustu i poloru mamy we Francuzach: powinnibyśmy obiedwie połączyć". Ale łącząc zalety poezyi obcych narodów, poezya nasza nie ma być echem cudzoziemskiej, ale powinna być narodową, powinna snuć nić swoją z dziejów i wspomnień narodu. „Cudowne losy naszej krainy są wielkiem polem dla poezyi. Romantycznością naszą są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkiwali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają; stolica, gdzie teraz na oddzielonej ziemi śpi tylu naszych rycerzy; mogiły przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy."

Nie występował tedy Brodziński w tej rozprawie wyraźnie, jako apostoł romantyzmu, ostrzegał przed wyuzdaniem wyobraźni, do którego doprowadził romantyzm w Niemczech, długo rozwodził się nad tem, czego

z romantyzmu brać nie powinniśmy, a przecież przez samo zestawienie dwóch kierunków: klasycznego francuskiego i romantycznego niemieckiego i wykazanie ich stron ujemnych i dodatnich zachwiewał mocno świątynią panującego smaku. Bo jeżeli francuska poezya miała tylko zalety zewnętrzne, a romantyczna niemiecka wewnętrzne, to jużci okazywało się z tego zestawienia, że Polacy daleko ważniejsze rzeczy mają do wzięcia z romantycznego kierunku, niż do zachowania z klasycznego. Wypowiada ten wniosek częściowo sam Brodziński, mianowicie tam, gdzie mówi o pieśniach ludu, jako o podstawie poezyi romantycznej i wogóle każdej prawdziwej. „Jeżeli jest powinnością poety w oświeconym wieku szanować gust powszechny, jeżeli pamiętać będzie, że przepisy sztuki nie są wymysłem, ale że je rozsądek z natury wyczerpał, że te równie przeto jak natura każdemu za wskazówkę służyć powinny; świętszym nierównie jest jego obowiązkiem, czerpać z pieśni ludu, jako z natury, charakter i obyczaje narodu“. Stamtąd czerpali Homer, Tasso i Szekspir i „niezawodną jest rzeczą, że pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezyi i że sztuka robiąca z nich całość, uwiecznia zarazem i charakter

narodu i jego oświecenie.... Na pieśniach ludu ugruntowała się poezya Greków, Anglików, do nich wrócili Niemcy". A jeżeli niektórzy z tych ostatnich niesmacznie i przesadnie podrzeźniają zabobonom ludu, to Goethe, Schiller i Bürger dali przykład, jak można szczęśliwie z ludowych podań i pieśni korzystać.

Rozprawa Brodzińskiego tem większe mogła obudzać w Wilnie zajęcie, że tu właśnie wywołała odpowiedź, której autorem, jak wiadomo, był Jan Sniadecki. Uczony ten, kierowany zresztą szlachetnemi pobudkami uchronienia młodzieży od niebezpieczeństwa, jakie podług niego groziło jej w odstępstwie od dawnych wzorów, zabrał się tu do sądzenia o rzeczach, których nie znał i na których się nie znał. Umysł logicznie tylko wykształcony cenił w poezyi jasność, gładkość, rozsądek, a dla ocenienia tego, co stanowi właściwą istotę poezyi, dla ocenienia siły uczucia i bogactwa fantazyi nie miał wcale zmysłu. To też w czambuł potępiał całą nową poezyą niemiecką, jako romantyczną, a romantycznem w jego pojęciu było wszystko to, co wykraczało przeciw prawidłom, „które dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych

narodów przepisał Horacy". Bez wątpienia ze stanowiska rozsądku można było wiele słusznych zarzutów zrobić temu kierunkowi romantycznemu, jaki zapanował w Niemczech na początku 19 wieku, ale Sniadecki stosował swoje zarzuty nie tylko do tego kierunku, ale do wszystkiego, cokolwiek się w nowożytnej poezyi różniło od pseudo-klasycyzmu francuskiego, i tak n. p. dramata Szekspira, któremu zresztą przyznawał geniusz, nazywał „rodzajem złym, i zamiarom sceny przeciwnym", bo „gdzie jedno czucie osłabia i zaciera drugie, żadne wrażenie ostać się długo nie może: i zdaje się, że autor, co jedną ręką napisał, to drugą maże". Najmocniej występował przeciw czarom i duchom, których niezaprzeczenie do zbytku i do znudzenia wprowadzała ówczesna niemiecka, a potem za nią i nasza polska poezya, ale zarzuty swoje uzasadniał w sposób, dowodzący wielkiej płytkości w pojmowaniu poezyi. „Wprowadzają dziś na scenę schadzki czarownic, ich gusła i wieszczby, duchów chodzących i upiorów, rozmowy diabłów i aniołów i t. d. Cóż tu w tem nowego i dowcipnego? wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach i mówią o nich ze śmiechem pogardy. Te niedołężności i brednie

przywołane z wieków grubiaństwa, łatwowierności i zabobonu, mogąż bawić i uczyć w ośmnastym i dziewiętnastym wieku, nie tylko ludzi dobrze wychowanych, ale nawet nieokrzesane pospólstwo?“ W końcu uderzywszy przy okazyi na metafizykę niemiecką i mesmeryzm, który nie bez pewnej racyi kojarzył z romantyzmem, wzywał rodaków, aby trzymali się rozsądku, słuchali nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia, a uciekali od romantyczności „jako od szkoły zdrady i zarazy“.

Odpowiedź Śniadeckiego, niefortunna o ile była oceną poezyi romantycznej, wybornym zresztą stylem napisana, znalazła surową odprawę w *Pamiętniku Warszawskim* (sierpień 1819). Bezimienny jej autor, wyznając się zwolennikiem pośredniej drogi, wskazanej przez Brodzińskiego, gorąco bronił romantyzmu, godząc w uczonego astronoma argumentami, z jego własnej dziedziny czerpanemi. „Szukanie nowych dróg w naukach, sądzi autor być rzeczą dla nich szkodliwą. Godziłoż się z tak zuchwałym paradoksem wyjechać! Tyle innych zbijających ją dowodów ominąwszy, powiem tylko: że po dziś dzień jeszcze w naszem rozumieniu około

ziemi obracałoby się słońce i inne ciała niebieskie, gdyby nie był szukał Kopernik nowej w astronomii drogi". Wykazywał dalej ów bezimienny, że Sniadecki wydając wyrok potępiający literaturę romantyczną, nie znał jej wcale, i dowodził, jak mylnem jest zdanie tych, którzy twierdzą, że jedno tylko nietrzymanie się prawideł stanowi różnicę romantyczności od klasyczności. Niektóre uwagi tej odprawy, jak n. p. ta, że „chcieć wyśmiewać romantyczność jest to chcieć wyśmiewać charakter narodowy" przeszły do rozprawy Mickiewicza „O romantyczności", drukowanej na wstępie do pierwszego wydania jego poezyi.

Łatwo sobie wyobrazić, jak ta polemika musiała zajmować Mickiewicza i grono jego najbliższych przyjaciół, i jak wiele wpłynęła na zmianę ich pojęć. Oprócz tego dalszego wpływu, były inne bliższe. Czy znajomość niektórych arcydzieł Szekspira — które Mickiewicz miał sposobność poznać już w pierwszych latach studenckich na scenie wileńskiej — a które, jak wiemy, były okropnie przerobione i tłómaczone a licho przedstawiane, — czy ta znajomość wzięła jakikolwiek udział w przygotowaniu poety do zmiany kierunku w poezyi? nie śmiem w tym

względzie nic przypuszczać. Zaznaczam tylko, że brytanomania, podług własnego świadectwa poety, nastąpiła w nim dopiero po germanomanii, to jest we dwa, trzy lata potem i że dopiero wtedy cisnął się on „z dykcyonarzem w ręku przez Szekspira, jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki.“ Za to wydaje mi się uzasadnionem przypuszczenie, że już wykłady Borowskiego powoli, nieznacznie przygotowywały młodego poetę do zmiany wyobrażeń. Wprawdzie w rozmowach swoich z Odyńcem, w podróży do Włoch, powiedział Mickiewicz, że Borowskiemu zawdzięcza przedewszystkiem wyrobienie formy i języka, „bo co do treści i kierunku, on mu nowej drogi nie wskazał“, ale słów tych nie można brać za zupełne wykluczenie wszelkiego wpływu Borowskiego na zmianę pojęć w naszym poecie. Bez wątpienia za mało miał Borowski fantazyi, inicyatywy i pewności siebie, aby mógł śmiało, i wyraźnie jakiś nowy kierunek ukazać swoim uczniom i pociągnąć ich w tym kierunku, ale zato obdarzony był szlachetnym smakiem artystycznym, umiał godnie ocenić piękność w każdej poezyi, w jakiejkolwiek szacie stawała ona przed nim i otwierał na nią oczy swoich słuchaczy. Umiał się też

poznać na bezduszności i konwencyonalności poezyi francuskiej, która kierowała smakiem ówczesnym i dostarczała wzorów naszym rymotwórcom i zapewne nie taił tego przed swymi uczniami.

Wspominałem już w pierwszej części tego studyum o rozprawie Borowskiego p. t. „Uwagi nad poezyą i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy.“ Rozprawę tę, napisaną w celu otrzymania profesorskiego stopnia (do 1821 roku Borowski zajmował katedrę poezyi i wymowy jako adjunkt) drukował autor dopiero w 1820 roku, to jest kiedy Mickiewicz przestał już być jego słuchaczem, ale poglądy w niej wyrażone nie mogły się jednego dnia urodzić w autorze i musiały przeświecać w wykładach jego przynajmniej w ostatnich paru latach przed wydrukowaniem rozprawy. Złożywszy należny hołd Grekom i Rzymianom i powiedziawszy, że stali się oni dla nas na zawsze nauczycielami poezyi i wymowy, ośmiela się Borowski w dalszym ciągu dodać, że „jeżeli nowoczesny talent nie dochodzi w osobnych dziełach greckiej prawdy, przyrodzenia, lekkości, klasycznego dokonania i czystej piękności, nie można mu wszakże zaprzeczyć wyższego stopnia filozofii, głębszej

znajomości serca ludzkiego, szlachetniejszych poruszeń i całej rozmaitości przedmiotów, któremi się myśl człowieka przez ciąg tylu wieków w żywszym lub opieszalszym postępie nieprzerwanie wzbogacała.“ Mówiąc o poezyi francuskiej wyraźnie powiada, że klasyczna szkoła smaku, która z powagą prawodawców opisała wyrazy szlachetne, nieszlachetne i gminne, podciągnęła pod nieodmienne przepisy tok mowy, nic nie zostawiła talentowi pisarza, jego woli i śmiałości, nader szkodliwy wpływ wywarła na poezyą. „Zbyt geometryczny porządek myśli i wyobrażeń uwięził swobodne skrzydła imaginacyi, ograniczył bystrość natchnienia i zniósł panowanie myśli nad mową.“. Boileau, główny prawodawca smaku „bez imaginacyi i śmiałości talentu, która dodaje śmiałości myślom, siły i prawdy uczuciom, która z językiem walczy, aż się doskonale wysłowi, mało ważył w poemacie żywość namiętności, moc i wysokość myśli, śmiałość obrazów, dobitność i piorun słowa“, to też w końcu samo piękne wysłowienie ogłoszone zostało za jedyny przymiot poezyi. O poezyi angielskiej i niemieckiej krótkie tu tylko znajdują się wzmianki, ale z nich widać, że Borowski stawił wyżej poezyą tych narodów od fran-

cuskiej, szczególnie zaś w ludowej poezyi angielskiej cenił prawdę, moc i głębokość uczucia.

Nic dziwnego, że człowiek dobrze znający i umiejący cenić literaturę europejską, porównywając ją z własną, widział ubóstwo tej ostatniej i brak samoistnego w niej ducha. W tym względzie daleko śmielej przemawia Borowski od Brodzińskiego. „Za rządu ostatnich Jagiellonów i pod panowaniem Stanisława Augusta dał się uczuć smak zdrowszy w narodzie, lubo go sumiennie narodowym nazwać nie można...“ „W pierwszej i drugiej epoce, ogólnie mówiąc, więcej widać przyrodzonych sposobności, jak umiejętnego ich kształcenia, więcej zamiaru, jak skutku, więcej naśladowania, jak dzieł własnych...“ „Zdania niekiedy powtarzane, że literatura nasza ma już dość i nadto poetów w porównaniu z prozatorami, nie zdają się na ścisłej prawdzie oparte, chybaby kto poezyą chciał nazywać całą ćmę nudnych rymów, któremi wiek Zygmunta i dzisiejszy jest zarzucony,“ Nie ośmielał się wprawdzie Borowski występować przeciw uznanym i uwielbionym w poezyi wielkościom i uznawał „liryczną bujność i zapał Naruszewicza, świetny, wesoły dowcip Krasickiego, łatwość,

wdzięk, czułość, niekiedy górność w pieśniach Kniaziewicza i Karpińskiego ; słodycz i miękkość Szymanowskiego", ale zaraz potem dodawał, że „jeżeli pragniemy szczycić się poezyą prawdziwie godną tego nazwiska, nie możemy rzec śmiało, że już nam dosyć na tem co mamy."

Czuć w tych słowach pragnienie nowej poezyi, poezyi narodowej, ale źródeł jej nie wskazywał tak wyraźnie Borowski, jak to uczynił świeżo przedtem Brodziński w swojej rozprawie „O klasyczności i romantyczności". W jednem tylko miejscu znajduje się słaba, niemniej przeto godna uwagi wskazówka w tym kierunku. Mówiąc o obrzędach pogańskich polskich i litewskich, Borowski przypuszcza, że obrzędom tym towarzyszyły pieśni i żałuje, że dotychczas czekają na zbieracza i rozeznawcę, a dalej tak mówi: „Gdybyśmy chcieli być troskliwszymi, niż dotąd, o ich wyszukanie, nie tylkobyśmy głębiej zdołali przeniknąć właściwy poetycki sposób myślenia i czucia przodków naszych, najwyraźniejszy zwyczajnie przed oświeceniem i pismem, lecz możeby się odkryły starożytne powieści, dumy religijne i historyczne podania, godne iść w porównanie z pięknemi balladami angielskiemi i poezyą

trubadurów. Dotąd gdyśmy tego nie uczynili, wolimy się niedbale stosować do naszego wieku, w którym światło filozofii spędziło błogi urok poezyi i na wzór innych narodów usiłujemy śpiewać dla czystego rozsądku".

Na podstawie przytoczonych ustępów wolno, sądzę, przypuszczać, że jeżeli Borowski nie wskazał Mickiewiczowi nowych dróg w poezyi, to przynajmniej usposobił go do wejścia na nie, chociażby tylko swoją krytyką francuskiego smaku.

I w gronie najbliższych przyjaciół Adama był człowiek, który podług własnych zwierzeń poety, przyczynił się wiele do skierowania jego muzy na nowe drogi, a to w ten sposób, że pobudził go do zastanawiania się nad brakiem szczerości i prawdy we współczesnem rymotwórstwie polskiem. Człowiekiem tym był Zan. Mieliśmy już dowody na to, że był obdarzony duchem inicyatywy i samodzielnością myśli, ale ktoby chciał lepiej tę samodzielność poznać, niech przeczyta jego listy, pisywane w kilka lat później z Orenburga, a zadziwi go tam głębokość poglądów Zana, widocznie własną pracą ducha zdobytych. Otóż i w wierszach, które pisywał Zan, będąc studentem i które na zebraniach koleżeńskich czytywał, objawiała się

ta samodzielność jego ducha. Nieobierał on sobie tematów, które otwierały pole dla szumnych popisów retorycznych, ale czerpał je z codziennych stosunków, z powszedniej rzeczywistości, w której wbrew panującemu smakowi umiał dopatrzeć poezyi.

Adam z początku lekceważył sobie te wiersze, „nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania; aż nakoniec razu jednego p. Tomasz napisał elegię na odjazd jednej ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w niedzielę i święta, spotykał się na obiadach w domu wspólnych przyjaciół, gdzie już zazwyczaj razem resztę dnia przepędzali. Treścią tej elegii było zwłaszcza wspomnienie wspólnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczej wesołym niż tkliwym, ale jednak tak delikatnie wydającym rzewne i głębsze uczucie, że Adam, który, jak sam powiada, nie sądził, „aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi“, raz pierwszy zwrócił myśl i uwagę nietylko już „na szukanie prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie“. A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku, więc i we wszystkich tych arcydziełach w obu tych językach, za-

czął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Göthe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami; elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni.“

Hasło rzucone przez Brodzińskiego, że pieśni ludu są najbogatszem źródłem poezyi, stało się hasłem naszych młodych poetów. Rzucili się oni do pieśni i podań ludowych, jako do zaklętych skarbów poezyi narodowej. Tę rudę złotą potrzeba było przetopić i przelać w odpowiednią kunsztowną formę; taką formę podawała poezya romantyczna w balladzie. Ze wszystkich ballad najwcześniej musiały być znane naszym poetom ballady Szyllera, jeżeli nie skądinąd, to z *Pamiętnika Warszawskiego*, jednakże nie one pierwsze jak świadczy Odyniec w swoich listach, miały pobudzić ich do chwycenia się tej formy. Zachęciła ich do tego naprzód sławna „*Lenora*“ Bürgera, którą im w świetnym przekładzie rossyjskim Żukowskiego wydeklamował pewnego razu znajomy ich, młody Czerniawski, syn profesora literatury rossyjskiej w uniwersytecie wileńskim. W istocie wobec tej ballady,

pełnej grozy i tajemniczości, będącej niejako wcieleniem balladowego ducha, blademi, albo rozwlekłemi się wydają ballady Szyllera i łatwo zrozumieć, dlaczego ta ballada dopiero pobudziła młodzieńców do próbowania sił w tym rodzaju poezyi. Byli oni zachwyceni *Lenorą*, i zaraz nazajutrz na jej wzór napisał Zan balladę *Nerys* albo *Nerynę*, a w parę dni potem drugą, p. t. *Switeź*.

Odtąd niemczyzna zaczęła iść w górę w gronie naszych młodych poetów, Göthe i Schiller stali się najulubieńszą lekturą Mickiewicza, i ten już w r. 1822 mógł pisać do Malewskiego, że ze wszystkich dzieł Göthego, tylko *Reinecke Fuchs* nie jest mu znany i to dlatego jedynie, że go nie miał skąd dostać. W porównaniu z nową poezyą, którą wciągał w siebie, rozpoczęty przezeń poemat heroi-komiczny p. t. *Kartofla*, wydał mu się robotą niedołężną, bez poetycznego ducha, zaniechał więc jej, aby zacząć tworzyć podług nowych wzorów. Że jednak ta twórczość przypada, jeżeli nie całkowicie to przynajmniej w znacznie większej części na czasy profesorskie Mickiewicza, musimy więc przed jej rozważaniem przypatrzyć się nowym warunkom życia, w jakich się znalazł Mickiewicz, zostawszy profesorem w Kownie.

IV.

Mickiewicz mianowany nauczycielem w Kownie. Szkoła kowieńska i jej nauczyciele. Samotność poety. Dolina kowieńska. Wycieczki do Wilna.

Nadeszła chwila dla młodego poety, kiedy swobodę życia uniwersyteckiego musiał zamienić na żmudną pracę nauczycielskiego zawodu. Z końcem roku szkolnego 1818/19, ukończył Mickiewicz czteroletni kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem kandydata filozofii i jako kandydat stanu nauczycielskiego, pozostający na koszcie rządowym, winien był przyjąć posadę nauczycielską, jaką się władzy szkolnej podobało mu wyznaczyć.

Najwyższą władzę szkolną w prowincyach litewsko-ruskich piastował książę Adam Czartoryski, kurator naukowego okręgu. Ale

była to władza dozorująca, kierująca wychowaniem, pośrednicząca pomiędzy rządem petersburskim a krajem; w toku spraw codziennych, jak n. p. w mianowaniu nauczycieli, tem mniej książę Adam mógł brać udziału, że zajęty różnorodnemi sprawami, tak publicznemi, jak domowemi, rzadko gościł w Wilnie i tylko zdaleka rozciągał opiekę nad poruczonym sobie okręgiem. Nominacye zatem nauczycielskie zależały głównie od rektora uniwersytetu, jako właściwego naczelnika władz szkolnych w okręgu i przydanego mu do pomocy komitetu szkolnego, który się składał z profesorów bliżej obeznanych tak z pedagogią, jak i ze stanem szkół ówczesnych. Rektorem od 1816 roku był, jak wiemy, Szymon Malewski, w skład zaś komitetu szkolnego w r. 1819 ze znanych nam osób wchodzili: Jędrzej Śniadecki, Jundziłł, Kazimierz Kontrym, Leon Borowski, wreszcie profesor August Becu, Budziłowicz, dyrektor szkół gubernii wileńskiej, i adjunkt uniwersytetu Żukowski.

Mickiewicza zamianowano nauczycielem literatury, historyi i prawa w powiatowej szkole kowieńskiej. Żeby objaśnić, co to była za szkoła, trzeba koniecznie kilka słów powiedzieć o ówczesnym stanie szkół średnich

na Litwie i Rusi. Szkoły te dzieliły się na gimnazya i szkoły powiatowe. Pierwsze różniły się od drugich naprzód tem, że uczono w nich obu języków klasycznych, kiedy w powiatowych szkołach poprzestawano tylko na łacińsko-polskiej gramatyce. Co się tyczy innych przedmiotów wspólnych, a mianowicie: arytmetyki, fizyki, matematyki, literatury, historyi, prawa, języków: francuskiego, niemieckiego i rossyjskiego, moralności i rysunków, z tych niemal każdy wykładany był w gimnazyum przez osobnego nauczyciela, podczas gdy w szkołach powiatowych, jako mniej uczniów liczących, łączyły się one w grupy i jeden profesor musiał kilka przedmiotów naraz wykładać. Zwykle w ten sposób łączyła się fizyka z matematyką, literatura z historyą i prawem, najdziwniejszą zaś grupę stanowiły arytmetyka, geografia i nauka moralności, której wykład w szkołach świeckich nie należał do zakresu czynności kapelana. Tym sposobem szkoły powiatowe liczyły zwykle o połowę mniej nauczycieli, niż gimnazya.

Gimnazyów w wileńskim okręgu naukowym, składającym się z ośmiu gubernii, było ośm, nie licząc liceum krzemienieckiego; wszystkie one były świeckie z wyjątkiem za-

bialskiego, utrzymywanego przez zakon Dominikanów; ale i to gimnazyum tytułem się tylko różniło od szkół powiatowych (nie uczono tam greckiego języka, podobnie jak w witebskiem). Przeciwnie, szkoły powiatowe w znacznie większej części były utrzymywane przez zakony. Tak n. p. w gubernii wileńskiej na 15 szkół powiatowych, dwie tylko były świeckie. Jak te, tak zakonne, zostawały pod rządem uniwersytetu, ale w zakonnych nauczycielami przeważnie byli księża, a więc po większej części ludzie, którzy nie mieli uniwersyteckiego wykształcenia; ztąd szkoły te stały niżej od świeckich. Za to daleko mniej kosztowały i to było przyczyną, dla której uniwersytet przy odnowieniu swojem (1803) oddał większą część szkół powiatowych zgromadzeniom zakonnym. *)

Szkoła kowieńska, do której wysyłano Mickiewicza, była powiatową świecką szkołą, utworzoną w r. 1807 na miejscu dawnej, utrzymywanej przez Franciszkanów. Skład jej nauczycieli w roku, poprzedzającym przybycie Mickiewicza do Kowna, był następujący: Dozorcą t. j. dyrektorem szkoły, był Szy-

*) M. Baliński. Pamiętniki o Janie Sniadeckim I. 477.

mon Ławrynowicz, doktor filozofii i radca nadworny. Fizyki, matematyki i języka francuskiego uczył Józef Nieławicki, magister filozofii; literatury, historyi i prawa Stanisław Dobrowolski, magister filozofii; gramatyki łacińsko polskiej i języka rossyjskiego Bartłomiej Abrahamowicz, kollegialny sekretarz: arytmetyki, geografii i moralności Ignacy Krukowski, magister filozofii. Zastępcą nauczyciela rysunków był Jakób Lenzi; kapelanem x. Franciszek Sidorowicz, kanonik brzeski. *)

W następnym 1819 roku, zawakowała posada dozorcy. Otrzymał ją dotychczasowy nauczyciel literatury historyi i prawa, Stanisław Dobrowolski, na jego zaś miejsce wysłano Mickiewicza do Kowna. **)

Przybywszy do Kowna, znalazł się Mickiewicz w zupełnie innej sferze, i w zupeł-

*) Kalendarzyk polityczny na rok 1819 dla wydziału uniwersytetu wileńskiego. W Wilnie, w drukarni Bazylianów.

**) Po wszystkich życiorysach poety błąka się dotychczas rok 1820 jako data wyjazdu do Kowna. Że to jest data błędna, prócz innych świadectw stanowczo okazuje to kalendarzyk polityczny wileński na rok 1820 (drukowany przy końcu 1819 r.), w którym już Mickiewicz figuruje jako nauczyciel.

nie nowych warunkach życia. Wilno miało ruch i pozór prawie stołeczny; Kowno, za Jagiellonów i Wazów kwitnące, ważny niegdyś punkt handlowy między Niemcami a Litwą, w ośmnastym już wieku znacznie podupadło i na początku XIXgo aż do utworzenia gubernii kowieńskiej (1842) było cichem, nieznacznem miastem. W Wilnie otaczały go życzliwie uśmiechnięto twarze kolegów, otaczał go i oblewał ów ruch gorący, jaki się świeżo zbudził w gronie młodzieży uniwersyteckiej — w Kownie uczuł się Adam zupełnie obcym i samotnym. Nikogo tu nie znał, a ci, z którymi miał naprzód zabrać znajomość, koledzy jego po służbie, mało zapewne podobni byli do tych, których miejsce mieli zastąpić, do kolegów wileńskich. Byli to ludzie znacznie starsi od Mickiewicza i zrośnięci z rutyną szkolną, bo prawie wszyscy od dziesięciu lat już uczyli w szkole kowieńskiej. *)

Gdyby nawet prawdą było, co podaje p. A. B. w korespondencyi z Wilna do *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych* z roku 1859 nr. 35, że sława poetycka za po-

*) Patrz kalendarzyk polityczny wileński na rok 1811.

średnictwem kolegów poprzedziła Mickiewicza, przybywającego do Kowna, to i w takim razie wolno wątpić, czy nowi koledzy umieli się poznać na poezyi Adama. W spisie prenumeratorów na pierwsze dwa tomiki poezyj Adama, z kowieńskich kolegów jego znajduje się tylko nazwisko Nieławickiego; gdy tymczasem w drugiej powiatowej świeckiej szkole gubernii wileńskiej, mianowicie w Krożach, aż sześciu nauczycieli złożyło przedpłatę na te poezye. Zdaje się zatem, że z nauczycieli kowieńskich jednego tylko Nieławickiego mogła poezya pociągać ku Adamowi, i że pomiędzy nim tylko a Adamem mogła się z tego powodu wytworzyć jakaś ściślejsza łączność. Sam prefekt czyli dozorca Dobrowolski, o jakie lat trzydzieści starszy od Adama, jakkolwiek we dwadzieścia lat potem, już będąc emerytem, olśniony sławą dawnego swego kolegi, puścił się niebacznie na rymowanie pedago iczno-moralnych rozpraw**), „których pisaniem osładzał sobie tęsknotę starości i bezczynność emerytury“, w czasach przebywania Adama w Kownie zwykł był żartować tylko z poezyi, i mawiał

**) Wspomnienia z przeszłości Odyńca. Kronika Rodzinna. 1881. Str. 425.

o niej, „że wiatr tylko zasiewa i zbiera“ Był to człowiek uczciwy, dobry, zostawił po sobie jak najlepszą pamięć; dla Adama, jak świadczy Odyniec i inni, z ojcowską był prawie życzliwością i bez wątpienia mógł się wiele przyczynić do osłodzenia poecie przykrych początków nauczycielskiego zawodu, ale nie był człowiekiem, któryby zrozumiał, co grało w sercu młodego poety, przed którym dusza Adama, w ogóle nieskora do wynurzeń, mogłaby się zwierzać ze swoich cierpień, nadziei i uniesień. Widział on w Adamie, przynajmniej w początkach ich wzajemnego stosunku, tylko niepraktycznego, żyjącego fantazyą młodzieńca, niedoświadczonego pedagoga. Znaleźli się potem i w Kownie ludzie, którzy umieli odgadywać potrzeby duszy Adama, przeczuć geniusz jego, ale w początkach nie było nikogo takiego. Jego, któremu brzmiały jeszcze w uszach pożegnalne wołania kolegów, który czuł jeszcze niemal ciepło ich bratnich uścisków, objęła teraz cicha, chłodna, obojętna sfera.

Praca pedagogiczna, w której nigdy nie smakował Mickiewicz, jak później, tak i w początkach zawodu nauczycielskiego musiała być dla niego wielkim ciężarem. Wiemy, że

w roku 1822/23 miał godzin szkolnych tygodniowo dwadzieścia; prawdopodobnie i w pierwszych latach nauczycielstwa niemniej ich mieć musiał. Ale jakkolwiek praca szkolna dużo mu czasu zabierała, dość jednak jeszcze zostawiała na samotne rozmyślania.

Cóż miał robić młody marzyciel z wolnemi od pracy godzinami, nie mając koło siebie ani jednej duszy, do którejby mógł przylgnąć i z którąby się mógł podzielić myślami. Szukał samotności i odgradzał się nią od otaczającej sfery, w której dla młodego, gorącego serca i rozmarzonej głowy wszystko było takie chłodne, poziome, bezduszne. To, co pisał później w wierszu „*Do samotności*“, wybornie da się zastosować do ówczesnego jego usposobienia:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów;
Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami;
Igram z niemi jak z falami,
Aż ostygły, znużony złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł: te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.

Samotność znajdował czy to w swojem mieszkaniu, w posępnych murach pojezuickiego klasztoru, gdzie się i szkoła mieściła, czy też na przechadzkach wśród pięknych okolic Kowna. Kowno leży na prawym brzegu Niemna, w tem miejscu, gdzie się Wilia z nim łączy. „Dolinę, gdzie się miasto rozciąga, skropioną przejrzystemi wodami dwóch najpiękniejszych rzek w Litwie, otaczają w półkole prawie, łańcuchy romantycznych gór, towarzyszących Niemnowi i Wilii. Strome ich pasma, okryte borami, świecą gdzieniegdzie łysym wierzchołkiem z pośród gałęzi sosnowych. Od południa Niemen płucząc prawym brzegiem mury miejskie, lewym obija się o również wysokie, lecz jasną zielonością dębiny lub krzakami czeremchy, berberysu i jarzębiny porosłe wzgórza“*).

Jeszcze więcej uroku nadawały tej pięknej okolicy w oczach młodego poety, co wchodził na drogę romantyczną, dalekie bohaterskie wspomnienia z czasów morderczych walk między Krzyżakami a Litwą. Sterczały jeszcze ruiny zamku kowieńskiego, który za czasów Gedymina, Olgierda i Witołda tyle

*) Starożytna Polska M. Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego Tom III. str. 396.

razy wyrywany był sobie nawzajem przez Krzyżaków i Litwinów. Tutaj to Krzyżacy pod dowództwem Winrycha Kniprode, zdobywszy ten zamek w Wielką Sobotę, wśród ogni pożaru, na zwaliskach krwią zlanych i zasłanych trupami, śpiewali rezurekcyjną pieśń miłości i pokoju: „Chrystus zmartwychwstał!“ Pod murami tego zamku rozkładał się obozem Konrad Wallenrod, gdy pociągnięty przez Witołd szedł z mieczem przeciw Jagielle i tu wyprawiał ową sławną ucztę, która miała kosztować pięćset tysięcy srebrnych grzywien pruskich. Wiele innych historycznych wspomnień budziły te zwaliska, jednakże nie one były celem najulubieńszych przechadzek Adama Z całej okolicy najbardziej go wabiła owa dolina, której sławę uwiecznił w poezyi i która odtąd nosi jego imię, dolina, o której Litawor mówi w *Grażynie*:

Widziałem piękną dolinę przy Kownie.
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.

Odyniec, który zwiedzał tę okolicę w r. 1823, powiada, że trudnoby wprawdzie zgodzić się z Litaworem, że jest to dolina najpiękniejsza w świecie, jednakże jako miejsce

samotnej przechadzki mogła być w istocie rozkoszną. Był to wtedy „smug niezbyt szeroki, pomiędzy pasmem lekkich wzgórz z obu stron, porosły na pochyłościach gajem drzew liściastych, a przerznięty w głębi strumieniem, który ocieniony po brzegach poziomemi krzakami wierzby czy łozy, płynął z szumem środkiem zielonej i kwiecistej łąki.... Droga wąska szła dołem nad brzegiem strumienia, albo się nad nim wspinała na wzgórze, aby znowu zejść na dolinę. W połowie drogi ogromny kamień, ocieniony kilku drzewami, służył za miłe miejsce odpoczynku.“ Był to zapewne ten sam kamień i te same drzewa, o których Wallenrod wspomina w Aldonie:

Kamień, pamiętasz, ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły —
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem....
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami....
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził....

Gdy z tych pięknych przechadzek wracał do swego mieszkania, i tu samotność go otaczała. Czytał, marzył i pisał naprzemian; samotność, jakkolwiek tęsknotą napawała mu serce, sprzyjała jego muzie, zachęcała do prze-

lewania uczuć i myśli na papier. Mały obrazek takich chwil samotnych dał nam poeta w wierszu swoim: *Do przyjaciół*, który napisał, posyłając im balladę *To lubię*.

Bije raz, dwa, trzy — już północna pora!
Głuche w około zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztora,
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno — Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze —
Ileż mi słodkich chwilek przypomina;
Precz — to już znikło na zawsze!

Teraz ja szczęścia szukam — ot w tej księdze.
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycanie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścianie
Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i śród ciszy
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem, czy skończę.

Młodemu poecie, który tylko cień własny miał za towarzysza, o ileż droższemi wydawały się z daleka postacie kochanki i braci! Jakże tęsknił do chwili, w którejby mógł oglądać, jeżeli nie kochankę, to przynajmniej kolegów, w których towarzystwie dusza jego, krzepnąca w chłodnej atmosferze szkolnych zatrudnień, mogłaby się ożywić, rozjaśnić i otworzyć. To też łatwo sobie wyobrazić, z jakiem upragnieniem czekał chwil takich i z jaką radością jechał do Wilna, jak tylko się nastręczała sposobność.

Kowno oddalone jest od Wilna o mil czternaście, a więc, przynajmniej dla jadących pocztą, tylko o jeden dzień drogi Skoro więc nadchodziły jakieś święta z dłuższą przerwą nauki szkolnej lub wakacye letnie, Mickiewicz zjawiał się w Wilnie, a każdy jego przyjazd, powiada Domejko, był uroczystością dla kolegów. Urządzano na cześć jego w ściślejszem gronie przyjaciół uczty, na których bawiono się doskonale, często do białego rana. Pietraszkiewicz, urządzający owe uczty, zostawał w dobrych stosunkach z rządcą pałacu generała Paca, a ponieważ generał mieszkał stale w Warszawie, rządca jego pozwalał kolegom Pietraszkiewicza zgromadzać się w nadzwyczajnych razach w poko-

jach generała i owe uczty tam się najczęściej odbywały.

Z zestawienia różnych świadectw wnioskuję, że już na najbliższe święta Bożego Narodzenia (1819) przyjechał Adam do Wilna*), i tu mu zaraz wyprawiono ucztę z podwójnego tytułu: jako drogiemu gościowi i jako solenizantowi, dzień Wigilii bowiem był zarazem dniem imienin i urodzin Adama. Mianowicie Domejko w swojem wspomnieniu o Filomatach i Filaretach powiada, że pamięta „jakby to dziś się stało“, że na jedne ze swoich imienin przywiózł Adam z Kowna pieśń swoję „Hej użyjmy żywota“. Otóż nie mogło to być w innym roku, jak 1819, bo już na wiosnę 1820 roku Odyniec, będąc na majówce Promienistych jeszcze jako uczeń szkół boruńskich, słyszał tę pieśń spiewaną i właśnie przy tej sposobności po raz pierwszy obiły się o jego uszy imię i rosnąca w gronie kolegów sława Mickiewicza.

Domejko, któremu się ta pierwsza uczta, wyprawiona dla kowieńskiego gościa, tak silnie wraziła w pamięć, przechował nam nie-

*) Przerwa w nauce szkolnej z powodu świąt Bożego Narodzenia trwała od 23 grudnia do Nowego Roku.

które z niej szczegóły. Wiemy od niego, że Zan witał solenizanta wierszem i również wierszem zdawał mu sprawę z czynności i życia Filomatów, a potem śpiewał swój tryolet, który już znamy: „Wróć Feli spokojność moję“. Czeczot ułożył dla Adama powinszowanie na wzór białoruskich ludowych pieśni, w białoruskiem narzeczu i śpiewał ją na nutę ludową. Piosnka ta, pełna naiwnego wdzięku, brzmiała:

Ach sztoż my waszeci skażem,
Prostyje z sieła dziewczata,
Jakiejeż pieśnieczki zwiażem;
U nas myśl niebahata, u nas myśl niebahata.
Ale jak myślim, jak czujem,
Tak tobie zaśpiewajem,
Tak tobie powinszujem;
Nieszczyrości nie znajem, nieszczyrości nie [znajem.
Lisiczka żołty hrybok,
Slimaczków nie bajesia,
Nie toczyć jeja czerwiaczok,
On u lesie zdarou błyszczysia, on u lesie zdarou błyszczysia.
Konik po polu dureje,
On kopy wozić i hrajeć;
Sołowiej charaszo pieje,
Samiczku k'sobie sklikajeć, samiczku k'sobie [sklikajeć.
Budź jak lisiczka zdarowy,
Jak konik wiesieł pry trudzie;

Niech twaje pieśni i mowy
Jak sołowja hołos budzie, jak sołowja hołos
[budzie.*)

Pan Onufry (Pietraszkiewicz), główny organizator uczty, nie będąc biegłym w rymach, uczcił solenizanta zastosowanym do okoliczności transparentem. Właściwa uczta składała się z herbaty i różnych do niej przekąsek i łakoci, ale zjawił się i węgrzyn, jakby wywołany przez Adama przywiezioną przezeń wtedy pieśnią:

Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas!

węgrzyn, rzadki gość na ucztach koleżeńskich, które zwykle według świadectwa Odyńca, oprócz mleka i herbaty dopuszczały z innych napojów co najwyżej miód kowieński i butelkę porteru dla Adama, gdy ten był obecnym.

---

*) Porówn. Domejki Wspomnienia o Filomatach i Filaretach z Żywotem i Korespondencyą Tomasza Zana. Kraków 1863. Str. 82. Echo tej piosenki odzywa się w *Panu Tadeuszu*:

Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw' ich nie
[zjada
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.

Następnego, 1820 roku, wybierał się również Mickiewicz na Boże Narodzenie do Wilna i to tak wcześnie, aby być na obchodzie imienin Zana, które przypadały 21 grudnia. Miały być one uroczyście obchodzone przez błękitne t. j. literackie grono Filaretów, które z rady samegoż Mickiewicza miało odegrać napisaną przed paru laty przez solenizanta studencką krotofilę p. t. „Gryczane pierożki“. Ale stan zdrowia i silne mrozy nie pozwoliły mu wówczas przyjechać i uroczystość odbyła się bez niego *). Podług Kaczkowskiego, miał on w tych czasach, t. j. przy końcu 1820 lub na początku 1821 roku dłuższy czas przebywać w Wilnie jakoby sprowadzony tam przez kolegów, niespokojnych o jego zdrowie *), jednakże wiadomość ta nie zgadza się ze świadectwem Odyńca, który od wakacyi 1820 roku był już studentem wileńskim i znając już ze sławy Mickiewicza, niecierpliwie czekał sposobności osobistego poznania jego. Otóż sposobności tej doczekał się Odyniec, jak sam świadczy, dopiero na Zielone Świątki 1821 r., w którym to czasie Mickiewicz zjechał na cały tydzień do Wilna.

*) Odyniec, Wspomnienia z przeszłości.
*) Kaczkowski, Wspomnienia. T. I. 98.

„Na drugi dzień Zielonych Świątek, pisze Odyniec, gotowała się wielka filarecka feta. Wszyscy chcieli okazać dowód czci, miłości i wdzięczności dla tego, który wszystkich w jedność połączył (t. j. dla Zana) Za godło tego hołdu uchwalono pierścień złoty z napisem: „Przyjaźń zasłudze“, a wręczycielem jego w imieniu wszystkich miał być właśnie Adam, który na dzień ten zapowiedział swój przyjazd.... W dniu tym o godzinie 9tej rano wszystkie grona zebrały się w kościele Śgo Jana na mszę, którą celebrował ks. Lwowicz.... O czwartej popołudniu wszyscy już mieli się zebrać w miejscu wskazanem za miastem. Miejsce to było za Markuciami w górach; podłużny, prostokątny śliczny gaik brzozowy śród pola stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośla służyły mu za bufet i miały podobieństwo koczowiska cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiały samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkiem i czarnych wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych również jak mleko z pobliskich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospo-

darze, z tytułem stolników, zajmowali się wyłącznie materyalną częścią biesiady; atoli część jej duchowa była główną dla wszystkich. O czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu i tylko na Adama czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniej, nie mógł przyjechać pierwej, jak o czwartej. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto stamtąd przywieść na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzeliśmy wnet drążki pędzące cwałem i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu, na znak, że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Drążki zatrzymały się u stóp pochyłości i obaj przybyli, bez drogi, wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali, czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma".

Wdarłszy się na górę Adam, rzucił się w objęcia kolegów i długo ściskał się z Czeczotem i Zanem. Po przywitaniach nastąpiło wręczenie pierścienia. „Adam przemówił z natchnienia, ale prozą; wymieniając nie szereg zasług, ale naturę wpływu Zana na braci i spodziewane stąd na przyszłość owoce

Zaszczyt wyboru siebie na oddawcę pierścienia przypisał jedynie temu, iż wszystkim wiadomo o tem, jak on go szczerze i serdecznie kocha". Poważne to przemówienie wywołało uroczysty nastrój: ale nie trwał on długo. Frejent i Kułakowski, rozweselający zwykle zgromadzenia koleżeńskie swojemi dowcipnemi jambami, i tym razem sprowadzili wnet nastrój uroczysty do tonu wesoło-żartobliwego. „Kułakowski wystąpił z wieńcem z liści dębowych i chcąc go niby włożyć na skronie jubilata, obyczajem trefnisia przy tryumfalnych niegdyś obchodach w Rzymie, w wesołym żartobliwym jambie wyliczył cały szereg wad jego: zbyteczną pobłażliwość i słabość dla drugich, niepoznanie wartości własnej itp. Ofiarował zaś wieniec w tym celu, aby jak Cezar łysinę, pokrył nim słuszny wstyd za nie. Jamb ten dał hasło wesołości ogólnej, manifestującej się w różny sposób, przy odgłosie choralnych pieśni i akompaniamencie fletu Frejenta, który w końcu zagłuszyły słowiki, gdyśmy już w nocy przez lasy po księżycu wracali do miasta. Nie mam zda się potrzeby dodawać, mówi dalej Odyniec, że dla mnie — a i nietylko dla mnie, lecz i dla wszystkich młodszych błękitnych kolegów, którzy go dotąd tylko z poezyi znali —

Adam był jakby słońcem biesiady, ku któremu grawitowali wszyscy“ *).

O ileż posępniejszemi musiały się poecie wydawać klasztorne mury szkoły kowieńskiej, gdy wracał do nich, o ile głębszą samotność, która go tam otaczała po gwarnem życiu wileńskiem. A jednakże samotność ta, jak dla innych geniuszów, tak i dla Mickiewicza była pożyteczną towarzyszką. W niej skupiały się myśli, klarowały się uczucia, zaczerpnięte z wileńskiego ogniska; ona jak się zdaje wykołysała niemal wszystkie jego utwory pierwszej doby poetyckiej, to jest poezyą filarecką i ballady.

---

*) Zielone Święta w roku 1821 przypadały na dzień 29 maja (st. stylu). Zestawiając opowiadanie Odyńca z wiadomością podaną przez Jundziłła i innych, że Promieniści zostali rozwiązani przez rektora w połowie maja 1821, dostrzegam niezgodności chronologicznej, której jednak usunąć nie mogę.

V.

Wpływ życia filareckiego na poetę. Jego poezya filarecka: „Niech radością oczy błysną“, „Hej użyjmy żywota“, „Toasty“, Oda do młodości“. Porównanie ducha filareckiego z szubrawskim.

Czasy filareckie były najważniejszym okresem w życiu Mickiewicza, nie dlatego, żeby on w tym okresie miał tworzyć swoje największe arcydzieła, ale dlatego, że one nadały kierunek jego uczuciom i jego poezyi na całe życie. Filarecka poezya, nad którą mamy się teraz zastanowić, jest tylko jakby przegrywką do całej niemal działalności jego poetyckiej, do całego jego życia. W tej poezyi wpływ życia filareckiego najwidoczniejszy, najbezpośredniejszy, wytryska z niej ono gorącym, żywym strumieniem, ale nie zamyka się w niej bynajmniej. Czujemy wpływ jego we wszystkich niemal późniejszych utwo-

rach poetycznych Adama, w jego prelekcyach paryskich, w jego religijnych i politycznych pragnieniach, dążeniach i złudzeniach, w całem jego życiu skołatanem.

Bez tych wrażeń i uczuć, jakiemi duszę jego napoiło życie filareckie, Mickiewicz nie umiałby za milion cierpieć i kochać, nie mógłby zostać autorem *Konrada Wallenroda*, trzeciej części *Dziadów*, nawet *Pana Tadeusza*. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie zakosztowawszy życia filareckiego Mickiewicz nie byłby zdolny stworzyć epopei, podobnej treścią do *Pana Tadeusza* i równie znakomitej pod względem artystycznym; tylko to, że nie mógłby tchnąć w nią tego gorącego ducha miłości kraju, jaki ją ogrzewa, a który w szczególnych cechach swoich jest czysto filareckim. Ta miłość kraju niezaprawna tam jest goryczą stronniczych niechęci, niezabarwiona bengalskiem światłem chorobliwej, trawiącej się w sobie wyobraźni, jak u Słowackiego i Krasińskiego; ale świeci, grzeje słonecznie, obejmuje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość narodu, kojarząc je w imię tego, co jest w każdej z nich szlachetnem i dobrem, i jak słońce, które grzejąc i świecąc dla wszystkich, zdaje się nawoływać ludzi do zgody i miłości, tak i ona nawołuje

do jedności i braterstwa, w którem się roztopić muszą i zniknąć wszystkie przesądy kastowe, wszystkie uprzedzenia i nienawiści stronnicze, jak mgły poziome w promieniach słońca.

Skądże zaczerpnął poeta tej słonecznej miłości, jeżeli nie z filareckiego życia i nie ze stosunków, które po niem pozostały? Jużciż nie z otoczenia cudzoziemskiego, w którem zmuszony był potem przez długie lata pozostawać, ani z tej sfery, która bezpośrednio otaczała poetę wtedy, gdy pisał *Pana Tadeusza*, sfery, z której wynosił tylko „uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.“ Wrażenia dzieciństwa i młodości filareckiej złożyły się na tę budowę, ale gdy wrażeniom dzieciństwa zawdzięczał poeta świeżość barw i wyrazistość rysów, młodość filarecka tchnęła weń owę miłość narodu.

Mógłżeby poeta tak ukochać naród, jak ukochał, gdyby był w młodości innym żywiołem otoczony, gdyby nie miał takich kolegów jak Zan i Czeczot, i gdyby nie był tak przez nich kochany? Jestem pewny, że nie. Poznał on w gronie otaczającej go młodzieży to, co było najszlachetniejszem i naj-

piękniejszem w narodzie, i dlatego tak mocno ukochał naród i tak głęboko uwierzył w jego przyszłość.

Do filareckiej poezyi, pod którą rozumiem utwory Mickiewicza, odnoszące się do stosunków koleżeńskich, oprócz wiersza: *Już się z p godnych niebios*, którego ocenę dałem już wyżej, a który nietylko formą ale i duchem stanowczo różni się od innych wierszy filareckich, należą następujące utwory: *Hej radością oczy błysną*, *Cztery toasty*, *Hej użyjmy żywota* (pieśń zwana filarecką) i *Oda do młodości*. Wynaleźć dla nich zupełnie pewny porządek chronologiczny jest rzeczą trudną To tylko pewna że wszystkie były napisane pomiędzy 1818 a 1822, bo i *Oda do młodości* poprzedziła *Dziady*. Sądząc po formie, oda była prawdopodobnie ostatnią w tym szeregu, a pieśń *Hej radością oczy błysną* pierwszą. Co się tyczy pieśni *Hej użyjmy żywota*, to na podstawie wspomnień Domejki można wnioskować, że była napisaną przy końcu 1819 roku.

Pieśń *Hej radością oczy błysną* nie jest powszechnie uznaną za utwór Mickiewicza; nie ma jej nawet w ostatniem wydaniu dzieł jego, co jest rzeczą tem dziwniejszą, że rodzina poety zdaje się uznawać tę pieśń za

utwór jego; tak przynajmniej wolno wnioskować z tej okoliczności, że p. Władysław Mickiewicz wydając pamiętnik Zdanowicza o Filaretach, w którym jest przytoczony ów wiersz, jako utwór Adama, nigdzie w komentarzu nie wyraził powątpiewania w tym względzie. Ja, przyjmując ten wiersz za utwór Mickiewicza, opieram się na świadectwie Odyńca, o którem wyżej wspomniałem*).

Pieśń ta stanowi jakby przejście od maniery klasycznej do tego swobodnego lotu poetyckiego, jakim się odznaczają późniejsze utwory filareckie. Uczucie w niej szczerze tętni, uczucie miłości koleżeńskiej i młodzieńczego zachwytu dla świętych haseł: „ojczyzna, nauka i cnota“, ale nie umie się ono jeszcze wyrażać samoistnie, w wyrażeniu jego jest coś z sielankowego tonu, z mlecznej muzy śpiewaka Justyny, którego liryzm Mickiewicz, jak wiadomo, wysoko cenił.

*) Wspomnienia z przeszłości. Kronika Rodzinna. 1879. Str. 553. U Odyńca pierwszy wiersz brzmi: „G d y radością oczy błysną“, to g d y jednak nie zgadza się z dalszym tokiem myśli. I h e j nie zupełnie tu jest na miejscu i bodaj czy nie weszło tu z pieśni „Hej użyjmy żywota“. Najwłaściwszym początkowym wyrazem byłoby n i e c h, najlepiej godzi ono pierwszą strofę z następnemi,

Zupełnie innym tonem odznacza się wiersz, zwany pieśnią Filaretów. Panuje w nim wesołość i żartobliwość, zabarwiająca zwykle, jak to wiemy, filareckie pogadanki, a nawet pewna hulaszczość, bardziej odpowiednia życiu tych, którzy Filaretów nazywali mnichami, niźli życiu samych Filaretów. Przypomnijmy sobie n. p. następujące strofy:

Hej użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz.
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega w koło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas:
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Możnaby myśleć, że ludzie, którzy to śpiewali, całe noce trawili na hulankach

że „kwas Bacha“ był ich zwyczajnym napojem, gdybyśmy skądinąd nie wiedzieli, że tak nie było Hulaszczość w tym wierszu była tylko zapędem fantazyi, owocem swobody, jaką fantazya poety uczuwała, wydostawszy się na nowe drogi. Może był w tem trochę wpływ burszowskich pieśni niemieckich; podług przypisku umieszczonego w paryskiem wydaniu pism Adama z roku 1844, przejrzanem przez samego autora, pierwsza strofa ma być naśladownictwem jakiejś burszowskiej pieśni niemieckiej. Czy tą pieśnią jest *Gaudeamus igitur*, czy też jaka inna podobna, tego nie wiem.

Ale pod tym hulaszczym i żartobliwym tonem nurtują poważniejsze myśli i uczucia: tętni miłość kraju, potrzeba ścisłego powiązania nauki z życiem, i ten bujny zapał, ta nieskończona ufność w siłę młodych skrzydeł, rwących się ku szlachetnym celom, która natchnęła potem i *Odę do młodości*.

Oto strofy tętniące owemi uczuciami:

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód:
Lepszy spiew narodowy,
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił:

Byś bawił się jak Greki
A jak Rzymianin bił.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stóp.

Dziś gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą:
Jedność większa od dwóch.

Dwuwiersz: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“ stał się przedmiotem wielu tłómaczeń i sporów. Jedni tłómaczyli go w ten sposób na prozę: „Jeżeli powziąłeś wielki i szlachetny zamiar, nie oglądaj się na brak sił, nie rachuj ich, znajdą się one same, wywołane wielkością przedsięwzięcia“ — i uważając go za główne hasło naszej polityki narodowej ostatnich lat kilkudziesię-

ciu, natchnionej poezyą romantyczną, surowo wraz z tem hasłem potępiali cały romantyzm.*) Inni biorąc w obronę romantyczną poezyę, zupełnie inaczej tłómaczyli to hasło: „Ktoś powziął wielki zamiar, ale nie ufa swym siłom, zaczyna więc naprzód od poznania i zgłębienia jego, aby mógł podnieść i zastosować siły swoje do jego wagi i miary.“ To ostatnie tłómaczenie jest niemal dosłownie wzięte z Odyńca, który wyraźnie powiada: „Takie to a nie inne znaczenie przywiązywali do słów tej piosenki owi koledzy i przyjaciele autora, co ją kiedyś z nim razem śpiewali.“

W istocie wyrażenie „mierz siłę na zamiary nie zamiar podług sił“ jeżeli je wyrwiemy z całości, zdaje się nie mieć innego znaczenia, jak to, które mu nadaje Odyniec; ale jeżeli poszukamy dlań objaśnienia w otaczających je wierszach, to nabiera ono innego znaczenia. Jest tu przeciwstawienie martwej fizycznej siły żywej sile uczucia i apoteoza tej ostatniej. Zimny rachunek rozumowy, cyrkiel, miara i waga, dobre są tam,

*) Mam tu głównie na myśli artykuł p. F. K. „Romantyzm i jego skutki“, umieszczony w Ateneum, w zeszycie kwietniowym 1876.

gdzie wchodzą w grę tylko „martwe bryły“. Siła uczucia nie da się zmierzyć rozumem; jest to potęga, która przy szczupłych środkach materyalnych zdoła rozsadzić największe przeszkody, bo przy tej sile „jedność większa od dwóch“. A więc „mierz siłę na zamiary“, to znaczy: mniej zważaj na środki materyalne, niż przedewszystkiem na to, czy zamiar, ku któremu zwracasz swe siły, jest wielkim i świętym, i czy serce twoje jest nim do głębi przejęte.

Zdaje mi się, że z tych strof innej myśli wysnuć nie można. Różni się ona, jak widzimy, od tłómaczenia Odyńca a zbliża się do tłómaczenia przeciwników romantyzmu. Jeśli ją też zestawimy z charakterem naszych nieszczęśliwych usiłowań politycznych w bieżącem stuleciu, to rzeczywiście okaże się ona jakby ich hasłem. Czy jednak można z tego powodu robić zarzut poecie i w ogóle romantycznemu kierunkowi, jak to czynią niektórzy przeciwnicy romantyzmu? Sądzę, że nie. Romantyzm był reakcyą przeciw wyłącznemu panowaniu rozumu. Jeżeli przywracając uczuciu należne prawa okazał się jednostronnym, zapędził się za daleko, to postąpił tak tylko dlatego że był reakcyą. Każdy nowy kierunek, przychodząc do panowania po walce z da-

wnym, wpada w tę jednostronność, którą walka wyrabia; potępić go jednak za to nie można. Co się tyczy w szczególności poezyi filareckiej, to pisana przez młodego poetę dla młodych towarzyszy, była ona poezyą młodości, wielbiła zapał, który ogarniał ich serca, rozszerzał je i dawał im poczucie nadzwyczajnej siły, poczucie właściwe młodości. Wymagać od niej trzeźwego na życie poglądu, który daje doświadczenie, jestto tyle, co szukać dojrzałych owoców na kwitnącem drzewie. Zrobiła ona bardzo wiele dobrego: uszlachetniła serca, zwracając je ku wyższym celom, rozpaliła w nich niewygasłą miłość kraju, a jeżeli wniosła przecenianie sił własnych do polityki, to nie byłoż to raczej winą tych, do których należało tyle doświadczenia i powagi rzucić na drugą szalę, ażeby zapał młodzieńczy nie przeważył tam, gdzie chłodna rozwaga powinna przeważać?

Pieśń Filarctów ukazała się w druku poraz pierwszy w paryskiem wydaniu pism Mickiewicza z roku 1844. Było to ostatnie zbiorowe wydanie pism poety za jego życia dokonane, i jak już wspomniałem, przez niego przejrzane. Otóż w tem wydaniu pieśń ta liczy tylko strof trzynaście; opuszczono jednę strofę, mianowicie tę:

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt,
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Wątpię, ażeby poeta miał jakąkolwiek przyczynę do umyślnego wypuszczenia tej strofy. Opuszczenie to było prawdopodobnie skutkiem tego, że poeta nie miał tej pieśni leżącej w tece, ale spisywał ją do druku z pamięci, przytem z pospiechem, bo już druk czwartego, ostatniego tomu, był zupełnie ukończony, kiedy przyszło na myśl wydawcom i tę pieśń dołączyć Być może zresztą, że ta strofa dorobiona była później, kiedy filaretyzm zaczął się okrywać tajemnicą; przynajmniej zdają się wskazywać na to dwa ostatnie jej wiersze Bądź co bądź, pojawia się ona w następnych, pośmiertnych wydaniach pism Adama, ale umieszczona bynajmniej nie tam, gdzie należy. Gdyby taka omyłka zaszła tylko w jednem wydaniu, nicby to jeszcze nie było dziwnego, ale w istocie rzecz dziwna, że nikt potem nie zwrócił na nią uwagi wydawców i że przechowała się ona we wszystkich nowszych wydaniach aż do ostatniego. Żeby zrozumieć, dlaczego strofa ta powinna zajmować nie to miejsce, które

obecnie zajmuje, przypatrzmy się budowie pieśni.

Zaczyna się ona od wstępu, który w dwóch pierwszych strofach jest pobudką do wesołości i używania chwili, w trzeciej potrąca o ton narodowy, jako zasadniczy w życiu filareckiem. Następuje część główna. Żeby zrozumieć jej układ, potrzeba przypomnieć sobie, dla kogo pisał tę pieśń Mickiewicz? Oto dla grona swoich najbliższych przyjaciół, z którymi miał spędzić wesoło pierwsze (od czasu wyjazdu do Kowna) święta Bożego Narodzenia. W tem gronie, jak wiemy, byli filologowie, prawnicy i słuchacze fizyczno-matematycznego wydziału. Poeta, chcąc sprawić uciechę swoim przyjaciołom, do każdego ich fachu przemawia osobno: naprzód do filologów, potem do prawników, potem do chemików, w końcu do matematyków. O medykach nie ma wzmianki, bo medyków nie było w tem gronie Zakończenie składa się z dwóch strof: w pierwszej powtarza się wesoło grzmiąca pobudka do używania chwili i nagle, ale zwrotem pełnym wdzięku, ton wesoły przechodzi w ostatniej strofie w minorowy, przez różowo płonące ognie chwili przegląda szary horyzont wieczności.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń:
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

Otóż wróćmy teraz do owej strofy opuszczonej w wydaniu 1844. Stosuje się ona widocznie do prawników, do adwokatów („Wymowa wznieść nie zdoła dziś na wolności szczyt“ i t. d) i powinna być zatem umieszczona zaraz po strofie: „Ot tam siedzą prawnicy“. Tymczasem umieszczono ją między dwiema strofami, „Kto metal kwasi, pali“ i „Ten się śród mędrców liczy“, które obie odnoszą się do chemików, i tym sposobem popsuto wiersz. Należy się spodziewać, że przyszłe wydania dzieł Mickiewicza naprawią ten błąd.

Wiersz *Toasty*, który w wydaniu poznańskiem 1829, gdzie po raz pierwszy się ukazał, nosi tytuł *Cztery wiwaty*, jest igraszką poetyczną, podobną trochę do Schillera *Punschlied* (*Vier Elemente innig gesellt* i t. d). Jest to również płód natchniony filareckiem życiem. Przeprowadzoną tu jest analogia pomiędzy siłami ożywiającemi świat fizyczny a siłami ożywiającemi świat moralny. Światłu odpowiada rozum, nauka; ciepłu — uczucie; magnetyzmowi — pociąg wzajemny

ludzi ku sobie, pod którym tu w szczególności rozumieć potrzeba filarecką, przyjaźń.

Pełnych światła i zapału
Często silny wiatr rozniesie;
By ciało zbliżyć ku ciału,
Jest magnes. Wiwat magnesie!

Jeżeli ta przyjaźń braterska połączy dłonie wielu ludzi, wówczas w tem kole wytworzy się siła moralna, odpowiadająca elektryczności w świecie fizycznym.

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z leidejskiej butelki
Palniem: Wiwat elektryczność!

W *Odzie do młodości* duch filarecki wyraził się najwspanialej i najuroczyściej. Nigdzie, w żadnej poezyi na świecie, młodość nie była odmalowana tak bujną, tak piękną i szlachetną, nigdzie nie była wyśpiewaną z takim ogniem, z taką siłą natchnienia, jak w tej odzie. Jeden Szyller może zdolny był podobnie czuć i śpiewać, ale i on w swych *Ideałach* zostawił tylko elegią, ale nie hymn na cześć młodości. Ton ody Mickiewicza, od samego początku potężny, nie słabnie ani na chwilę, i owszem potężnieje niemal z każdym

wierszem i z coraz większą siłą uderza o serca. Pieśń ta, to jak bujny potok, który już z czeluści skalnych wybucha szerokim słupem i grzmiącą kryształową kaskadą spada z niepowstrzymaną siłą po urwiskach. To też będzie ona wieczną, jak młodość, i jak długo w sercach młodzieży kwitnąć będą szlachetny zapał i szlachetne złudzenia, tak długo pieśń ta nie przestanie być idealnym obrazem uczuć i dążeń młodzieńczych.

Zapał młodości i doświadczenie starości stanowią wieczne przeciwieństwo. Młodzieniec wykarmiony wzniosłymi ideałami, które ukochał, pragnie je natychmiast w życie wcielić. Widzi on przeszkody, zna je z teoryi, ale czemże są one dla niego wobec sił, które czuje w sobie, wobec gorących strumieni uczucia, co jego serce przebiegają? Są tylko bodźcem do wytężenia sił wszystkich, obietnicą tem większej sławy. Tymczasem doświadczenie przemawia do niego: szaleńcze, te przeszkody, które ci się z daleka wydają łatwym do zdobycia i obalenia murem, to od wieków napiętrzone skały, o które już tysiące dłoni podobnych twoim krwawiło się daremnie. Porzuć rojenia, pogódź się z życiem, które zastałeś a którego nie odmienisz; patrz na tych, których siwizna

pokrywa: oni tak samo, jak ty roili i tak samo zrywali się do lotu, póki nie zakosztowali cierpkich owoców doświadczenia. Dziś przekonali się, że pomiędzy teoryą a praktyką, między ideałem a życiem niezapełniona przepaść i spokojnie zrzekli się tego, czego osiągnąć nie mogli.

Oda Mickiewicza jest odpowiedzią młodości na ten głos rozumu i doświadczenia. Tak, zrzekliście się rojeń, ale wraz z niemi ulotnił się z was zapał i miłość ideałów; wystygli, umiecie czuć tylko to, co was samych dolega, pochyleni ku ziemi, umiecie dojrzeć tylko to, co was bezpośrednio otacza. Mąż się dlatego młodość zrzekać swoich skrzydeł, swojego zapału?

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca

Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Z tej wysokości jakąż się wydaje ziemia wobec idealnych rojeń i pragnień młodzieńczych? To „obszar, zalany gnuśności odmętem“, po którem steruje samolubstwo „goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu“. Zamknięte w sobie, jak „płaz w skorupie“, samo celem dla siebie, gdy się o głaz wreszcie rozbije, znika, nie zostawiając po sobie ani żalu, ani pamięci. O ileż wyższą od tych samolubnych pełzaczy czuje się młodość, naturalnie młodość w rodzaju filareckiej:

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Wzbiwszy się wysoko nad ziemię i stamtąd ukazawszy ten obszar, na którym panuje egoizm i rządzi prawo walki o byt, poeta rzuca młodości piorunujące, niezrównanej potęgi wezwanie: skupiwszy siły, złączywszy ramiona, zestrzeliwszy myśli i uczucia w jedno ognisko, na nowe tory pchnąć bryłę świata, wyrwać ludzkość z kajdan egoizmu, na miejsce prawa walki o byt zatknąć sztandar braterskiej miłości.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem;
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł śród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu.

Jest to istny szturm uczucia, w tonie tego ustępu doskonale się wyraża ów stan, w którym uczucie wyklucza albo raczej podbija wszelką rozwagę, a szał instynktem wiedziony staje się rozumnym, przynajmniej o tyle, o ile lunatyzm prowadzący człowieka bez szwanku nad przepaścią. Rozum okazał się bezsilnym w dziele przeobrażenia ludzkości, nie zdołał złamać wszystkich przeszkód do jej uszczęśliwienia, uczucie więc, główna siła młodości, niech złamie to, czego rozum nie złamał.

Zakończenie ody jest przepowiednią zwycięstwa. Jak Bożem „stań się“ świat wyszedł z nocy chaosu, tak ogniem miłości młodzieńczej ludzkość odnowi się

Wyjdzie z zamętu świat ducha
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Tej przepowiedni, o ile odnosiła się do najbliższej przyszłości filareckiego świata, rzeczywistość srogo zaprzeczyła. Ale czyż na marne poszły wszystkie ognie filareckiej młodości? Nie, przelały się one, jak wiemy w poezyą Mickiewicza, a ta stała się najsilniejszą twierdzą narodowości, kopalnią uczucia, zdolnego przez wieki ogrzewać naród, i kiedyś, mam nadzieję, rozszerzyć ciepło swoje i w szersze kręgi.

Mówiąc o szubrawcach, powiedziałem o pewnej wierszowanej mowie Szydłowskiego, iż okazuje ona pewne pokrewieństwo z *Odą do młodości*. Znajduję teraz stosowną porę do uzasadnienia i rozjaśnienia tej myśli, rzuconej przedtem ogólnikowo, do czego się tem bardziej czuję obowiązanym, że myśl ta wywołała żywą protestacyą *). Pokrewieństwo to tkwi nie w polocie, nie w bogactwie fantazyi, co już i poprzednio zaznaczyłem, nie w apoteozie młodości i uczucia, która

*) Mam tu na myśli artykuł p. t. „Mniemane pokrewieństwo wiersza Szydłowskiego z Odą do młodości“, umieszczony w *Kuryerze Poznańskim* z br. nr. 168.

jaśnieje w odzie Mickiewicza, a której nie ma u Szydłowskiego, ale w tym duchu bojowym, ufnym w siebie i pewnym zwycięstwa, który ożywia oba te utwory, choć się niejednakowo wspaniale tu i tam wyraża. Ta ufność wypływa z poczucia siły, jaką obaj poeci czerpali ze swego otoczenia, z poczucia wyższości tej sfery, której główny organ poetycki stanowili, nad społeczeństwem, z którego się ta sfera wydzielała. Mickiewicz woła do Filaretów:

Młodości, orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.

Szydłowski porównywa szubrawstwo do opoki niezachwianej, o którą się rozbija marna wściekłość żywiołów. Mickiewicz przepowiada zwycięstwo:

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące,
Witaj jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!

U Szydłowskiego jest również przepowiednia zwycięstwa:

Powraca miła pogoda,
A opoka niezachwiana
Widzi, jak wprzód zbuntowana
Stopy jej całuje woda.

A i wróg, z którym toczy się walka, nad którym przepowiedziane zwycięstwo, jest ten sam w jednej i w drugiej sferze, w jednej i drugiej odzie: jest nim egoizm. I jeżeli Mickiewicz woła do młodzieży: „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“, to i Szydłowski upomina, że nie dość myśleć o pożytku własnym

Ale udzielonych z nieba
Wszystkich zdolności potrzeba
Dla dobra współbraci użyć.

Tyle pokrewieństwa, czy podobieństwa między dwoma tymi utworami. Nie było ono bynajmniej skutkiem naśladownictwa. Szydłowski nie mógł naśladować *Ody do młodości*, która dopiero w trzy lub cztery lata po jego mowie była napisaną; siła natchnienia zaś, jaka tryska z ody Mickiewicza, nie dopuszcza nawet myśli, aby ten ostatni mógł tu być naśladowcą Szydłowskiego. Pokrewieństwo pomiędzy dwoma tymi utworami wypływało z podobieństwa pomiędzy duchem szubrawskim a filareckim, tak samo jak i różnice w treści, kierunku tych utworów wypływały z różnicy, jaka zachodziła pomiędzy duchem Szubrawców a duchem Filaretów. Sądzę, że nie bez pożytku będzie zestawienie

tych sfer i posłuży do tem lepszego zrozumienia filareckiego ducha i samejże *Ody do młodości*.

Szubrawcy byli jeszcze rycerzami ośmnastego wieku, rycerzami rozumu walczącego z przesądami i ciemnotą, reprezentowali ten kierunek, którego patryarchą we Francyi i całej Europie był Voltaire, a najznakomitszym przedstawicielem u nas w ośmnastym wieku Krasicki. Atoli pomiędzy literatami stanisławowskich czasów a Szubrawcami ważna zachodziła różnica na korzyść ostatnich. Tamci mieli przeważnie encyklopedyczne wykształcenie i blask swój zawdzięczali w znacznej części tej protekcyi, jaką ich dwór królewski otaczał; stąd wybitną ich cechą była pewna dworskość, skłonność do frazeologii i do pochlebstwa. Ci, to jest Szubrawcy, byli to po większej części ludzie gruntownej nauki i tej tylko zawdzięczali i swoje stanowiska i swoje znaczenie; to też cechowała ich samodzielność, trzeźwość i śmiałość. Ale walka, którą prowadzili, była ta sama, to jest z tym samym nieprzyjacielem i tą samą bronią. Walczyli oni z pleśnią staro-szlachecką a orężem była satyra, tylko nie skrojona na wzór Horacyuszowskiej, ale

pisana zwykle niewiązaną mową i przybierająca najrozmaitsze formy.

Że Szubrawcy wywarli niemały wpływ na Filaretów, że pomiędzy nimi istniała znaczna wspólność pojęć i sympatyi, to się nie da zaprzeczyć. Szubrawcom przedewszystkiem zawdzięczali Filareci swoje postępowe i liberalne poglądy w dziedzinie społecznej, które się i w poezyi Mickiewicza wyraźnie zarysowały. Za najlepszą wskazówkę łączności pomiędzy dwiema temi sferami może służyć to, że Kontrym, główny protektor młodzieży filareckiej, był zarazem jednym z najczynniejszych organizatorów szubrawstwa. Jan Chodźko, który powierzał swoich synów opiece Zana, był Szubrawcem, zarówno jak i Wawrzyniec Puttkamer, którego łączyły ścisłe stosunki przyjacielskie z Zanem i Czeczotem *). Możnaby z łatwością i inne jeszcze ogniwa znaleść między dwiema temi sferami. Podług papierów pozostałych po Balińskim, o ile znam je z wspomnianej już raz rozprawy p. Ottmana, sam Zan miał nale-

*) Puttkamer był tak gorliwym Szubrawcem, że mieszkając w Bołciennikach umyślnie pocztą przyjeżdżał do Wilna na każde posiedzenie Szubrawców. Tak świadczy syn jego. Rękopis. Bibl. Krak. nr. 3094.

żeć do Szubrawców. Nareszcie w wyjątkach z listów Maryli do Adama, których, niewiadomo dlaczego, tak skąpo i tak gdzieś ukradkiem udzielili nam wydawcy korespondencyi Mickiewicza, znajdujemy wiadomość, że i Adam, jeżeli nie należał do Szubrawców, to jednak pisywał do *Brukowych Wiadomości*. „Wielka była dla mnie surprisa, pisze Maryla (20 lutego 1821)*), gdym znalazła rozdziałki Pana umieszczone w *Brukowcach* (do których zawsze miałam awersyą). Przestałam odtąd deklamować przeciw Szubrawcom i ich Brukowcom“**).

---

*) Korespondencya Adama Mickiewicza. T. III. 1876. Str. 74. W istocie niepodobna zrozumieć, dlaczego ten wyjątek z listu Maryli, zarówno jak i drugi przy nim położony, oba zasługujące na największą uwagę, umieszczone są nie w tekście, ale w przypisku do listu Lelewela, z którym żadnej wspólności nie mają, i dlaczego w spisie rzeczy doszukać się ich nie można.

**) Które to rozdziałki w *Brukowcach* pisane były przez Mickiewicza? Udało mi się jeden tylko wyśledzić artykuł w tem piśmie, który z różnych względów pozwala przypuszczać, iż jest rozdziałkiem naszego poety. Umieszczony on jest w numerku z 29 stycznia 1821, a więc pod względem daty doskonale się zgadza z datą listu Maryli. Tytułu nie ma żadnego, tylko de-

Pomimo łączności, pomimo znacznej wspólności pojęć, między duchem szubrawskim a filareckim zachodziły zasadnicze różnice. Charakter działalności Szubrawców, jako towarzystwa, był, jak to już wcześnie zauważono, więcej krytyczny, niż organiczny. Przedstawiając społeczeństwu ujemne jego strony w śmiesznem świetle, Szubrawcy uczyli je poznawać swoje błędy, wstydzić się swoich przesądów i ciemnoty, czynili modnemi i popularnemi postępowe pojęcia, ale zadowoleni z poczucia swojej wyższości nad sferą staroszlachecką, rzadko wychodzili poza humorystyczną

---

wizę z Owidiusza: „*Parva leves capiunt animos...*“ (lekkie umysły zajmują się fraszkami), ale jeszcze właściwszą dla niego dewizą byłby ów wykrzyknik Gustawa: „kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!“, ponieważ artykulik ów wymierzony jest przeciw „powszechnej słabości kobiet do błyskotek i powierzchownych ozdób“, której się dają powodować w obiorze męża. „Edmund w samej sile życia ofiarował Klorydzie wraz z miłością domek czysty i utrzymanie przystojne; Klorynda znała zalety i przywiązanie jego, wolała jednakże oddać rękę staremu bogaczowi i dziwi się potem, że kareta, stroje i wystawa nie zastąpią szczęścia, którego już nigdy nie dozna. Malwina lubo nie tyle zasługuje na naganę, niemniej się jednak zawiodła: bo wzięła Alfreda za najuczciwszego

krytykę, która była dla nich zabawą i miłem przepędzeniem czasu. Użyźnić rolę, którą z chwastów oczyszczali, rozgrzać serca, rozbudzić w nich miłość dla ideałów, spotęgować uczucie narodowości, tego Szubrawcy nie byli zdolni dokonać, bo rozumem tylko działali na rozum, uczucia nie potrącając. Przeważał wśród nich kierunek, reprezentowany przez Śniadeckich w uniwersytecie, który hołdował w filozofii teoryi sensualistycznej Locke'a, a w poezyi klasycyzmowi. Ztąd też w *Wiadomościach Brukowych* obok gęstych wyśmiewań się z jasnowidztwa, znajdujemy

---

człowieka na świecie, dlatego tylko, że zgrabnie tańcował. Wada ta, jak i wiele innych, jest dziełem edukacyi, a rozmowy zwyczajne większej liczby kobiet niemało się przyczyniają do utrzymania w nich tej słabości, niejako już im naturalnej. Byleby wspomnieć przed niemi o nowej mężatce, pytają zaraz: czyli ma piękny ekwipaż, i czy kosztowne dostała od męża podarunki? Ile razy jest mowa o jakiej nieobecnej damie, możnaby stawić dziesięć przeciwko jednemu, że nie przepomną jej sukni, szala lub kapelusza itd." Mogło to być pisane poniekąd *ad usum* Maryli, która nie była jeszcze wówczas żoną Puttkamera. Ton rozdziałku tego, jak już z wyjątku można wnioskować, jest bardziej sentencyonalny niż humorystyczny.

wycieczki przeciwko filozofii Kanta, Fichtego i Schellinga, przeciw romantyczno-sentymentalnemu wychowaniu, najwięcej przeciw sentymentalności kobiet. Przywykli wyszukiwać ujemne strony w objawach życia, doskonale podchwycili śmieszne strony tej sentymentalności, ale nie przeczuwali, że pod nią ukrywało się już pragnienie nowej poezyi, którąby zastąpiła suche, rozsądne rymotwórstwo, poezyi płynącej z serca i przemawiającej do serca.

Jak główną siłą Szubrawców był trzeźwy rozum, tak główną siłą Filaretów było uczucie, młodzieńczy zapał dla wysokich ideałów, zapał, który Filareci przelewali magnetycznie z serca w serce Szubrawcy pokazywali brzydotę i śmieszność złego; Filareci uczyli kochać dobre. Szubrawcy łamali złe rozumem; Filareci chcieli siłą uczucia „złamać to, czego rozum nie złamie“. Pierwsi byli trzeźwi, spokojni, praktyczni; drudzy marzyciele, ale z apostolskim popędem do szerzenia miłości dla swoich ideałów. Pierwszych wiązało poczucie wyższości nad otaczającą sferą; drugich — miłość braterska, ów bratni łańcuch, którym chcieli „opasać ziemskie kolisko“.

Te były różnice między duchem szubrawskim i filareckim i one się też wyraziły oprócz innych różnic, wypływających z różnego stopnia talentu poetów w dwóch odach, które porównywałem, a które były najwyższym poetyckim wyrazem jednego i drugiego ducha.

Oda do Młodości poraz pierwszy drukowaną była w poznańskiem wydaniu poezyi Mickiewicza w roku 1829. To zdaje się było przyczyną błędnego mniemania, dość rozpowszechnionego w podręcznikach historyi literatury, jakoby oda napisaną była podczas pobytu Adama w Rossyi. Gdyby sam charakter tego utworu nie wskazywał dostatecznie, że oda pisaną była w czasach filareckich i to w szczęśliwych jeszcze czasach, możnaby tu przytoczyć wiele innych dowodów i świadectw na poparcie tego twierdzenia. Ograniczę się na przypomnieniu, że już w czwartej części *Dziadów*, drukowanej w 1823, znajduje się czterowierszowy wyjątek z tej ody i że w 1824 r. zaraz po przybyciu do Odessy Franciszek Malewski pisze do sióstr: „Czy się nie znalazł akt tłómaczony *Don Karlosa*, *Oda do młodości*? Przeczytajcie to Maryanowi (Piaseckiemu)."

Jeżeli oda nie była wydrukowaną w pierwszych dwóch tomikach poezyi Mickiewicza, które wyszły w Wilnie 1822—23, to stało się to zapewne z winy cenzury. Być może zresztą, że chciano ją umieścić w trzecim tomiku, który był zapowiedziany, ale się nie ukazał.





Treść rozdziałów.

Część pierwsza 1815—1818

strona

I. Przyjazd do Wilna. Ksiądz Mickiewicz. Egzamin. Poznanie się z Zanem. . . . 5

II. Mickiewicz w nowej sferze. Wilno w latach 1815—1818. Znaczenie uniwersytetu. Znakomitsi profesorowie. Walka nowych pojęć z dawnymi. Wiadomości Brukowe i Klub Szubrawców. Wolne mularstwo i mesmeryzm. Dzienniki. Teatr. Zabawy i rozrywki wileńskie. Patryotyczne usposobienie miasta. . . 13

III. Młodzież uniwersytecka. „Zima miejska". Stosunek synowca ze stryjem. Zajęcia naukowe Adama i jego stosunek z Borowskim. Trembecki i Piotr Kochanowski jako wzory. Bajki Mickiewicza. „Kartofla", „Uwagi nad Jagiellonidą", „Żywila" i „Karylla". 57

Część druga 1818—1821.

I. Grono przyjaciół Mickiewicza. Zawiązanie się towarzystwa Filomatów, ich

strona

cele i ustawy. Wiersz Mickiewicza: „Już się z pogodnych niebios i t. d". Zan i jego teorya promionkowa. Promieniści i Filareci 95

II. Serce Mickiewicza przed poznaniem Maryli. Tuhanowicze i okolica. Pierwszy przyjazd Mickiewicza do Tuhanowicz. Maryla i jej otoczenie. Wawrzyniec Puttkamer. Jakim się Mickiewicz wydał Maryli? Pierwsza faza jego miłości dla niej. 146

III. Zwrot ku romantyzmowi. Wpływ dzieła pani de Stael: „O Niemczech." Rozprawa Brodzińskiego „o klasyczności i romantyczności." Odpowiedź Śniadeckiego. „Uwagi nad poezyą i wymową" Borowskiego. Samodzielność Zana. Pobudka do pisania ballad. 173

IV. Mickiewicz mianowany nauczycielem w Kownie. Szkoła kowieńska i jej nauczyciele Samotność poety. Dolina kowieńska. Wycieczki do Wilna. . . . 195

V. Wpływ życia filareckiego na poetę. Jego poezya filarecka: „Niech radością oczy błysną," „Hej użyjmy żywota," „Toasty," „Oda do młodości." Porównanie ducha filareckiego z szubrawskim. 217

600 —
1.2.48

2279. ✓